

KRĘTE DROGI W II RP DO SOJUSZU POLSKO-UKRAIŃSKIEGO



JAK SOWIECI SAMI SIĘ ROZBROILI



M26 PERSHING AMERYKAŃSKA PANCERNA EKSTRAKLASA

Nr 11–12 (114–115)
LISTOPAD–GRUDZIEŃ 2022
CENA: 11,90 zł (w tym 8% VAT)

wSIECI

HISTORII

MAGAZYN O POLSCE, HISTORII I KULTURZE

OKUPACJA POLSKI 1939–1945

TOTALNA GRABIEŻ PO NIEMIECKU

INDEKS 297127 ISSN: 2300-6803

NAJTANIEJ

I Z PREZENTEM!

ROCZNA PRENUMERATA PAKIETU:

tygodnik SIECI
+ magazyn wSIECI HISTORII
ponad **38% taniej**
i zawsze z atrakcyjną
książką w prezencie



ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

DARMOWA DOSTAWA PRENUMERATY WPROST DO TWOJEJ SKRZYNKI

tel. 22 616 36 00 | prenumerata@fratria.pl
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

eprasa.pl 2b95f03724

NASZA WSPÓŁCZESNOŚĆ

Coraz częściej, patrząc na trwającą wojnę na Ukrainie, spoglądamy wstecz – na lata II wojny światowej. To wtedy dwa państwa totalitarne – III Rzesza i Rosja Sowiecka – przy użyciu pogańskich ideologii i imperialnych tradycji pokusiły się o opanowanie świata, sięgając do ludobójczych praktyk, na masową skalę dotąd w cywilizacji ludzkiej niespotykanych. Nie dlatego nie spotykanych, że ludzkość nie miała w przeszłości podobnych pokus, ale z racji braku stosownych narzędzi: ideologii i państwa. Postęp technologiczny poszedł w parze z zaprzeczeniem moralnych fundamentów ludzkości.

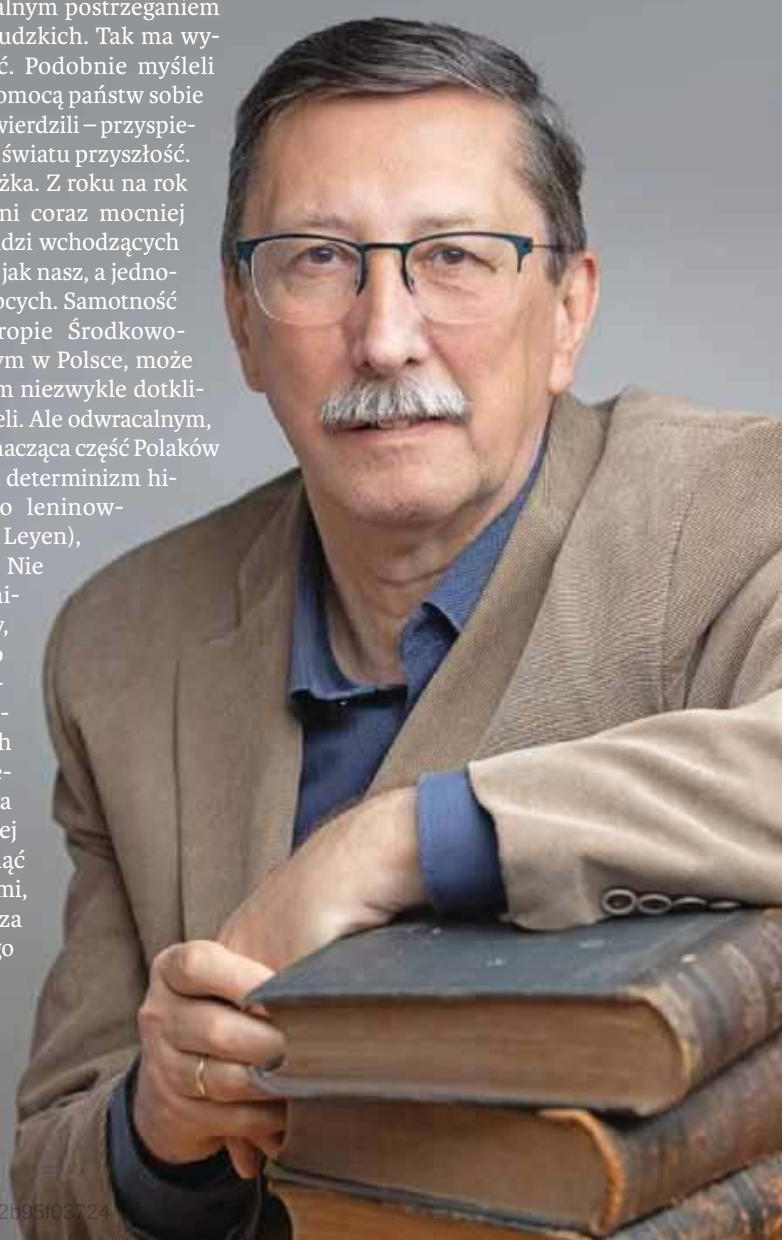
Dziś fundamenty chrześcijańskie są podważane we wszystkich kierunkach. Kościół katolicki bez Jana Pawła II stracił swój globalny autorytet. Co więcej, sam stał się – jak gąbka – nad wyraz zdolny do wchłaniania antykatolickich teorii ideologicznych i praktyk. W imię postępu i dostosowywania się do reguł liberalnej demokracji, w tym do wersji historii opowiadanej przez wrogów Kościoła, zbyt często słychać z Watykanu głos dostosowawczy. Szczególnym wyrazem tej rzeczywistości jest pycha, z jaką funkcjonariusze lewicowi Unii Europejskiej świadomie niszczą podstawowe prawa narodów do swego światopoglądowego i kulturowego rozwoju, do swojej tożsamości. Opór jest bowiem coraz słabszy, a same elity – nawiązujące mentalnie do bolszewików – są przeświadczone o słuszności nowej ideologii i praktyki rządzenia.

Na tym tle powszechności Kościoła widać jednakże trwałość i rozwój konserwatywnych wartości w Polsce. Szczególnie w starszym pokoleniu, może bardziej doświadczonym, pamiętającym o zmaganiach Prymasa Tysiąclecia z komuną, z jej miałkością, słabością alternatywnej do chrześcijaństwa oferty ideologicznej ówczesnych pogan. To pokolenie z niepokojem jednak patrzy na młodzież, do której dostępu „broni" lewicowy zastęp pseudowychowawców, także silnych w Polsce. Widać to było na przykładzie nagonki na podręcznik do historii i teraźniejszości oraz jego autora, wybitnego historyka prof. Wojciecha Roszkowskiego. Resort edukacji i wychowania w Polsce ośmielił się bowiem wprowadzić do szkół ofertę wychowawczą opartą na chrześcijańskim fundamencie! Jak śmiał dać młodzieży szansę wyjścia z ideologicznej „bańki" serwowanej przez postępowe elity, szansę poznania prawdy o przebiegu historii własnego narodu i Kościoła, o znaczeniu wartości jako fundamencie wyborów i postaw. Młode pokolenie jak ameba ma być jedynie zdolne do przyjęcia ofert roszczeniowych, ideologicznie zbieżnych z liberalnym postrzeganiem świata i potrzeb ludzkich. Tak ma wyglądać przyszłość. Podobnie myśleli marksiści, co za pomocą państw sobie podległych – jak twierdzili – przyspieszali i tak należną światu przyszłość.

Grozi nam porażka. Z roku na rok będziemy otoczeni coraz mocniej i mocniej przez ludzi wchodzących w świat dorosłych jak nasz, a jednocześnie totalnie obcych. Samotność katolików w Europie Środkowo-Wschodniej, w tym w Polsce, może stać się zjawiskiem niezwykle dotkliwym dla jej nosicieli. Ale odwracalnym, gdyż my – nadal znacząca część Polaków – nie wierzymy w determinizm historyczny (czy to leninowski, czy von der Leyen), ale w Pana Boga. Nie wierzę w determinizm historyczny, odwrotnie do marksistów i dzisiejszych liberałów, którzy jak ich poprzednicy wiedzą, iż „opium dla ludu" musi prędzej czy później zniknąć z powierzchni ziemi, w imię postępu i za sprawą racjonalnego oglądu świata, czyli materii.

Naszą siłą pozostają świeccy, jak prof. Wojciech Roszkowski, biskupi i księża, siostry zakonne, z którymi mamy do czynienia na co dzień. Cały Kościół w Polsce, z jego słabościami ludzkimi, a jednocześnie z jego silnym oddziaływaniem, z tą niepokornością wobec niszczycieli dobra. Tak długo będzie, jak sam Kościół w Polsce nie stanie się przeszłością zamkniętą na własną historię i jego najwybitniejszych przedstawicieli. ■

JAN ŻARYN

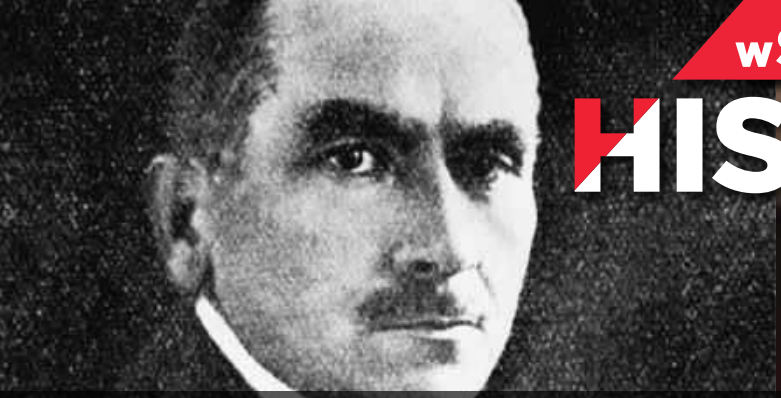


FOT. ANDRZEJ WIKTOR

AUTOPROMOCJA

eprasa.pl 2b95f03724

wSIECI HISTORII
SPIS TREŚCI
Nr 11–12 (114–115) LISTOPAD–GRUDZIEŃ 2022





18 POD WPŁYWEM DOŚWIADCZEŃ KOŃCA LAT 30. POLSKI OBÓZ NARODOWY PRZYZNAŁ, ŻE NARÓD UKRAIŃSKI ISTNIEJE I PODOBNIE JAK NIEGDYŚ POLACY WCHODZI W FAZĘ NACJONALIZMU – PISZE JAN ŻARYN

42 3000 STADIONÓW NARODOWYCH LUB PROGRAM 500 PLUS PRZEZ 150 LAT – CO NAJMNIEJ TYLE WYNOSI WARTOŚĆ STRAT PONIESIONYCH PRZEZ POLSKĘ WSKUTEK NAPAŚCI NIEMIEC – STWIERDZA DR KAROL NAWROCKI

3 GŁOS NACZELNEGO
JAN ŻARYN

6 CO BYŁO, CO BĘDZIE
PIOTR MAZUREK



UKRAIŃSKO-POLSKA HISTORIA WSPÓLNA I OSOBNA

10 W CIENIU UTRACONEJ SZANSY, CZYLI... OD WOJNY DO WOJNY
PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

FELIETONY

9 SPRAWY ŻYCIA I ŚMIERCI
GRZEGORZ GÓRNY

28 1963 – BEN GURION USTĘPUJE Z RZĄDU
PAWEŁ SKIBIŃSKI

81 ZMIANY, ZMIANY
GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

84 NA PODBÓJ DANII
ANTONI DUDEK

84 ZAPISKI Z LIBANU
RYSZARD CZARNECKI

85 SILVA RERUM
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

86 STAN WOJENNY W SZCZECINIE. WYROK PO LATACH
ARTUR KUBAJ



88 CHWAŁA I MOC KORONY
MAREK JUREK

TEMAT MIESIĄCA

12 ZIEMIANINA PRZEMYŚLENIA UKRAIŃSKO-POLSKIE
PAWEŁ SKIBIŃSKI

15 STANISŁAW PIASECKI I UNIA POLSKO-UKRAIŃSKA
JAKUB SIEMIĄTKOWSKI



18 ROMAN DMOWSKI I KWESTIA UKRAIŃSKA
JAN ŻARYN

22 DROGA DO SOJUSZU POLSKO-UKRAIŃSKIEGO. UKŁAD PIŁSUDSKI–PETLURA
WIESŁAW JAN WYSOCKI



25 WOJEWODY JÓZEWSKIEGO WIZJE UKRAINNE
KONRAD W. ROKICKI

WEHIKUŁ CZASU

30 LISTOPAD, GRUDZIEŃ
MICHAŁ KOMUDA

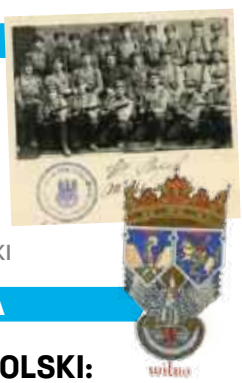
SKARBY AGAD

34 KAZIMIERZ KONARSKI (1886–1972)
JACEK KROCHMAL



TAJEMNICE AAN

36 „WIEDZ, ŻE POLSCE BĘDZIEMY WIERNIE SŁUŻYĆ!”
RAFAŁ KIERZKOWSKI



DUSZA KONTUSZA

38 SAMUEL NADOLSKI: ŻOŁNIERZ, SENATOR, PATRIOTA
HENRYK LITWIN

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

42 (NIE)ROZLICZONA WOJNA
PRACA ZBIOROWA



ZIEMIAŃSTWO

50 WOJEWODA JAN ANTONI CHRAPOWICKI I POTOMNI
JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

ZDARZYŁO SIĘ

54 NIEMIECKIE PRÓBY WYKORZYSTANIA KATYNIA
PIOTR ŁYSAKOWSKI



56 PIĘKNA WYSPA W CIENIU SMOKA
ELŻBIETA BRZOZOWSKA

60 KATASTROFA W SIEWIEROMORSKU
MAREK SKALSKI

eprasa.pl 2b95f03724



FOT. NAC; IPN; DOMENA PUBLICZNA

60 CZY 13 MAJA 1984 ROKU RZUCONY NIEDOPAŁEK PAPIEROSA DOPROWADZIŁ DO EKSPLOZJI SOWIECKIEJ BRONI W TAJNEJ BAZIE ZA KRĘGIEM POLARNYM? CZY TO NIEDBALSTWO OCALIŁO ŚWIAT PRZED TRZECIĄ WOJNĄ ŚWIATOWĄ? – PYTA MAREK SKALSKI

62 ZGINĄŁ, BO NIE PODEPTAŁ RÓŻAŃCA
JAROMIR KWIATKOWSKI

PRASPORT

65 TRZECIA POŁOWA
GRZEGORZ MAJCHRZAK



PEŁNA KULTURA

70 ARTYSTA, MECENAS I POETA
JERZY MIZIOŁEK

74 ZAPOMNIANA ODBUDOWA
TOMASZ MARKIEWICZ





76 PATRIOTYZM – ZBĘDNY CIĘŻAR CZY EKWIPUNEK?
Z MICHAŁEM SENKIEM, DYREKTOREM CENTRUM MYŚLI JANA PAWŁA II, ROZMAWIA AGATA MADAJ

78 W KRĘGU KLIO
RAFAŁ ŁATKA

80 ŁATKI NA KLIO
ROZMOWA Z KS. DR. JAROSŁAWEM WĄSOWICZEM

82 PIUS XII I ŻYDZI W ŚWIETLE WATYKAŃSKICH ARCHIWÓW
PAWEŁ SKIBIŃSKI

DIABEŁ NIE MÓGŁ



90 ROSJANKA W POLSCE
JOANNA PUCHALSKA

SZLACHETNE ZDROWIE

92 ZJEDZ SERCE, WTEDY WYGRASZ
KRZYSZTOF ŻARYN

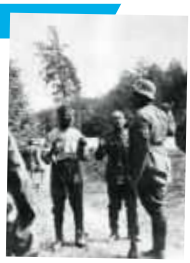
CZYM STRZELAĆ



94 CZOŁG M26 PERSHING, CZYLI WYŻSZA LIGA
KACPER GROCHOCKI

Z FOTOTEKI IPN

95 WEHRMACHT W CIEPIELOWIE
JACEK SŁOMA



96 HISTORIA OKŁADKI
MICHAŁ KORSUN

NAC PREZENTUJE

98 WARSZAWSKIE SZALETY
ŁUKASZ KAROLEWSKI



ZE ZBIORÓW MPW

99 LEGITYMACJA Z „GAPĄ”
RAFAŁ BRODACKI

wSIECI HISTORII

ISSN 2300-6803

www.wsieci.pl
Redaktor naczelny: Jan Żaryn
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Karpowicz, Małgorzata Żaryn
Sekretarz redakcji: Krzysztof Kotowski
e-mail: redakcja@fratria.pl, tel. (22) 616 36 00
ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa

Stali współpracownicy:
Marek Barański, Ryszard Czarnecki, Antoni Dudek, Kacper Grochocki, Grzegorz Górny, Marek Jurek, Michał Komuda, Jarosław Kossakowski, Jacek Krochmal, Artur Kubaj, Henryk Litwin, Rafał Łatka, Piotr Mazurek, Grzegorz Majchrzak, Jerzy Miziołek, Mariusz Olczak, Joanna Puchalska, Gabriela Sierocińska-Dec, Paweł Skibiński, Andrzej Skwarczyński, Przemysław Waingertner, Krzysztof Żaryn oraz AAN, AGAD, IDMN, IPN, MPW i NAC

Dyrektor artystyczny:
Michał Korsun, michal.korsun@fratria.pl

Studio graficzne:
Andrzej Skwarczyński (kierownik)
andrzej.skwarczynski@fratria.pl,
Lidia Słowikowska-Smolińska
lidia.slowikowska@fratria.pl
Projekt graficzny: Michał Korsun
Fotoedycja: Anna Łabęcka, ania.labecka@fratria.pl, Robert Gołaszewski, robert.golaszewski@fratria.pl,
Obróbka zdjęć: Tomasz Kieras

Wydawca:
Fratria sp. z o.o.
prezes: Romuald Orzeł
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
redakcja@fratria.pl, www.fratria.pl

Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.

Prenumerata wydania papierowego:
tel. (22) 616 36 00
www.wsieci.pl
prenumerata@fratria.pl
Regulamin oraz warunki prenumeraty na stronie www.wsieciprawdy.pl
Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe od wysyłki oraz rodzaj prenumeraty
Prenumerata realizowana przez RUCH SA: Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej oraz na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem:
801 800 803 lub 22 717 59 59
– czynne w godzinach 7^{00}–18^{00}.
Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Dyrektor ds. Rozwoju Biznesu:
Katarzyna Marchewka
katarzyna.marchewka@fratria.pl

Biuro Reklamy:
reklama@fratria.pl
Paulina Kąkol – paulina.kakol@fratria.pl
Agnieszka Woźniak – agnieszka.wozniak@fratria.pl
Marcin Dąbrowski – marcin.dabrowski@fratria.pl

Kolportaż:
kolportaz@fratria.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Copyright © Fratria Sp. z o.o. Wszystkie prawa zastrzeżone (włącznie z tłumaczeniem na języki obce). Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią materiału pochodzącego od Wydawcy. Bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

OKŁADKA: Projekt: Michał Korsun
Fotografia: Andrzej Wiktor
Wystąpili: Dominika Rau, Michał Kępiński
Kostiumy: Agencja Retro-Pasje
Podziękowania dla Pani Marii Borowczyk, Kacpra Borowczyka oraz Bogusi Drewnowskiej za pomoc w realizacji sesji

eprasa.pl 2b95f03724



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

POD PATRONATEM „wSIECI HISTORII"

XIV Festiwal „Niepokorni. Niezłomni. Wyklęci"

W dniach 28 września – 1 października w Gdyni odbywała się XIV edycja Festiwalu Filmowego „Niepokorni. Niezłomni. Wyklęci". W jego trakcie miały miejsce liczne pokazy filmowe, dyskusje wokół prezentowanych dzieł, debaty z udziałem twórców, polityków, dziennikarzy i kombatantów oraz inne wydarzenia kulturalne. Punktem kulminacyjnym festiwalu była uroczysta gala prowadzona przez Agnieszkę Oszczyk i Marcina Wikło. W jej trakcie Grzegorz Wołoszczak, członek Związku Kombatantów i Osób Represjonowanych RP im. Danuty Siedzikówny „Inki", wręczył na ręce dyrektora festiwalu Arkadiusza Gołębiewskiego Medal Janka Wiśniewskiego, chcąc podkreślić rolę przedsięwzięcia w upamiętnianiu wydarzeń oraz osób związanych z walką o niepodległość Ojczyzny. Festiwal NNW został uhonorowany również za upowszechnianie tematów wolnościowych, w tym za przenoszenie historii do świata słowa, dźwięku i obrazu. Jak co roku, podczas wydarzenia przyznano nagrodę za całokształt twórczości, za niezłomność w podejmowaniu trudnych tematów i niezależność pracy twórczej – Platynowy Opornik Festiwalu NNW. Tym razem otrzymał go Mirosław Chojecki, wydawca, producent filmowy, działacz opozycji w PRL, kawaler Orderu Orła Białego, któremu laur wręczyła reżyser Maria Dłużewska. Z kolei kapituła Nagrody Literackiej im. bł. ks. Władysława Bukowińskiego postanowiła uhonorować Jana Maciejewskiego. Przekazujący nagrodę Tadeusz Deszkiewicz, doradca prezydenta RP, powiedział, że to laur za przenikliwy komentarz do współczesności przede wszystkim w wymiarze duchowym. W trakcie gali ogłoszono również laureatów nagród we wszystkich kategoriach festiwalowych konkursów. W kategorii filmów fabularnych jury pod przewodnictwem Marthy Coolidge, amerykańskiej reżyser filmowej, byłej prezydent gildii reżyserów Ameryki, wybrało film „Mauretańczyk" Kevina MacDonalda, który stanowił ekranizację wstrząsającego „Dziennika z Guantanamo". Polski Instytut Sztuki Filmowej postanowił nagrodzić film „Złe drogi", który wyreżyserowała Natalya Vorozhbyt. W Międzynarodowym Konkursie Filmów Dokumentalnych Nagrodę Główną im. Witolda Pileckiego (ufundowaną przez Filmotekę Narodową) przyznano ukraińskiemu filmowi „Plai. Droga przez góry" w reżyserii Evy Dzhyshyashvili „za znakomite walory kinematograficzne i poruszającą historię ukraińskiej rodziny, opowiedzianą z wyjątkową wrażliwością". W Konkursie Filmów Polskich statuetkę „Złoty Opornik" oraz nagrodę finansową ufundowaną przez Instytutu Strat Wojennych im. Jana Karskiego otrzymał Eugeniusz Starky za film „Oblężenie Warszawy" – „za znakomite filmowo ukazanie historii amerykańskiego fotoreportera, który dzięki swojej niezłomnej postawie przekazał światu prawdę o tragedii oblężonej Warszawy". Wyróżnienia otrzymały obrazy „Ina Benita. Dwa życia" Jacka Papisa, „Na zawsze melomani" Rafała Mierzejewskiego i „Rodzina Wołosiańskich" Rafała Geremka. Nagrodę główną za reportaż radiowy otrzymała z kolei audycja „Obraza obrazu" Mariusza Kamińskiego (Polskie Radio Lublin), dotycząca reakcji mieszkańców Wojciechowa na aresztowanie przez komunistyczne władze wizerunku Matki Boskiej Częstochowskiej w 1966 r. Jury doceniło sposób przedstawienia głębokiej religijności i przywiązania do tradycji tamtejszej wspólnoty oraz jej odważnego stanięcia w obronie wyznawanych wartości. Wyróżnienia otrzymały słuchowiska: „Bilet z rowerem" Ewy Szkurłat z Polskiego Radia Kraków, „Tola" Joanny Sikory z Polskiego Radia Białystok, „Wirtuoz" Jakuba Tarki. Przy okazji uhonorowania pracy ludzi radia został wręczony brązowy medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis", który wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński nadał Aleksandrze Głogowskiej, dyrektor literackiej Radia dla Ciebie, „za odnalezienie w Roku Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i przywrócenie do powszechnej świadomości zapomnianego, jedynego dramatu Poety, a także za jego mistrzowską realizację dla radiowego teatru". W dalszej części uroczystości wręczono nagrodę dla wideoklipów, którą otrzymał klip „Dużo małych cudów" w wykonaniu Kuby Knapa. Wręczono nagrodę Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, którą

eprasa.pl 2b95f03724

otrzymał film „Kilof zamiast karabinu" Aleksandry Fudali-Barańskiej (podobnie jak nagrodę TVP) oraz nagrodę prywatną minister Elżbiety Więcławskiej-Sauk, która trafiła do Allana Ignaczaka i Igora Mertyna za film „Wymazane". Nagrodę Pitching Forum Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych uzyskał film „Strumiłło. Apokalipsa i cisza" Waldemara Czechowskiego. Nagroda Prezesa Zarządu Telewizji Polskiej SA dla wyróżniającego się projektu Pitching Forum Akademii Filmowej Festiwalu Filmowego NNW trafiła do autorów dzieła „Bunt i afirmacja" Ewy Żmigrodzkiej i Krzysztofa Zwolińskiego. Swoją nagrodę przyznał też dyrektor Festiwalu. „Za artystyczne przekładanie historii na język filmu" otrzymał ją obraz „Jutro czeka nas długi dzień" Pawła Wysoczańskiego. Nagroda Europejskiej Platformy Pamięci i Sumienia została przyznana niemieckiemu filmowi „Zapomniana granica Europy" w reżyserii Olivera Halmburgera. Nagrodę im. Janusza Krupskiego „dla twórców, za odwagę i trud w poszukiwaniu tematów oraz postaci niepokornych, niezłomnych, wyklętych" otrzymała Maria Dłużewska za film „Dzielnieśmy stali, celnie rzucali". Wyróżnienia otrzymały dokumenty „Siostry – dziesięć panien mądrych" w reżyserii Piotra Górskiego i „Żurawscy z Kajn" Adama Błaszczoka i Wandy Laddy. Poza nagrodzeniem twórców przyznano nagrodę „Drzwi do Wolności", wyróżnienie przyznawane za odwagę oraz poświęcenie bohaterom drugiego planu, wspierającym działaczy podziemia niepodległościowego i solidarnościowego. Otrzymali je: Bożena Magott – dziennikarka, sekretarz generalny sekcji zagranicznej Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, przez lata francuska korespondentka „Tygodnika Solidarność", Krzysztof de Junien (ps. Christophe Jussac) – współzałożyciel paryskiego Radia Solidarność, przedstawiciel Radia Wolna Europa, członek komitetu koordynacyjnego Solidarności" w Paryżu, Polskie Koleje Państwowe – za zaangażowanie w ochronę dziedzictwa kulturowego, pielęgnowanie pamięci o bohaterach naszego kraju i działania na rzecz upowszechniania wiedzy o polskiej historii, Tamás Molnár – węgierski działacz opozycji antykomunistycznej, który był w stałym kontakcie z polską podziemną Solidarnością, a wraz z Imre Molnárem zorganizował pierwszą nielegalną wystawę i protest po zabójstwie ks. Jerzego Popiełuszki, Petr Blažek – badacz historii Czechosłowacji, historii oporu i sprzeciwu wobec reżimu komunistycznego oraz stosunków czechosłowacko-polskich, pracownik Instytutu Badania Reżimów Totalitarnych Muzeum Pamięci XX wieku, Klub Sportowy Gedania Gdańsk – najstarszy polski klub piłkarski działający w Gdańsku, założony w sierpniu 1922 r., którego władze zostały zamordowane przez Niemców, a większość zawodników trafiła do obozów koncentracyjnych, Witold Kaczanowski – artysta, który przemycał na Zachód dzieła polskich pisarzy, Natalia Ponomariowa i Wołodymyr Grigorienko – założyciele starobielskiej organizacji Praw Człowieka „WOLA", która od początku wojny w Donbasie zajmuje się dokumentowaniem zbrodni separatystów, a obecnie rosyjskiej armii na Ukrainie. Wręczono także „Sygnety Niepodległości" poświęcone bohaterom walki o wolność. Przyznano je w tym roku: pośmiertnie gen. Stanisławowi Maczkowi oraz Piotrowi Majchrzakowi – najmłodszej ofierze stanu wojennego w Poznaniu, a także: kpt. Krzysztofowi Flizakowi – oficerowi US Army, najmłodszemu żołnierzowi gen. Andersa, kpt. Władysławowi Dąbrowskiemu – uczestnikowi bitwy pod Monte Cassino, mjr. Zenonowi Wechmannowi ps. Czarny Wilk – byłemu prezesowi Związku Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego Oddziału Wielkopolskiego oraz przewodniczącemu Wojewódzkiej Rady Kombatantów i Osób Represjonowanych w Poznaniu, uczestnikowi drugiej konspiracji oraz wydarzeń Czerwca '56. Organizatorami festiwalu są: Stowarzyszenie Scena Kultury i Miasto Gdynia. Patronat Narodowy objął nad nim Prezydent RP Andrzej Duda. Festiwal został dofinansowany ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Partnerem Generalnym XIV Festiwalu NNW był PKN ORLEN, a partnerem strategicznym – Fundacja PKO Banku Polskiego.



Prof. Jan Żaryn, dyrektor IDMN

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wokół 80. rocznicy powstania NSZ

27 września w Centrum Edukacyjnym Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego odbyła się konferencja naukowa poświęcona Narodowym Siłom Zbrojnym. Wydarzenie zostało zorganizowane w ramach obchodzonej niedawno 80. rocznicy powstania organizacji. Konferencja została zorganizowana przez IDMN we współpracy z Instytutem Pamięci Narodowej. Sesję swoim wykładem otworzył dyrektor IDMN prof. Jan Żaryn. Obrady składały się z dwóch części. Część wykładowa polegała głównie na przedstawieniu różnych perspektyw badawczych, postulatów naukowych czy wykorzystania technologii w badaniach nad organizacją NSZ. Swoje referaty podczas spotkania wygłosili: dr Rafał Sierchuła (IPN), Patrycja Resel (IPN) oraz dr hab. Olgierd Grott (UJ) wraz z Joanną Chudzicką (UJ). Blok ten zakończony został dyskusją. W drugiej części spotkania miała miejsce debata, w której udział wzięli dr hab. prof. IH PAN Krzysztof Kosiński oraz dr hab. prof. UW Tadeusz Rutkowski. Dyskusję poprowadził Michał Gniadek-Zieliński, pracownik działu naukowego IDMN. Jej głównym przedmiotem były wyzwania i perspektywy badawcze na kolejne dziesięciolecia, które stoją przed badaczami zajmującymi się historią NSZ. Ponadto IDMN z okazji rocznicy powołania NSZ przygotował okolicznościową animację, która jest dostępna na kanale Instytutu w serwisie YouTube.

eprasa.pl 2b95f03724

Marsz Niepodległości 2022

11 listopada – symboliczna rocznica powrotu Polski na mapę Europy po 123 latach zaborów zostanie upamiętniona jak co roku poprzez wielkie spotkanie patriotów w centrum Warszawy w ramach Marszu Niepodległości. O godz. 10.00 marsz poprzedzi msza św. w intencji Ojczyzny. O godz. 13.00 rozpocznie się główne wydarzenie na rondzie Romana Dmowskiego. Następnie marsz przejdzie na błonia Stadionu Narodowego. Organizatorem marszu jest Stowarzyszenie Marsz Niepodległości, kierowane przez Roberta Bąkiewicza. Więcej informacji o szczegółach uroczystości znajduje się na stronie internetowej: www.marszniepodleglosci.pl.



FOT. ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

„wSieci Historii" w Radiu dla Ciebie...

22 października i 19 listopada (soboty) o godz. 13.00 w Radiu dla Ciebie red. Wojciech Marczyk będzie rozmawiał z członkami redakcji miesięcznika.

...w Radiu Warszawa...

17 października (poniedziałek) o godz. 9.15 Radio Warszawa oraz magazyn „wSieci Historii" zapraszają na wspólną audycję. Gośćmi Ewy Pietrzak będą członkowie redakcji pisma.

...i w Radiu Gdańsk

Prezentacja najnowszego numeru „wSieci Historii" w każdą ostatnią środę miesiąca o godzinie 23:09 w audycji Wojciecha Suleckiego pt. „Co to za Historia".

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
wSIECI HISTORII	–	**34 zł** (3 wydania)	**59 zł** (6 wydań)
SIECI	**82 zł**	**149 zł**	**265 zł**
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	**169 zł** (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**295 zł** (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

Siostra Agata Mirek (1970–2022)

Zmarła s. Agata Mirek (1970–2022), profesor KUL, przełożona skrytego Zgromadzenia Córek Maryi Niepokalanej z siedzibą w Nowym Mieście nad Pilicą



Była wybitnym historykiem Kościoła katolickiego w Polsce i w Europie Środkowo-Wschodniej w okresie komunizmu. Przez lata kierowała Ośrodkiem Badań nad Geografią Historyczną Kościoła, była profesorem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i członkiem Towarzystwa Naukowego KUL. W sposób szczególnie wnikliwy opracowywała dzieje żeńskich zgromadzeń zakonnych w czasie II wojny światowej i w okresie Polski Ludowej, najpierw współpracując z prof. Jerzym Kłoczowskim, potem już samodzielnie. Jest m.in. autorką fundamentalnej pracy o akcji X-2 z 1954 r., w efekcie której polscy komuniści wywieźli do obozów pracy blisko 1,5 tys. sióstr zakonnych. W jednej z prac, której była redaktorem i autorem ważnego tekstu, traktującej o dramacie sióstr zakonnych poddanych po wojnie reżimom komunistycznym, pisała: „Główne uderzenie totalitaryzmu komunistycznego [w Europie Środkowo-Wschodniej] było wymierzone właśnie w siostry. Ich dzieje są przestrogą dla wyznawców naiwnej wiary, że idee głoszące postęp materialny z równoczesnym odrzuceniem wartości duchowych – tak charakterystyczne dla dzisiejszej kultury zachodniej – mogą być obiektywnie dobre i twórcze. Dzieje te pokazują dobitnie, jak kosztowne i bolesne może być dzieło pseudocywilizacji: zdobyty z wysiłkiem dorobek duchowy i materialny wielu pokoleń sióstr zakonnych w jednej chwili został zniszczony i rozgrabiony [...]". Te słowa pisane 10 lat temu są coraz bardziej aktualne.

Dla nas jednak zmarła to Agata – bliska nam osoba: „Kochana Małgosiu, serdecznie pozdrawiam i dziękuję za dobry czas spotkania u Was" – pisała w jednym z e-maili. Gdy tylko przyjeżdżała do Warszawy, zaglądała do nas – na Giewont. Jako małżeństwo otrzymywaliśmy od niej rok w rok piękne życzenia świąteczne – długie, pisane od serca i mądre, niepowierzchowne. Współpracowałem z nią także jako historyk Kościoła katolickiego, bywaliśmy na tych samych konferencjach, a zdarzało się, że współpracowaliśmy przy pisaniu wspólnej książki, np. o Polakach ratujących Żydów, w której s. Agata opisała niezwykły wkład żeńskich zgromadzeń zakonnych w to dzieło miłosierdzia.

Nigdy nie odmawiała współpracy, z serca dziękowała, że jesteśmy obecni na jej drodze życia. Teraz nam jej brakuje. Wyrażamy więc wdzięczność Bogu, że postawił ją na naszej drodze życia zawodowego i prywatnego, naszego małżeństwa.

Jan Żaryn

eprasa.pl 2b95f03724



GRZEGORZ GÓRNY

Sprawy życia i śmierci

7 stycznia 1993 r. Sejm Rzeczypospolitej przyjął ustawę o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży. W ten sposób Polska stała się pierwszym państwem na świecie, które w warunkach demokratycznych przeszło od prawa dopuszczającego aborcję z powodu trudnej sytuacji życiowej (czyli de facto na życzenie) do prawa chroniącego życie nienarodzonych. Dzięki temu dla chrześcijan w wielu krajach świata Polska stała się ważnym punktem odniesienia i wzorem do naśladowania, pokazując, że ludzkość nie jest skazana na determinizm dziejowy i jednokierunkowy rozwój: od cywilizacji życia do cywilizacji śmierci.

Kiedy w 1918 r. Rzeczpospolita odzyskała niepodległość, na jej terenie obowiązywało ustawodawstwo trzech mocarstw zaborczych. Prawo rosyjskie, niemieckie i austriackie uznawały aborcję za przestępstwo, wychodząc ze słusznego założenia, że proceder ten oznacza pozbawienie życia człowieka w prenatalnej fazie rozwoju. Przyjęty w 1932 r. kodeks karny, zwany kodeksem Makarewicza, nadal uznawał nielegalność aborcji, jednak czynił dwa wyjątki od karalności: z powodu ścisłych wskazań medycznych lub w sytuacji, gdy ciąża była wynikiem gwałtu, kazirodztwa bądź współżycia z osobą poniżej 15. roku życia.

W czasie II wojny światowej okupacyjne władze niemieckie promowały aborcję na podbitych ziemiach polskich. W latach 1943–1945 była ona bez problemu dostępna na żądanie. Jak mówił bowiem Adolf Hitler: „W obliczu dużych rodzin tubylczej ludności jest dla nas bardzo korzystne, jeśli dziewczęta i kobiety mają możliwie najwięcej aborcji". Innym razem przestrzegał: „Osobiście zastrzelę tego idiotę, który chciałby wprowadzić w życie przepisy zabraniające aborcji na wschodnich terenach okupowanych".

Po wojnie zniesiono hitlerowskie ustawodawstwo, jednak 27 kwietnia 1956 r. Sejm PRL (wyłoniony jeszcze w czasach stalinowskich, bo w 1952 r.) znów poszerzył prawną możliwość dokonywania aborcji. Stała się ona możliwa w trzech przypadkach: po pierwsze – z powodu wskazań medycznych dotyczących zdrowia matki lub jej płodu, po drugie – gdy ciąża była wynikiem przestępstwa, po trzecie – ze względu na trudne warunki życiowe kobiety.

Trzy tygodnie później, 16 maja 1956 r., internowany w Komańczy kard. Stefan Wyszyński napisał tekst Ślubów Jasnogórskich Narodu Polskiego. Jedno z siedmiu zawartych w nim przyrzeczeń dotyczyło obrony życia nienarodzonych i brzmiało następująco:

„Święta Boża Rodzicielko i Matko Dobrej Rady. Przyrzekamy Ci z oczyma utkwionymi w żłóbek Betlejemski, że odtąd wszyscy staniemy na straży budzącego się życia. Walczyć będziemy w obronie każdego dziecięcia i każdej kołyski równie mężnie, jak ojcowie nasi walczyli o byt i wolność Narodu, płacąc obficie krwią własną. Gotowi jesteśmy raczej śmierć ponieść, aniżeli śmierć zadać bezbronnym. Dar życia uważać będziemy za największą łaskę Ojca Wszelkiego Życia i za najcenniejszy skarb Narodu".

Prymas wiedział, jak wielkie niebezpieczeństwo niesie ze sobą wspomniana ustawa. Punkt o trudnych warunkach materialnych kobiet ciężarnych był tak nieprecyzyjny, że czynił aborcję de facto aktem na życzenie. Choć na słowa przysięgi napisanej przez kardynała przyrzekały w polskich świątyniach miliony katolików, to jednak ten punkt Ślubów Jasnogórskich nie został wypełniony. Szacuje się, że w PRL dokonywano kilkuset tysięcy aborcji rocznie.

Kościół starał się temu przeciwdziałać, uświadamiając wiernych, że chodzi o naruszenie piątego przykazania Dekalogu: „Nie zabijaj!". Pod wpływem nauki katolickiej powstał i rozwijał się prężnie – mimo komunistycznej opresji – ruch pro-life, angażując tysiące świeckich. Wielkie znaczenie miało też nauczanie Jana Pawła II, oddziałujące zwłaszcza na Solidarność. Kiedy w 1990 r. odbył się pierwszy po upadku komunizmu zjazd tego związku, zebrani związkowcy przyjęli uchwałę, że zobowiązują się doprowadzić do ustanowienia prawa chroniącego życie nienarodzonych. Słowa dotrzymano w 1993 r. Uchwalona wówczas ustawa obowiązuje do dziś.



Manifestacja pro-life pod Uniwersytetem Warszawskim, 2018 r.

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

eprasa.pl 2b95f03724

W CIENIU UTRACONEJ SZANSY, CZYLI... OD WOJNY DO WOJNY

RELACJE POMIĘDZY POLAKAMI I PAŃSTWEM POLSKIM A NAJWIĘKSZĄ MNIEJSZOŚCIĄ NARODOWĄ II RZECZYPOSPOLITEJ, JAKĄ STANOWIŁ ŻYWIOŁ UKRAIŃSKI (14–16 PROC. OGÓŁU OBYWATELI), BYŁY BURZLIWE. Z JEDNEJ STRONY PRZEMOC STOSOWANA PRZEZ NACJONALISTÓW UKRAIŃSKICH, A Z DRUGIEJ POLSKIE REPRESJE POGŁĘBIAŁY WZAJEMNĄ WROGOŚĆ



Wielki ataman Symon Petlura (1879–1926)

FOT. DOMENA PUBLICZNA



PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

Uniwersytet Łódzki

Nowy burzliwy rozdział dojrzewania świadomości narodowej Ukraińców, a zarazem prób budowy państwowości ukraińskiej, otworzyła Wielka Wojna. Gdy wybuchła, w Galicji Główna Rada Ukraińska ogłosiła zaciąg do Legionu Strzelców Siczowych, a we Lwowie powstał Związek Wyzwolenia Ukrainy. Z kolei po rewolucji lutowej 1917 r. w Rosji ukonstytuowała się w Kijowie Ukraińska Centralna Rada, która zwołała Ukraiński Kongres Narodowy, proklamowała powstanie autonomii ukraińskiej i jej rządu oraz patronowała powstaniu sił zbrojnych przyszłego państwa (Strzelców Siczowych i Wolnego Kozactwa).

Jeden naród – cztery państwa

Po bolszewickim puczu 1917 r. Centralna Rada odmówiła podporządkowania się „czerwonemu" rządowi Lenina i proklamowała utworzenie Ukraińskiej Republiki Ludowej ze stolicą w Kijowie. W odpowiedzi miejscowi bolszewicy ogłosili powstanie Ukraińskiej Republiki Rad, sterowanej w istocie z Piotrogrodu. Podporządkowane jej oddziały, wsparte przez sowiecką Rosję, zajęły Kijów i Odessę (agresję tę Sowieci określili oczywiście „ukraińską wojną domową" – charakterystyczne w kontekście niezmiennej od stuleci taktyki Kremla). Rząd URL wycofał się na Wołyń i zwrócił się o pomoc do Niemiec i Austro-Węgier. Jednak po zawarciu wiosną 1918 r. przez państwa centralne, URL i Rosję traktatu brzeskiego, który miał ochronić niepodległość Ukrainy, na jej tereny wkroczyły wojska niemieckie i austro-węgierskie, a dawny carski oficer Pawło Skoropadski ogłosił powstanie marionetkowego wobec Berlina Hetmanatu. Przeciwko uzurpatorowi wybuchło powstanie kierowane przez Dyrektoriat URL, które zakończyło się upadkiem Skoropadskiego i przywróceniem Ukraińskiej Republiki Ludowej. Jednak jej niepodległy byt nie trwał długo – po zakończeniu I wojny światowej nastąpił powtórny najazd Armii Czerwonej, a tzw. Tymczasowy Robotniczo-Chłopski Rząd Ukrainy uchwalił jej połączenie z Rosją na zasadach federacji. Miary chaosu dopełniła rozwijająca się z południa Ukrainy ofensywa „białych" Rosjan, dowodzona przez gen. Denikina. Tymczasem rozpad monarchii austro-węgierskiej umożliwił jesienią 1918 r. utworzenie w Galicji Wschodniej Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, mającej objąć obszary od Sanu po Zbrucz. Jej wojska w latach 1918–1919 toczyły bratobójczą wojnę z siłami polskimi. Zwycięstwo odnio-

eprasa.pl 2b95f03724

sła w niej odradzająca się do niepodległego bytu Rzeczpospolita – ZURL przestała istnieć, a w granicach Polski znalazła się Małopolska Wschodnia ze Lwowem.

Upadek wielkiego projektu

Po upadku Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej linię frontu obsadzoną przez polskie wojska na Wołyniu przekroczyły władze i dowodzone przez wielkiego atamana Symona Petlurę ostatnie oddziały URL, próbujące stawiać opór jednocześnie bolszewikom i „białym", a także toczące dotąd walki z przesuwającymi się na wschód oddziałami polskimi. Właśnie Polacy – niedawny przeciwnik – miał się stać dla Ukraińców sojusznikiem „ostatniej szansy" na uratowanie niepodległości. Z kolei dla Piłsudskiego – ówczesnego Naczelnika Państwa i Wodza Naczelnego wojsk Rzeczypospolitej – sojusz z Petlurą, zwycięskie polsko-ukraińskie uderzenie na bolszewików pustoszących Ukrainę i przywrócenie jej niepodległości miało doprowadzić do zbudowania Stanów Zjednoczonych Europy Wschodniej, czyli potężnej federacji, w której obok Polski i Ukrainy Marszałek widział też miejsce dla Białorusi i opornej dotychczas na podobne propozycje Litwy. W kwietniu 1920 r. Petlura i Piłsudski zawarli sojusz, a na Ukrainę ruszyła wspólna ofensywa, która w ciągu niespełna dwóch tygodni doprowadziła do wyzwolenia Kijowa. Jednak na zbudowanie przez Ukraińców zrębów suwerennej republiki, rozbudowę wojska i organizację administracji nie starczyło czasu – sowiecki kontratak odepchnął polskie armie i bijących się u ich boku petlurowców pod Warszawę. Co prawda, pogrom bolszewików nad Wisłą i ich klęska nad Niemnem ocaliły i umocniły niepodległość Rzeczypospolitej, lecz państwu polskiemu nie starczyło sił, by „wygrać" suwerenne państwo dla Ukraińców. Polsko-sowiecki traktat ryski podzielił Ukrainę. Jej zachodnie obszary znalazły się w Rzeczypospolitej, a z centralnych i wschodnich Rosja utworzyła marionetkową sowiecką republikę, wchłoniętą z czasem przez Związek Sowiecki. Losy Ukraińców walczących u boku Polaków w wojnie 1920 r. były smutne – część z nich próbowała bez powodzenia wzniecić walki na sowieckiej Ukrainie, inni pozostali w Polsce lub emigrowali na Zachód. Samego Petlurę zamordował w Paryżu sowiecki agent.

Naród podzielony

Relacje pomiędzy Polakami i państwem polskim a największą mniejszością narodową II Rzeczypospolitej, jaką stanowił żywioł ukraiński (14–16 proc. ogółu obywateli), były burzliwe. Z jednej strony próbowano pozyskać Ukraińców do programu prometejskiego, dążąc do skanalizowania ich irredentystycznych ambicji przeciwko Sowietom i wskazanie jako wspólnego polsko-ukraińskiego celu – budowy niepodległej Ukrainy kosztem Kraju Rad. Z drugiej strony pomiędzy państwem polskim i ludnością polską a mniejszością ukraińską na Kresach Wschodnich rozgorzały konflikty, wywołane głodem ziemi występującym wśród ukraińskich chłopów, polonizacją kresowego szkolnictwa, wreszcie nierównoprawnym traktowaniem Ukraińców przez polskich urzędników. Równocześnie konspiracje ukraińskie – zarówno Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów, jak i Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy – postulowały oderwanie Małopolski Wschodniej i Wołynia od Polski. Nacjonaliści dążyli do utworzenia suwerennego państwa ukraińskiego, komuniści – do włączenia tych obszarów do Związku Sowieckiego. Przemoc stosowana przez nacjonalistów ukraińskich, a także polskie represje pogłębiały wzajemną wrogość.

O ile jednak sytuację Ukraińców w Polsce określić można jako trudną, o tyle ich losy w granicach sowieckiej republiki ukraińskiej miały się okazać tragiczne. Po powołaniu do życia sowieckiej Ukrainy bolszewicy zapoczątkowali politykę ostrych represji, narzucając równocześnie własne kierownictwo polityczne. Realizowali kurs rusyfikacyjny, wprowadzając język rosyjski w urzędach i szkołach. W połowie lat 20. zastąpiono tę taktykę polityką ukrainizacji – zrównania praw języka rosyjskiego i ukraińskiego, wprowadzenia autonomii kulturalno-narodowej, a także dopuszczenia Ukraińców do aparatu partyjnego i państwowego. Jednak następna dekada otworzyła w dziejach Ukraińców w Związku Sowieckim rozdział stalinowskich masowych czystek, krwawych represji i wywózek do łagrów. Miary dramatu narodu dopełnił tzw. Hołodomor (dosłownie „zamorzenie głodem") – była to wywołana i nadzorowana przez komunistów, sowiecką bezpiekę i wojsko klęska głodu na Ukrainie, która pociągnęła za sobą śmierć blisko 10 mln Ukraińców.

Od iluzji do zbrodni

Wyjątkowo tragiczny rozdział w dziejach relacji ukraińsko-polskich otworzył wybuch II wojny światowej. Po agresji niemiecko-sowieckiej na II Rzeczpospolitą na polskich Kresach Wschodnich, okupowanych przez Związek Sowiecki, bolszewicy przeprowadzili – w cieniu terroru i podsycania wrogości ukraińskiej ludności wobec Polaków – wybory do Zgromadzenia Ludowego Zachodniej Ukrainy, które miały legitymizować sowiecki najazd z 17 września 1939 r. Zgromadzenie wystąpiło do władz Związku Sowieckiego z prośbą o włączenie zachodniej Ukrainy w granice sowieckiej republiki ukraińskiej, co nastąpiło jeszcze w 1939 r. Jednak wystarczyły niespełna dwa lata dobrodziejstw życia w ojczyźnie światowego proletariatu, by Ukraińcy, będący wcześniej obywatelami Rzeczypospolitej – a z nimi ci, którzy przetrwali wcześniej stalinowskie rzezie i Wielki Głód na sowieckiej Ukrainie – witali wkraczające w 1941 r. w granice Kraju Rad wojska niemieckie jako wyzwolicieli. Równocześnie Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów podjęła działania zmierzające do utworzenia narodowego państwa ukraińskiego w sojuszu z III Rzeszą. Wobec sprzeciwu Berlina, który w Ukrainie widział jedynie kolejny okupowany obszar Związku Sowieckiego, zezwalając tylko na formowanie ukraińskich jednostek wojskowych i policji, plany te okazały się iluzją. Jednak antypolska propaganda OUN i utworzona przez nią Ukraińska Powstańcza Armia przyczyniły się w 1943 r. do rzezi wołyńskiej, w trakcie której oddziały UPA, wspierane przez podburzoną miejscową ukraińską ludność, wymordowały ok. 60 tys. Polaków. Celem inspiratorów tych działań była czystka etniczna na zachodnich obszarach przyszłego państwa ukraińskiego, o które – w obliczu niemieckich klęsk na froncie wschodnim – zamierzali stoczyć bój z nadciągającą Armią Czerwoną.

eprasa.pl 2b95f03724

ZIEMIANINA PRZEMYŚLENIA UKRAIŃSKO-POLSKIE

FRAGMENT WSPOMNIEŃ WOJCIECHA SARYUSZA-ZALESKIEGO TO NIEZWYKŁY, GŁĘBOKI, A ZARAZEM GORZKI, BO PISANY Z PERSPEKTYWY EMIGRACYJNEJ, PRZYCZYNEK DO ROZRACHUNKÓW POLSKO-UKRAIŃSKICH, PEŁEN NIE TYLKO NOSTALGII DO KRAINY DZIECIŃSTWA, LECZ PRZEDE WSZYSTKIM EMPATII WOBEC POSTULATÓW POLITYCZNYCH I SPOŁECZNYCH STRONY UKRAIŃSKIEJ, ZASKAKUJĄCEJ U POCHODZĄCEGO Z ZIEMIAŃSTWA INTELIGENTA I RADYKALNEGO POLSKIEGO NACJONALISTY



Jan Stanisławski, „Stodoły w Pustowarni" Obraz namalowany ok. 1898 r. przedstawia rodzinny majątek Wojciecha Saryusz-Zaleskiego na Ukrainie

FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

eprasa.pl 2b95f03724



PAWEŁ SKIBIŃSKI

IDMN

Urodzony w Pustowarni na Ukrainie Wojciech Saryusz-Zaleski (1906–1961) jest znany przede wszystkim jako jeden z założycieli Obozu Narodowo-Radykalnego w 1934 r. i główny autor programu gospodarczego tego ugrupowania. Mniej osób pamięta, że był on naczelnym redaktorem głównego organu ONR–ABC – warszawskiego dziennika „ABC", a podczas wojny członkiem ścisłego kierownictwa Konfederacji Narodu i osobą z jej ramienia nadzorującą wydawanie słynnego periodyku narodowego – „Sztuka i Naród". Po II wojnie światowej znalazł się na emigracji, gdzie najpierw doradzał Amerykanom w Paryżu przy realizacji Planu Marshalla, a następnie od połowy lat 50. minionego stulecia kierował polskojęzyczną rozgłośnią Radio Nacional Española, tzw. Radiem Madryt.

Znaleziony w archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu napisany przez Zaleskiego maszynopis, którego fragment dziś publikujemy, nigdy nie został w całości wydany drukiem. Nie powinno dziwić nas to, że tekst wybitnego ONR-owca trafił do redakcji paryskiej „Kultury". Zaleski znał bowiem doskonale Jerzego Giedroycia jeszcze sprzed wojny – był w tym okresie jego stałym partnerem brydżowym. Po wojnie kilkukrotnie publikował zaś swoje teksty na łamach kierowanego przez Giedroycia czasopisma.

Jest to w sumie niemal 20-stronicowy tekst – silnie przeredagowywany przez autora. Dotyczy on wspomnień Zaleskiego z dzieciństwa, gdy mieszkał jeszcze w rodzinnym majątku w Pustowarni, w powiecie skwirskim, który to majątek zasłużył się dla polskiej kultury, m.in. wielokrotnie na swych genialnych miniaturach uwiecznił go znany polski malarz Jan Stanisławski.

Nie jesteśmy w stanie dokładnie określić daty powstania wspomnień Zaleskiego. Z ich treści jednak wynika, że zostały spisane w latach 1955–1961, gdy Wojciech Zaleski mieszkał już w Madrycie.

Pod koniec maszynopisu znajdujemy zamieszczone poniżej bardziej generalne refleksje na temat historycznych przyczyn wywłaszczenia polskich ziemian na Ukrainie i upadku niepodległego państwa ukraińskiego po I wojnie światowej. Jest to niezwykły, głęboki, a zarazem gorzki, bo pisany z perspektywy emigracyjnej, przyczynek do rozrachunków polsko-ukraińskich, pełen nie tylko nostalgii Wojciecha Zaleskiego do krainy dzieciństwa, lecz przede wszystkim jego empatii wobec postulatów politycznych i społecznych strony ukraińskiej, zaskakującej u pochodzącego z ziemiaństwa inteligenta i radykalnego polskiego nacjonalisty.

Wspomnienia i refleksje ukraińskie

Wojciech Zaleski

Władze ukraińskie wydały dekrety wywłaszczeniowe, ale nie istniał aparat administracyjny, zdolny do ich wykonania. Sytuację wyzyskiwali komuniści i różne szumowiny. Teoretycznie chłopi powinni czekać na zarządzoną parcelację tudzież podział inwentarza dworskiego. Ziemianie polscy, uważając, że rzecz „rozejdzie się po kościach", a zapewne także uważając za swój obowiązek trwać, jak przez stulecia trwali ich przodkowie, pozostawali po dworach. Ze strony ludności, z którą żyli zgodnie od niepamiętnych czasów, nie spodziewali się aktów gwałtu, liczyli na starych chłopów.

Ale wieś pełna była wówczas młodych, zdemobilizowanych lub zbiegłych z frontu. Nie brakowało również broni. Agitatorzy bolszewiccy dążyli do wywołania jak największego chaosu. Doszło do masowego ruchu, który przybrał formę napadów na dwory. Nie mogło być właściwie inaczej. Chłop ukraiński nie potrafił oddzielić sprawy własności ziemi od samej obecności dziedzica we wsi. Żeby dostać ziemię trzeba wypędzić dziedzica.

[...] Z naszym dworkiem sprawa ciągnęła się długo, ale w końcu musiało i u nas dojść do „podziału mienia". Ze względu na szkołę mieszkaliśmy już w Skwirze. Pamiętam tylko samotną wycieczkę do Pustowarni, by zabrać „niektóre rzeczy". Miałem wówczas lat 12, a matce ani przez chwilę nie przyszło do głowy, że może nam grozić niebezpieczeństwo...

W tydzień po tej wycieczce, stojąc na ulicy przed naszym domem w Skwirze, zauważyłem pochód. Paru chłopów szło prowadząc na czele trzy krowy, które wydały mi się jakieś znajome. Poczułem się trochę niepewnie, gdy pochód zatrzymał się przed bramą naszego domu, a chłopi ustawili się półkolem, ale uprzejme pozdrowienie „panicza" rozwiały obawy. Zapytali o „didycza i dydyczku". Była tylko matka, którą przewodzący delegacji powitali całując w rękę. Potem wysłuchaliśmy przemówienia: dekret Małej rady (quasi parlament) przewiduje, że dziedzic ma prawo do dwóch krów ze swego inwentarza. W Pustowarni zrobiono schod [wiec] i uchwalono jednomyślnie dać nam trzecią krowę (oczywiście z naszych...) w dowód wdzięczności za opiekę w chorobie, za cegły na budowę cerkwi i w ogóle za dobre stosunki z wsią. Matka odpowiedziała krótko, dziękując jakby za upominek. To było jej pożegnanie z Pustowarnią w 18 lat po zawarciu znajomości.

Mieszkaliśmy w ogromnym ogrodzie, który stał się pastwiskiem dla czterech krów (czwarta – zabrana przedtem z Pustowarni – nie została także „odliczona"), dostarczających mleka dla nas i mniej szczęśliwych sąsiadów.

[...] Pokolenie mojego ojca myślało wiele o utraconej Ukrainie, ale dla nas młodych nowy świat był o wiele bardziej pociągający. Trzeba było dopiero długich lat drugiej emigracji, by wrócić myślą do pustej warowni, by podjąć próbę zrozumienia i wytłumaczenia w świetle wspomnień dzieciństwa tego, co się tam naprawdę stało, tej zdumiewającej ruiny dorobku materialnego i kulturalnego, tworzonego wysiłkiem wielu pokoleń i utrzymanego przez kilkadziesiąt lat pod obcą władzą.

Zacznijmy od strony rosyjskiej. Cały wiek XIX wykazał, że Rosja nie miała innego sposobu zlikwidowania wpływów polskich na Ukrainie niż połączenie swej polityki narodowej z przewrotem społecznym. Trzeci partner – Ukraińcy – nie mieli innego sposobu wywalczenia niepodległości »

eprasa.pl 2b95f03724

» *niż pełne poparcie dążeń społecznych chłopa. Ale to im jeszcze nie wystarczało – nie mieli zupełnie kadr zdolnych do administrowania krajem i utrzymania w nim porządku, mogli mieć po swojej stronie tylko żywioł.*

Zapewne ruch ukraiński miał swoje ośrodki, miał szczupłe kadry inteligencji, miał przejawy działalności bardziej zaawansowanej niż śpiewy ludowe w Pustowarni. Nie piszę o nich, ograniczam się do opisywania tego, co jako dziecko widziałem i pamiętam. Ale na pewno ruch ten cierpiał na straszny brak ludzi wyrobionych. Myśmy mieli swoje dwory, pisma, kontakt z Warszawą i Krakowem, gdzie się wciąż podróżowało, bo było za co. Oni w porównaniu z nami mieli warunki działania bez porównania gorsze.

Z naszą pomocą dla nich było tak, jak z całą działalnością Polaków na Ukrainie. Byliśmy potęgą pozbawioną organizacji. Można poważnie mówić o naszej polityce popierania aspiracji ukraińskich tylko na poziomie wsi. Poczynania zorganizowane też były, ale najwidoczniej na skalę zbyt małą, bo w decydujących momentach 1918 i 1920 roku nie dały owoców.

Dwory polskie na Ukrainie były jednym wielkim sąsiedztwem, nie stanowiły jednak jednolitej organizacji, którą mogły się były stać. Bankructwo dawnej rzeczpospolitej stało się nieuchronnym następstwem zatraty zdolności do działania politycznego. Zapomnieliśmy, że polityka jest sztuką organizacji sił społecznych do akcji i nie bardzo chcemy sobie o tym przypomnieć – wtedy na Ukrainie, a może i dziś na emigracji...

Dlatego może nie mogliśmy zapewnić Ukraińcom w naszej wsi awansu społecznego. Tendencje polskich ruchów społecznych były dostatecznie silne na ziemiach Polski, by stworzyć w 1920 r. poczucie solidarności narodowej, górujące nad wszystkim innym. Wszyscy w Polsce mniej lub więcej jasno przeczuwali, że powstanie Polski będzie też wstępem do nadrobienia opóźnień ewolucji społecznej, powstałych w czasie zaborów. Na Ukrainie było inaczej.

Dążenie do usunięci władzy rosyjskiej i stworzenia władzy ukraińskiej sprzymierzonej z Polską mogło być uwieńczone powodzeniem tylko pod jednym warunkiem: rezygnacji Polaków z tych pozycji gospodarczych, które zdobyte zostały w innym ustroju. Nie raz – w 1920 roku – ale dwa razy, także w zimie 1917/1918 bolszewicy wygrali sprawę na Ukrainie, wywołując anarchiczny ruch niszczenia dworów, przeciwstawiając ostro ukraińskich chłopów polskim ziemianom.

Był tylko jeden czynnik zdolny do pokojowego wykonania planu reform rolnych na Ukrainie: sami Polacy. Czyż jednak można było od ziemian wymagać wówczas tak wiele, skoro nawet w trzy lata później wojska polskie wkraczały na Ukrainę bez zapewnienia chłopów, że pozostaną oni przy własności dworskiej, uzyskawszy nawet od Petlury tajne zobowiązanie do jej zwrotu „panom"? czyż kiedykolwiek w historii warstwy korzystające z przestarzałych form ustroju zdradzały skłonność do rezygnacji?

Trzeba wielu doświadczeń, przeżyć i obserwacji, by zrozumieć, że są w życiu wartości o wiele ważniejsze od najpiękniejszych i najbardziej z historią rodziny związanych majątków, że mądra rezygnacja bywa najlepszym punktem wyjścia do nowych zdobyczy w znacznie większej skali, wspólnych z tymi siłami, którym się ustąpiło. Trzeba też było wielu przemyśleń i badań, by móc bezstronnie ocenić, co warte są różne święte tytuły własności.

Trzeba też rozszerzyć pole obserwacji, by stwierdzić, że w pewnym stadium rozwoju kulturalnego podział na narody uprzywilejowane i upośledzone na tym samym terytorium jest niemożliwy do utrzymania, że prowadzi nieuchronnie do zwycięskiej rewolucji upośledzonych. Gdy na jednym krańcu dawnej Polski chłop ukraiński najpierw likwidował dwory polskich „feudałów", a później nie chciał się bić o niepodległość połączoną z przywróceniem ich praw, na drugim krańcu górnik i hutnik śląski podjął zwycięską walkę przeciw feudałom pruskim. Kto nie rozumie analogii tych dwu procesów. Ten naprawdę niewiele wie o historii Polski w naszym stuleciu.

Nasz zdekoncentrowany wkład w budowę podstaw kapitalizmu rosyjskiego, którego refleksy widziało się i na Ukrainie, znikł bez śladu i przyczynił się tylko do stworzenia podstaw pod dzisiejsze piatilietki. Był to zaiste swoisty paradoks. Polska była politycznie kolonią Rosji, Rosja była gospodarczo kolonią Polski. Była nią także do 1918 roku Ukraina, a okres kolonializmu starego typu zbliżał się nieuchronnie do swego kresu.

Czy znaczy to, że mamy ostatecznie odwrócić kartę wspomnień z tej ziemi, zamknąć epopeję walki i wytrwania, klęskę uznać za ostateczną? Nie zostawia się odłogiem pól, na których się orało, nie rzuca się rozpoczętej pracy, nie można wyrzec się historycznej odpowiedzialności, którą się podjęło. Kto nie poczuwa się do współodpowiedzialności za ziemię swych sąsiadów, ten doczeka się nieuchronnie chwili, w której inni wezmą w swe ręce odpowiedzialność za jego losy, ubezwłasnowolnią go.

Pod niebem Hiszpanii, myśli nasze wracają na odległą Ukrainę, starają się znaleźć odpowiedź, dlaczego myśmy przegrali i dlaczego przegrali Ukraińcy? Starają się szukać usprawiedliwienia czy wyjaśnienia popełnionych błędów. Na tle wspomnień dzieciństwa, tak żywo stojących w pamięci, jak strasznie zawiłą była wówczas sytuacja, jak heroicznych decyzji wymagała. Przecież wówczas jeszcze kataklizmy światowe nie nauczyły nas, że małą wagę przywiązywać należy do takich rzeczy, jak majątki i dwory, gdy w grę wchodzą losy cywilizacji. Czyż dookoła siebie nie widzimy takiej samej ślepoty dziś? Ludzie dookoła nas jeszcze dziś nie wiedzą, no a nasi ojcowie wtedy jeszcze nie wiedzieli.

Różnie bywało na Ukrainie. Nie wszędzie i nie zawsze potężny przewrót wyglądał tak niemal idyllicznie jak w Pustowarni i Skwirze. Pamiętam jednak, że podczas naszego pożegnania z Ukraińcami z naszej wsi nie padło ani z ich ust, ani z naszych ani jedno złe słowo. Otrzymaliśmy upominek, który nie tylko pozwolił mi wzbogacić moje doświadczenia zawodowe o pracę pastucha, ale pozwala mi także dzisiaj bez żalu napisać, że ziemię (i resztę krów) zabrano nam zgodnie z prawem – nie tylko prawem Centralnej Rady, ale także prawem dziejów, które powiada, że kto nie potrafi udźwignąć ciężaru władzy, odpowiedzialności i opieki, nie potrafi prowadzić całej ewolucji społecznej w kierunku pełnego upowszechnienia materialnych i duchowych wartości – traci władzę i wszystkie jej atrybuty.

Wdzięczny jestem i za krowy i za to, że bez oporów psychicznych mogę myśleć o tym jednym co mi z ukraińskiej przeszłości zostało: o obowiązku wyjęcia gwoździ wbijanych co dzień w ciało Ukrainy i Polski. ■



Jan Stanisławski, „Pejzaż" (fragment obrazu)

FOT. WILCZYŃSKI KRZYSZTOF/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

eprasa.pl 2995103724



Panorama Lwowa, 1901 r.

STANISŁAW PIASECKI I UNIA POLSKO-UKRAIŃSKA

„MOŻEMY TYLKO – PÓJŚĆ RAZEM" – PISAŁ W 1935 r. O SPORACH MIĘDZY POLAKAMI A UKRAIŃCAMI REDAKTOR NACZELNY OPINIOTWÓRCZEGO TYGODNIKA „PROSTO Z MOSTU", NARODOWIEC STANISŁAW PIASECKI



JAKUB SIEMIĄTKOWSKI

IDMN

Piasecki urodził się w 1900 r. we Lwowie. W dobie odradzania się Rzeczypospolitej walczył z Ukraińcami, bolszewikami i Niemcami w powstaniu śląskim. W trakcie studiów dołączył do Związku Akademickiego Młodzież Wszechpolska – uniwersyteckiej ekspozytury wpływów ruchu narodowego. Od 1935 r. redagował „Prosto z Mostu" – pismo, które miało zawalczyć o umysły polskiej inteligencji z lewicowo-liberalnymi „Wiadomościami Literackimi".

Pragnąc przede wszystkim wywierać wpływ na sposób myślenia rodaków, Piasecki nie uczestniczył w walkach frakcyjnych wewnątrz ruchu narodowego. „Był opętany wiarą w Polskę [...]. Był narodowcem nie związanym z żadną kapliczką i służył całemu ruchowi narodowemu – bez względu na skłócenia wewnętrzne" – pisał po wojnie Karol Zbyszewski.

Sprawa najważniejsza z ważnych

Poglądy naszego bohatera należy przy tym określić jako nieszablonowe – odbiegające w wielu kwestiach od tego, co głosił główny nurt obozu narodowego. Ich nietypowość przejawia się chyba najdobitniej właśnie w publicystyce na temat Ukraińców. Redaktor „Prosto z Mostu" orędował bowiem za pojednaniem i współpracą z tym narodem. Kontrastuje to silnie z publicystyką współczesnych mu innych reprezentujących młode pokolenie autorów, takich jak Jędrzej Giertych czy Tadeusz Gluziński – uważających, że zamieszkujący ziemie II RP Ukraińcy są jedynie szczepem



Stanisław Piasecki

narodu polskiego, niczym Kaszubi czy Ślązacy. „I skończmy z bajeczką, stworzoną w najlepszej wierze przez naszych ojców, że Rusini, to jakiś pod-szczep polski, posługujący się gwarą, pozostającą w takim stosunku do polszczyzny, jak np. gwara kaszubska. To nieprawda. To naród z własnym językiem" – pisał w 1935 r. Piasecki.

Publicysta posuwał się nawet do słów uznania dla ideowości bojowców z OUN. Jak uważał, ich niepodległościowe aspiracje Polska powinna umieć odpowiednio ukierunkować, gdyż jej »

FOT. POLONA, DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 2b95f03724

» przeznaczeniem jest stawić czoła imperializmom niemieckiemu i rosyjskiemu. To z kolei będzie niemożliwe, jeśli nie uda jej się porozumienie z drugim wielkim narodem Europy Środkowo-Wschodniej – z Ukraińcami.

Piasecki krytykował przy tym zarówno koncepcję inkorporacyjną Dmowskiego, jak i federacyjną Piłsudskiego. Obie wydawały mu się anachroniczne, nieodpowiadające wyzwaniom współczesności. W ich miejsce proponował unię polsko-ukraińską – mającą stanowić wydarzenie na miarę tej polsko-litewskiej z XIV w. Nie wierząc w kolonizację kresów, z rezerwą odnosił się do pomysłów asymilacji Ukraińców. W zamian za to proponował systematyczne zbliżanie obu narodów i przyciąganie Ukrainy do cywilizacji europejskiej.

[...]

Poglądy, które głosił redaktor naczelny „Prosto z Mostu", były reprezentatywne dla kręgu tego czasopisma. W kontekście późniejszych wydarzeń na Wołyniu i w Galicji Wschodniej wypadają one dwuznacznie. Z jednej strony śmiałe postulaty współpracy z Ukraińcami – wobec nieprzejednanego stanowiska radykałów z OUN – mogą wyglądać naiwnie. Z drugiej strony zrozumienie faktu istnienia odrębnego ukraińskiego narodu oraz świadomość ewentualnych korzyści ze współpracy z nim przeciw ZSRR i Niemcom pozytywnie wyróżnia polityczne intuicje Piaseckiego na tle panujących ówcześnie w obozie narodowym.

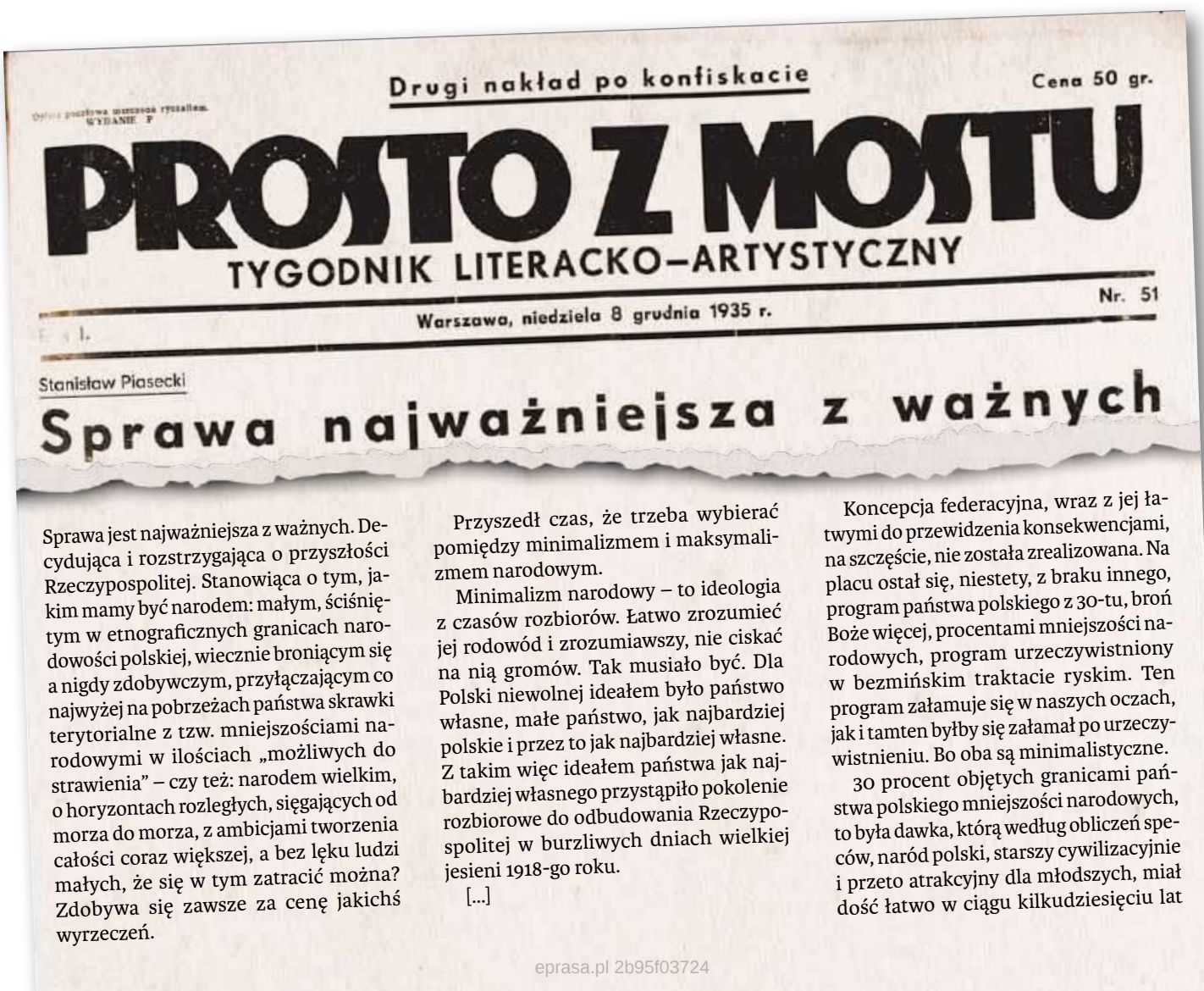
Rewizja poglądów?

Po wybuchu wojny Piasecki wstąpił do Stronnictwa Narodowego i podjął się redagowania organu prasowego partii – konspiracyjnego pisma „Walka". Na jej łamach ukazywały się artykuły odbiegające treścią od tego, co można było przeczytać w „Prosto z Mostu". Negatywnie wyrażano się tam o ukraińskich aspiracjach niepodległościowych, w czym można się dopatrywać wyrazu oficjalnej linii SN. Jak duży wpływ miał na tę publicystykę Piasecki? Trudno powiedzieć, nie można wszak wykluczyć zmiany poglądów, np. pod wpływem ataków OUN na Polaków we wrześniu 1939 r. Pełni prawdy zapewne już nie poznamy.

Redaktor „Prosto z Mostu" został aresztowany przez Niemców w grudniu 1940 r. Nie oznaczało to zaprzestania pracy – przeniesiony na Pawiak grypsami przesyłał kolejne artykuły do „Walki". „Nie znam przykładu podniesienia roli społecznej redaktora na takie wyżyny" – pisał Wasiutyński.

Piaseckiego, określanego przez Czesława Miłosza mianem „fanatyka patriotyzmu", rozstrzelano 12 czerwca 1941 r. w Palmirach. Jego szczątki spoczywają tam do dziś.

FOT. POLONA



Drugi nakład po konfiskacie

Cena 50 gr.

WYDANIE P

PROSTO Z MOSTU

TYGODNIK LITERACKO-ARTYSTYCZNY

Warszawa, niedziela 8 grudnia 1935 r. Nr. 51

Stanisław Piasecki

Sprawa najważniejsza z ważnych

Sprawa jest najważniejsza z ważnych. Decydująca i rozstrzygająca o przyszłości Rzeczypospolitej. Stanowiąca o tym, jakim mamy być narodem: małym, ściśniętym w etnograficznych granicach narodowości polskiej, wiecznie broniącym się a nigdy zdobywczym, przyłączającym co najwyżej na pobrzeżach państwa skrawki terytorialne z tzw. mniejszościami narodowymi w ilościach „możliwych do strawienia" – czy też: narodem wielkim, o horyzontach rozległych, sięgających od morza do morza, z ambicjami tworzenia całości coraz większej, a bez lęku ludzi małych, że się w tym zatracić można? Zdobywa się zawsze za cenę jakichś wyrzeczeń.

Przyszedł czas, że trzeba wybierać pomiędzy minimalizmem i maksymalizmem narodowym.

Minimalizm narodowy – to ideologia z czasów rozbiorów. Łatwo zrozumieć jej rodowód i zrozumiawszy, nie ciskać na nią gromów. Tak musiało być. Dla Polski niewolnej ideałem było państwo własne, małe państwo, jak najbardziej polskie i przez to jak najbardziej własne. Z takim więc ideałem państwa jak najbardziej własnego przystąpiło pokolenie rozbiorowe do odbudowania Rzeczypospolitej w burzliwych dniach wielkiej jesieni 1918-go roku.

[...]

Koncepcja federacyjna, wraz z jej łatwymi do przewidzenia konsekwencjami, na szczęście, nie została zrealizowana. Na placu ostał się, niestety, z braku innego, program państwa polskiego z 30-tu, broń Boże więcej, procentami mniejszości narodowych, program urzeczywistniony w bezmińskim traktacie ryskim. Ten program załamuje się w naszych oczach, jak i tamten byłby się załamał po urzeczywistnieniu. Bo oba są minimalistyczne.

30 procent objętych granicami państwa polskiego mniejszości narodowych, to była dawka, którą według obliczeń speców, naród polski, starszy cywilizacyjnie i przeto atrakcyjny dla młodszych, miał dość łatwo w ciągu kilkudziesięciu lat

eprasa.pl 2b95f03724

zasymilować. Tylko, że w tym rachunku polonizacyjnym popełniono parę kardynalnych błędów. Błędów anachronistycznego myślenia.

Było w tym przede wszystkim sporo szlacheckiej fantazji i sugestii łatwości, z jaką dawna Polska szlachecka wcielała w organizm Rzeczypospolitej obconarodowościowe obszary. Bo Polska przedrozbiorowa była państwem narodu szlacheckiego. Spolonizować – to znaczyło po prostu pokryć kresowe ziemie siecią polskich dworów. Operacja nietrudna zarówno ilościowo, jak i pod względem odporu na asymilację ułatwiona. Ruski bojarzyn i kniaź, czy litewski panek, więcej czuł wspólnego z polskim szlachcicem, który go dopuścił do swojego herbu, niż z chłopem ukraińskim lub litewskim. W warstwach odgórnych odporność narodowa zawsze jest mniejsza, kosmopolityzm większy, a ciążenie ku słońcu królewskiego dworu (w tym wypadku w Krakowie, a potem w Warszawie) naturalne. Pomieszały się więc prędko rody polskie, litewskie i ruskie, spokrewniły, wykrzyżowały, spolonizowały. Była Polska szlachecka od morza do morza. Po wierzchu, a od spodu chłop. Na ziemiach ukrainnych – ukraiński, w etnograficznej Polsce – polski. Chłop pańszczyźniany, który się nie liczy, który orze, bronuje, sieje pszenicę i żyto, zwozi zbiory do pańskich gumien, któremu za Dniestrem stawia się cerkiewki i mówi się do niego po rusku, a któremu bardziej na zachód wznosi się kościółki i zwraca się do niego po polsku. To przecież nie ma żadnego znaczenia. Chłop – to tylko chłop. Sienkiewiczowski cham. Polska nosiła się dumnie w delii, połyskiwała szabelką, chrzęściła husarskimi skrzydłami.

Krwawo zapłaciła Polska szlachecka za tę krótkowzroczność narodową, za to łudzenie się, że cieniutka warstwa górna może się identyfikować z narodem. Zapłaciła toporom i kosom Gonty, Żeleźniaka, Szeli, zapłaciła abstynencją chłopską w 31-ym i 63-cim roku. Za późno włożył naczelnik Kościuszko sukmanę i zbyt teatralnie, na pokaz. Za późno zrozumiano, że naród – to cały naród, i kiedy po wielkiej wojnie odradzała się nowa Polska – na północy oderwała się od niej chłopska Litwa, a na południu budzić się poczęła chłopska Ukraina. Nie sposób już było wskrzesić Rzeczypospolitej w dawnych, przedrozbiorowych granicach.

[...]

Współczesna ideologia narodowa tak, jak ją rozumiemy i czujemy w Europie, różni się bardzo znacznie od tego, co chrzci się mianem szowinizmu, czy też bardziej nowocześnie: megalomanii narodowej. Być narodowcem, to nie znaczy wcale uważać, że mój naród jest na świecie czymś jedynie najlepszym i najwyższym; jest natomiast czymś najdroższym i najbliższym sercu. Stąd płynie szacunek narodowca dla idei narodowej każdego innego narodu, co różnym głupkom daje okazję do kiepskich dowcipów na temat międzynarodówki nacjonalistycznej. Ta ,,międzynarodówka" jest po prostu poczuciem wspólności pewnego typu psychicznego. Będąc narodowcem muszę szanować uczucia narodowe innych. Wiem, że rodzą się one z tych samych pobudek moralnych. Nie ma takiego dobrego prawa, które by mi pozwoliło zwracać się przeciwko temu u obcych, co dla mnie samego jest najdroższe.

[...]

Polska, z natury swego położenia geograficznego, znajduje się w położeniu szczególnie groźnym, ujęta w kleszcze imperializmu nordyckiego Niemiec i imperializmu komunistycznego Rosji sowieckiej. Ale nie tylko Polska. W jeszcze groźniejszym położeniu znajduje się Ukraina. Ta, której nie ma na mapie, ale która przecież jest jako naród ukraiński.

Właśnie my, narodowcy polscy, mamy obowiązek mówić o tym najgłośniej, że jest naród ukraiński, że żyje i walczy o swe prawo do życia. Bo my to najlepiej zrozumieć i odczuć możemy. My, którzy dumni jesteśmy z odporności narodu polskiego w stu kilkudziesięciu latach rozbiorów, my, którzy dożyliśmy powrotu na łono ojczyzny polskiego Śląska przez sześćset lat niewoli niestrawionego przez Niemców – my właśnie musimy rozumieć i cenić heroiczny wysiłek narodu ukraińskiego, od setek lat nieposiadającego własnej państwowości, rusyfikowanego, polonizowanego, rozdartego, a trwającego.

[...]

I skończmy z bajeczką, stworzoną: w najlepszej wierze przez naszych ojców, że Rusini, to jakiś podszczep polski, posługujący się gwarą, pozostającą w takim stosunku do polszczyzny, jak np. gwara kaszubska. To nieprawda. To naród z własnym językiem. I dajmy wreszcie spokój tej małostkowości w nazywaniu ich Rusinami, kiedy oni sami chcą się nazywać Ukraińcami. To ich rzecz, choć mnie osobiście może się zdawać, że Ruś Jarosławów i Świętopełków ma znacznie wspanialsze i starsze tradycje historyczne, niż Ukraina Chmielnickich i Nalewajków.

[...]

Oddać? Lwów? Nigdy! Nic nie mamy do oddania, jeśli zaś w szczególności o Lwów chodzi, ja byłbym ostatnim, który by taką myśl dopuścił. Urodziłem się we Lwowie. To mój kraj rodzinny. Najściślejsza ojczyzna. Nie, Lwowa nie możemy oddać za nic. Ale właśnie dlatego, że Lwów tak mi jest drogi, rozumiem, że i oni wyrzec się go nie mogą. Bo sądzę, że stojąc na Wysokim Zamku i chłonąc z bijącym sercem cudowny, najdroższy widok spowitego w mgły miasta, mamy te same uczucia, ja i ten narodowiec ukraiński, w którego wczuć się trzeba, aby problem ukraiński przemyśleć do dna. Innych może tylko wypatrujemy punktów w kamiennej sylwecie miasta: ja smukłej wieży katedry, on masywu cerkwi św. Jura. Tej cerkwi, która będąc sacrosanctum zachodniej Ukrainy, jest zarazem jednym z najpiękniejszych zabytków polskiego baroku. Tak się tu wszystko dziwnie plecie i zazębia o siebie na tej ziemi,

[...]

Na początku tego wieku, na terytorium mieszanym, w naszej Małopolsce Wschodniej i w ich Zachodniej Ukrainie, musiało dojść do konfliktu między nacjonalizmem polskim i nacjonalizmem ukraińskim. Myśmy musieli bronić Lwowa – i oni musieli próbować stworzyć pod koniec zawieruchy wojny światowej niezawisłe państwo ukraińskie. To był naturalny bieg rzeczy. I oni się nie mogą tej myśli wyrzec, a my im nie możemy nic darować.

Możemy tylko – pójść razem.

Wiem, że brzmi to w tej chwili fantastycznie i utopijnie. Za dużo się po obu stronach nagromadziło nienawiści, wzajemnych słusznych pretensji, bólów i zadr. Czy mogą iść razem – wrogowie? Zwłaszcza, gdy my, Rzeczpospolita, jesteśmy silni i mocni, trzymamy ich w garści – a oni, mają poczucie narodu wziętego w niewolę? Jakie elementy w społeczeństwie ukraińskim mogą w tych warunkach współdziałać z Rzeczpospolitą? ■

Źródło: „Prosto z Mostu. Tygodnik literacko-artystyczny" 1935, nr 51

eprasa.pl 2b95f03724

ROMAN DMOWSKI I KWESTIA UKRAIŃSKA


Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.
Rok XIV. Wilno, Piątek 7-go marca 1930 r.
DZIENNIK WIL
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: ul. Dominikańska 4. Telefon Redakcji i Administracji 443. Drukarni 1244. Adres drukarni: Mostowa 1. Redaktor przyjmuje od g. 2—4 pp. Administracja otwarta od g. 9—5, w niedzielę od 12 — 1 pp. „Dziennik Wileński" wychodzi codziennie, z wyjątkiem poniedziałków i dni poświątecznych.
PRENUMERATA:
OGŁOSZENIA:
NADZWYCZAJNY TELEGRAMU
Kto wygrał na loterji?



JAN ŻARYN

„KWESTIA UKRAIŃSKA” – TAKI TYTUŁ NOSIŁ CYKL ARTYKUŁÓW PRZYWÓDCY OBOZU NARODOWEGO PUBLIKOWANY W „DZIENNIKU WILEŃSKIM” W 1930 r.

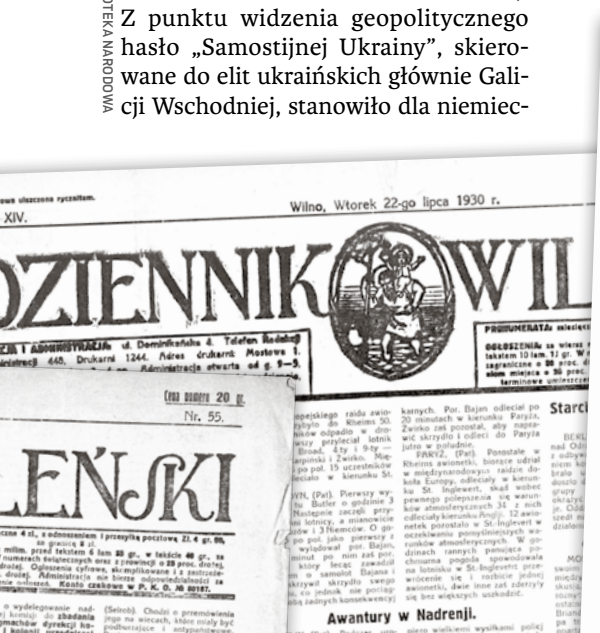
Po raz pierwszy, „Dziennik Wileński” wychodził pod auspicjami obozu narodowo-demokratycznego w latach 1906–1907 na fali „odwilży” wywołanej porażkami armii carskiej w wojnie z Japonią i wybuchem rewolucji. Środowisko polityczne Ligi Narodowej wykorzystało jego łamy na rzecz obrony kultury i języka polskiego jako podstawy budowy samorządnej władzy polskiej, przygotowania opinii publicznej do wyborów do Dumy czy też obrony polskości na Kresach Wschodnich, a wszystko to w imię solidaryzmu narodowego (dziś powiedzielibyśmy: solidarności).

Po raz wtóry „Dziennik Wileński” pojawił się w mieście po odzyskaniu przez Polskę niepodległości jako gazeta wychodząca „codziennie z wyjątkiem poniedziałków i dni poświątecznych”. W redakcji następowały częste zmiany, a wydawcą był m.in. znany działacz Stronnictwa Narodowego Aleksander Zwierzyński (1880–1958), m.in. w 1945 r. skazany przez Sowietów w procesie moskiewskim. Dziennik stał się najważniejszym medium obozu narodowego w Wilnie, porównywalnym do „Gazety Warszawskiej” czy „Słowa Polskiego” we Lwowie.

W II RP obóz narodowy, współtworzący oblicze Polski Odrodzonej i do 1926 r. współrządzący, wypracował jasne stanowisko w kwestii ukraińskiej. Z punktu widzenia geopolitycznego hasło „Samostijnej Ukrainy”, skierowane do elit ukraińskich głównie Galicji Wschodniej, stanowiło dla niemieckich i austriackich polityków w okresie I wojny światowej powód, by nie dopuścić do powstania Wielkiej Polski. Jedynie państewko polskie ograniczone do ziem Królestwa Polskiego dawało Niemcom szansę panowania na całym obszarze środkowo-wschodniej Europy (plan Mitteleuropy). Porażka Niemiec w I wojnie światowej szczęśliwie zniweczyła te plany. Stąd narodowcy w II RP z jednej strony podważali istnienie narodu ukraińskiego (np. Stanisław Grabski w artykule z 1922 r. pt. „Uwagi o bieżącej historycznej roli Polski”), odmawiając też ostatecznie zgody na postulowane przez zachodnich sojuszników wprowadzenie autonomii na Kresach Południowo-Wschodnich, z drugiej strony zaś przestrzegali przed zbytnim rozwojem szkolnictwa ukraińskiego, czyli de facto przed wspieraniem przez Polskę Odrodzoną procesu budowy nowoczesnego narodu ukraińskiego wbrew interesom polskim. W zamian za to, w celu asymilacji ludności chłopskiej posługującej się jedynie „gwarą ruską”, nieposiadającej odrębnej świadomości narodowej, postulowali politykę ekspansji polskiej administracji i kultury na tym obszarze. Chodziło o pozyskanie ich na rzecz polskości, jak niegdyś polskich Kaszubów czy Ślązaków poprzez oddziaływanie szczególnie w zakresie kultury i oświaty. Stanowisko to, jednoznaczne w latach 20., korygowano w latach 30. Konfrontacja z rzeczywistością, czyli z brakiem wyników w procesie polonizacji tych ziem podjętym niekonsekwentnie przez obóz sanacyjny (m.in. za sprawą rozwiązań prawnych z początków lat 30., ale wcześniejszym dopuszczeniu mniejszości ukraińskiej do administracji oświatowej na tym terenie), zmusił intelektualistów obozu narodowego do przyznania – jak uczynił to np. Stanisław Piasecki, redaktor naczelny „Prosto z mostu” (w końcu lat 30.) – że naród ukraiński istnieje i podobnie jak niegdyś Polacy wchodzi w fazę nacjonalizmu, czyli ochrony własnych interesów i pomnażania zdobyczy (głównie kosztem Polski Odrodzonej).

Teksty Romana Dmowskiego publikowane w 1930 r. pokazują mądrość polityczną przywódcy obozu narodowego, a także jego talenty profetyczne. Tezą główną cyklu artykułów jest stwierdzenie oparte na rozumieniu geopolityki, że kwestia ukraińska w odróżnieniu od innych dotyczących mniejszości narodowych w Polsce (czeskiej, litewskiej czy nawet niemieckiej) nie jest sprawą lokalną, bilateralną, lecz światową. Ewentualne powstanie państwa ukraińskiego z jego zasobem gospodarczym, z wielomilionową ludnością oraz obszarem łączącym Europę i Azję stanowić będzie – przy słabościach państwowotwórczych samego narodu ukraińskiego – pole niczyje (tzn. nie narodu tam zamieszkałego), a raczej pole ekspansji dla wszystkich »

FOT. NAC; BIBLIOTEKA NARODOWA


Wilno, Wtorek 22-go lipca 1930 r.
Nr. 55.
Awantury w Nadrenji.


Wilno. Piątek 12-go września 1930 r.
Nr. 210.
DZIENNIK WILEŃSKI
Wobec wyborów.
Ustalenie granicy polsko-łotewskiej?
Wielka mowa Brianda na Zgromadzeniu Ligi Narodów.
Wyjazd doradcy amerykańskiego Dewey'a.

» imperialistów: Rosji, Niemiec, a nawet Chin czy Stanów Zjednoczonych, i oczywiście biznesu żydowskiego.

Drugą tezą jest stwierdzenie, że po pokoju ryskim większość obszaru ukraińskiego pozostała w rękach bolszewickich, i od panowania Rosji na tych terenach zależy zdolność imperialna tego mocarstwa. A zatem Rosja uczyni wszystko, by nie stracić tych ziem. Jak wobec tej ewentualności powinni zachować się Polacy? Autor nie mógł znać przebiegu II wojny światowej, skutków panowania Związku Sowieckiego w latach 1939–1941 oraz okresu od lat 1944/45 do przełomu 1989/90 nad znaczącą częścią Europy Środkowo-Wschodniej, w tym nad całym obszarem ukraińskim wypracowanym politycznie przez Niemców w latach I wojny światowej, i wprowadzanym w życie po raz pierwszy w ramach pokoju brzeskiego z lutego–marca 1918 r. (po raz wtóry od 17 września 1939 r. przez bolszewików). Wnioski Dmowskiego w znacznej mierze są dziś nieaktualne, co jest oczywiste wobec faktu, iż obecnie istnieje państwo ukraińskie, a wówczas go jeszcze nie było. Dmowski obawiał się jego powstania i przed nim przestrzegał, nie tyle z braku sympatii do Ukraińców jako do ludzi, ale z kalkulacji politycznej. Jego uwagi, osadzone w kontekście doświadczeń przełomu XIX i XX w., a szczególnie odbudowy państwa polskiego w czasie i po I wojnie światowej, stanowią ważną pożywkę intelektualną dla nas – obserwujących zmagania narodu ukraińskiego w walce o swą niepodległość i integralność terytorialną. Czy zastanawiamy się nad tym, co będzie po pożądanym przez nas zwycięstwie Ukrainy nad Rosją? Dmowski przestrzega, pisząc, że słabe i skorumpowane elity ukraińskie będą zdolne jedynie do tłumienia własnego zaplecza narodowego, do udziału w międzynarodówce mafijnej, światowej (choć bez Rosji, za to ze znaczącym udziałem kapitału niemieckiego), która zajmie de facto i skolonizuje olbrzymie obszary państwa ukraińskiego. Na szczęście nawet najwięksi politycy się mylili. Także może się pomylić Dmowski. Oby! Nie mylił się jednak w odniesieniu do 1930 r. i do 2022 r., jeśli chodzi o globalny wymiar rywalizacji światowych mocarstw i sił w kwestii ukraińskiej. Wydaje się, że warto pomóc Ukrainie w imię interesów polskich, by nie stała się polem do wzięcia.

Roman Dmowski, „Kwestia ukraińska" (wybrane fragmenty), „Dziennik Wileński", 1930 r.:

Jednym z ważniejszych zagadnień naszej polityki zarówno wewnętrznej, jak i zewnętrznej – jest kwestia ukraińska. Pojmuje się ją powszechnie jako jedną z kwestii narodowości, które się obudziły do samoistnego życia w dziewiętnastym stuleciu, podniosły swą mowę z narzecza ludowego do godności języka literackiego, a w końcu osiągnęły niezawisły byt państwowy. W tym pojęciu, na mapie Europy – zjawienie się odrębnego państwa ukraińskiego – jest tylko kwestią czasu i to niedalekiego.

Jest to pojęcie zbyt proste. Kwestia ukraińska w obecnej swojej postaci daleko wykracza poza granice miejscowego zagadnienia narodowości: jako kwestia narodowości – jest ona o wiele mniej interesująca i mniej doniosła, niż jako zagadnienie gospodarczo–polityczne, od którego rozwiązania zależą wielkie rzeczy w przyszłym układzie sił nie tylko Europy, ale całego świata. To jej znaczenie trzeba przede wszystkim rozumieć, ażeby móc w niej zająć jakiekolwiek świadome własnych celów stanowisko. Nie licząca się z nim polityka ukraińska będzie niepoczytalną.

[...]

Na każdą tedy kwestię narodowości trzeba patrzeć z dwóch punktów widzenia: 1) co dana narodowość przedstawia jako odrębna jednostka etniczna, pod względem językowym, cywilizacyjnym, tradycji historycznych? jaka jest jej spójność? i 2) kto, przeciw komu, w jakim celu dąży do jej zorganizowania w nowe państwo?

Z obu tych punktów widzenia kwestia ukraińska przedstawia się jako przedmiot bardzo skomplikowany, a tym samym bardzo interesujący. [...]

Kwestia ukraińska stoi w przeciwieństwie do kwestii wszystkich innych odradzających się narodowości. Tam w każdym wypadku jest to sprawa paru lub kilku milionów ludności względnie jednolitej, gdy tu chodzi o dziesiątki milionów, za to rozpadające się na bardzo różnorodne grupy terytorialne. Przy tej różnorodności mówić o istnieniu narodu ukraińskiego można tylko z wielką licencją.

Niemniej przeto sam fakt istnienia ludu odcinającego się wyraźnie od sąsiednich lub zamieszkujących z nim te same ziemie mową, zwyczajami, charakterem, wreszcie religią lub obrządkiem, już rodzi kwestię, która w sprzyjających warunkach zjawia się na terenie politycznym, bądź na skutek dążeń działaczy wychodzących z tego ludu, bądź też przez machinację państw usiłujących wygrać ją w swoim interesie. To było nieuniknione i na obszarze mowy małoruskiej.

Kwestia narodziła się jednocześnie, w połowie dziewiętnastego stulecia, w dwóch odległych od siebie punktach.

Ruch samorzutny, podjęty przez ludzi czystych i bez-interesownych, szukających odrębnego kulturalno-literackiego wyrazu dla odrębnego ducha swego ludu, zjawił się w tym czasie na Ukrainie Zadnieprzańskiej. Głównym jego przedstawicielem był poeta Szewczenko.

Nie było to przypadkiem, że kolebką jego była ta właśnie ziemia. Dawne województwa czernihowskie i połtawskie to była najbardziej stylowa Ukraina, najpiękniejsza rasowo i najbujniejsza duchowo. Ta ziemia wydała w pierwszej połowie XIX stulecia wielkiego pisarza Hohola (Gogola), który, choć pisał po rosyjsku, wyrażał w swej twórczości ducha Ukrainy. Ona też pozostała ogniskiem ruchu ukraińskiego w państwie rosyjskim.

Rząd rosyjski nie stawiał przeszkód tej pracy kulturalno-literackiej, aczkolwiek patrzył na nią niezbyt chętnym okiem. Traktował on ten ruch jako regionalistyczny. Natomiast Polacy, ze zrozumiałych względów, darzyli go sympatią oraz zachęcali do przekształcenia się na polityczny. Ich pragnieniem było wygrać go przeciw Rosji. Było to dążenie całkiem logiczne. W państwie, w którym żywioł rosyjski usiłował zalać wszystko, należało dla własnej obrony podsycać wszelkie dążenia do narodowego przeciwstawienia się Rosji. Zaczynając od powstania [18]63 r., na którego sztandarach obok Orła i Pogoni umieszczono św. Michała, a kończąc na Dumie rosyjskiej, w której za przykładem Koła Polskiego powstała autonomiczna grupa ukraińska, stale istnieje pewien związek sympatii między polityką polską w państwie rosyjskim a ruchem ukraińskim.

Drugim punktem, w którym kwestia się zjawia, jest zabór austriacki, Wschodnia Galicja. Tam początki są całkiem inne. Tam rząd austriacki wytwarza kwestię ruską w celu osłabienia Polaków. Jak mówiono w Galicji, „hrabia Stadion wy-

eprasa.pl 2b95f03724

nalazł Rusinów". Stąd kwestia tego ruchu stanęła tam od razu jako kwestia polityczna, praca zaś nad odrodzeniem kulturalnym była traktowana raczej jako zabieg pomocniczy do polityki.

Była to kwestia czysto miejscowa, kwestia państwa austriackiego, obejmująca wschodnią Galicję i północną Bukowinę, Rusini (Ruthenen) stali się prawno-politycznie jedną z narodowości austriackich. Nie wszyscy się za takich uznali: obok nielicznych żywiołów, uważających się za Polaków (gente Ruthenus, natione Polonus), silny odłam (starorusini) uważał się za Rosjan i posługiwał się w życiu kulturalnym językiem rosyjskim, uważając mowę małoruską jedynie za gwarę ludową. Ten kierunek był podsycany i zasilany przez Rosję, która aż do wojny 1914 r. patrzyła na Galicję Wschodnią jako na przyszłą swą zdobycz.

Dopiero pod koniec ubiegłego stulecia zaczęto mówić o narodowości „ukraińskiej", zaludniającej zarówno Galicję Wschodnią, jak południe państwa rosyjskiego, i zjawiła się kwestia „ukraińska" jako zagadnienie przyszłości politycznej ziem przez tę narodowość zaludnionych. Od tego czasu w austriackim języku politycznym wyraz „Rusini" szybko jest wypierany przez nowy termin „Ukraińcy".

[...]

Niemcy pod koniec ubiegłego stulecia umocniły się w Turcji i zaczęły prowadzić dzieło całkowitego jej opanowania. Tu wielką przeszkodą dla nich była pozycja Rosji na Morzu Czarnym i dostęp jej do Bałkanów.

Wszystkie te niebezpieczeństwa i te trudności usuwał śmiały pomysł utworzenia niepodległej, wielkiej Ukrainy. Nadto, uważawszy słabość kulturalno-narodową żywiołu ukraińskiego, jego niejednolitość, obecność na pobrzeżu morskim różnorodnych żywiołów etnicznych, nic wspólnego nie mających z ukrainizmem, obfitość w kraju ludności żydowskiej, wreszcie dość znaczną ilość osadników niemieckich (w Chersońszczyźnie i na Krymie) – można było mieć pewność, że nowe państwo uda się wziąć pod silny wpływ niemiecki, ująć w ręce niemieckie jego eksploatację i całkowicie pokierować jego polityką. Niepodległa Ukraina zapowiadała się jako gospodarcza i polityczna filia Niemiec.

Natomiast Rosja bez Ukrainy, pozbawiona jej zboża, jej węgla i żelaza pozostałaby państwem wielkim terytorialnie, ale niesłychanie słabym gospodarczo, nie mającym żadnych widoków na gospodarczą samodzielność, skazanym na wieczną zależność od Niemiec. Odcięta zaś od Morza Czarnego i od Bałkanów, przestałaby wchodzić w rachubę w sprawach Turcji i państw bałkańskich. Teren ten pozostałby całkowicie domeną Niemiec i ich pomocnicy, monarchii habsburskiej.

Z punktu widzenia celów polityki niemieckiej względem Rosji największym niewątpliwie dziełem tej polityki byłaby wielka Ukraina. [...]

Ten plan na papierze urzeczywistniono. Tym papierem był traktat podpisany w r. 1918 w Brześciu Litewskim przez skleconą ad hoc delegację Rzeczypospolitej Ukraińskiej z jednej strony, przez Niemcy, Austro-Węgry, Turcję i Bułgarię z drugiej. Pozostał on na papierze, bo potężne do niedawna Niemcy w owej chwili zdolne były już tylko papiery podpisywać.

Pozostał on jako testament cesarskich Niemiec, w trudnej powojennej dobie czekający na wykonawców. [...]

W ostatnich latach, dzięki węglowi i żelazu Zagłębia Donieckiego oraz nafcie kaukaskiej, Ukraina stała się przedmiotem żywego zainteresowania przedstawicieli kapitału europejskiego i amerykańskiego i zajęła miejsce w ich planach gospodarczego i politycznego urządzenia świata na najbliższą przyszłość.

Do tego trzeba dodać – co nie jest wcale najmniej znaczącym – rolę, jaką Ukraina obok Polski odgrywa w zagadnieniach polityki żydowskiej.

Dzięki temu i dzięki szeregowi jeszcze innych pomniejszych przyczyn, jak interesy dawnych wierzycieli Rosji oraz tych, których majątki przemysłowe i rolne pozostały na terytorium obecnej Ukrainy sowieckiej, wreszcie nadzieje pewnych sfer katolickich na zaprowadzenie unii kościelnej na Ukrainie, o kwestii ukraińskiej nie można powiedzieć, żeby cierpiała na brak sympatii w świecie.

Na pewno też, o ile by doszło do oderwania Ukrainy od Rosji, potężne sfery użyłyby wszelkich swoich wpływów i środków na to, ażeby rzecz się nie zakończyła utworzeniem jakiegoś względnie małego państewka. Tylko wielka, możliwie największa Ukraina mogłaby prowadzić do rozwiązania tych zagadnień, które nadały kwestii ukraińskiej tak szerokie znaczenie.

[...]

Nie ma siły ludzkiej, zdolnej przeszkodzić temu, ażeby oderwana od Rosji i przekształcona na niezawisłe państwo Ukraina stała się zbiegowiskiem aferzystów całego świata, którym dziś bardzo ciasno jest we własnych krajach, kapitalistów i poszukiwaczy kapitału, organizatorów przemysłu, techników i kupców, spekulantów i intrygantów, rzezimieszków i organizatorów wszelkiego gatunku prostytucji: Niemcom, Francuzom, Belgom, Włochom, Anglikom i Amerykanom pośpieszyliby z pomocą miejscowi lub pobliscy Rosjanie, Polacy, Ormianie, Grecy, wreszcie najliczniejsi i najważniejsi ze wszystkich Żydzi. Zebrałaby się tu cała swoista Liga Narodów...

Te wszystkie żywioły przy udziale sprytniejszych, bardziej biegłych w interesach Ukraińców, wytworzyłyby przewodnią warstwę, elitę kraju. Byłaby to wszakże szczególna elita, bo chyba żaden kraj nie mógłby poszczycić się tak bogatą kolekcją międzynarodowych kanalii.

Ukraina stałaby się wrzodem na ciele Europy; ludzie zaś marzący o wytworzeniu kulturalnego, zdrowego i silnego narodu ukraińskiego, dojrzewającego we własnym państwie, przekonaliby się, że zamiast własnego państwa, mają międzynarodowe przedsiębiorstwo, a zamiast zdrowego rozwoju, szybki postęp rozkładu i zgnilizny.

Ten, kto przypuszcza, że przy położeniu geograficznym Ukrainy i jej obszarze, przy stanie, w jakim znajduje się żywioł ukraiński, przy jego zasobach duchowych i materialnych, wreszcie przy tej roli, jaką posiada kwestia ukraińska w dzisiejszym położeniu gospodarczym i politycznym świata, mogłoby być inaczej – nie ma za grosz wyobraźni.


Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Rok XIV. Wilno, Wtorek 22-go lipca 1930 r. Cena numeru 20 gr. Nr. 166

DZIENNIK WILEŃSKI

REDAKCJA I ADMINISTRACJA ul. Dominikańska 4. Telefon Redakcji i Administracji 665. Drukarnia 1244. Adres drukarni: Mostowa 1. Redaktor przyjmuje od g. 2—4 pp. Administracja otwarta od g. 9—3, w niedzielę od 12 — 1 pp. „Dziennik Wileński" wychodzi codziennie z wyjątkiem poniedziałków i dni poświątecznych.

PRENUMERATA miesięcznie 6 zł., z odnoszeniem i przesyłką pocztową 7.50 zł. za granicą 9 zł.

OGŁOSZENIA za wiersz milim. przed tekstem 6 łam 50 gr., w tekście 40 gr., za tekstem 10 łam. 15 gr. W numerach świątecznych wiersz z przebiciem o 50 proc. drożej. Ogłoszenia zagraniczne o 50 proc. drożej. Ogłoszenia cyfrowe, skomplikowane i z zastrzeżeniem miejsca o 50 proc. drożej. Administracja nie bierze odpowiedzialności za terminowe umieszczenie ogłoszeń. Konto czekowe w P. K. O. № 80187.

PODZIĘKOWANIE.

OBWIESZCZENIE

Starcie policji z komunistami we Frankfurcie nad Odrą.





W POLITYCZNEJ PRAGMATYCE JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO JAKO NACZELNIKA PAŃSTWA I NACZELNEGO WODZA SPRAWA UKRAIŃSKA ZAJMOWAŁA WAŻNE MIEJSCE, WIELE WAŻYŁA DLA UKŁADU SIŁ W EUROPIE I POZYCJI POLSKI

DROGA DO SOJUSZU POLSKO-UKRAIŃSKIEGO. UKŁAD PIŁSUDSKI–PETLURA



WIESŁAW JAN WYSOCKI

W Ukraińskiej Republice Ludowej – w odróżnieniu od Zachodniej URL – Piłsudski postrzegał perspektywicznego sojusznika. Lwów i Borysławsko-Drohobyckie Zagłębie Naftowe określał jako minimalne cele polskich interesów na obszarze Galicji, co wykluczało jakiekolwiek porozumienie z „hajdamakami" z ZURL, której liderzy nastawieni byli antypolsko.

Z misją sondażową do Warszawy w imieniu URL udał się w styczniu 1919 r. Wiaczesław Prokopowycz. Towarzyszył mu reprezentant kijowskiej Polonii i redaktor „Dziennika Kijowskiego" Joachim Wołoszynowski. 18 stycznia Prokopowycza przyjął Naczelnik Państwa, spotkał się też z innymi osobistościami polskiego życia politycznego. Zasadniczą sprawą była zgoda na obecność w Warszawie posła ukraińskiego (przy Dyrektoriacie urzędował już jako reprezentant Rzeczypospolitej Bohdan Kutyłowski), co Prokopowycz uzyskał. Strona polska oczekiwała także ukraińskiej misji, mającej pełnomocnictwa do uzgodnienia kwestii rozejmu na Wołyniu. Życzliwość Warszawy oznaczała gotowość nie tylko zawarcia rozejmu, lecz i wyraźnego zbliżenia polityczno-militarnego.

Misja Kurdynowskiego

Nowy ukraiński minister spraw zagranicznych Kost Macijewycz sugerował ugodę z Polską i zapowiedział wysłanie kolejnej misji URL. Rząd URL nie był jednak spójny i misja dyplomatyczna Ołeksandra Karpynskiego nie doszła do skutku, gdyż nie wyraził zgody na nią dowódca Korpusu Strzelców Siczowych płk Jewhen Konowalec. Kolejna misja w lutym 1919 r. również została zablokowana. Zdecydowano jednak – z inicjatywy Macijewycza – o wysłaniu do Warszawy Borysa Kurdynowskiego, by nawiązał polityczną współpracę URL i Polski.

W Warszawie 24 maja zawarto umowę, znaną jako układ Kurdynowski–Paderewski, będącą w istocie siedmiopunktową deklaracją ukraińską. W sprawach terytorialnych Ukraińcy deklarowali zrzeczenie się Galicji Wschodniej oraz zachodniego Wołynia po linię Styru. Polska ze swej strony zobowiązała się uznać niepodległą Ukrainę. Strona ukraińska zagwarantowała sobie pomoc Wojska Polskiego w walce z bolszewikami i ustabilizowaniu sytuacji na Ukrainie. Polacy zobowiązali się wspomóc reorganizację sił ukraińskich. Oba wojska miały współdziałać ze sobą, a działania ukraińskie miały być uzgadniane z dowództwem polskim. Również działania dyplomatyczne miały być podejmowane wspólnie z Polakami. Ostanie uzgodnione punkty dotyczyły praw Polaków na Ukrainie i Ukraińców w Polsce z gwarancjami zwrotu Polakom utraconych majątków na Ukrainie. Deklarację zamykała obietnica zawarcia osobnej konwencji wojskowej.

Układ był szansą uratowania niepodległości Ukrainy, gdyż walka na dwa fronty nie dawała perspektyw temu państwu. Władzę jednak przejęli radykałowie z premierem Borysem Martosem, ciągnącym w stronę zbliżenia z bolszewicką Rosją. Zmiana orientacji rządu URL unieważniała misję Kurdynowskiego w Polsce, ale zawarta przezeń umowa z maja 1919 r. uznana została za wzorcową dla późniejszych uzgodnień polsko-ukraińskich.

Tylko rozejm

Ostatecznie sam premier Martos uznał potrzebę ugody z Polakami. Rozmowy we Lwowie prowadzili ze strony ukraińskiej gen. Serhij Delwig, a ze strony polskiej gen. Eugeniusz Rodziewicz. Uczestniczył

FOT. NAC; DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 2b95f03724

w nich także reprezentant UHA, płk Ślusarczyk. Pertraktacje od 7 do 16 czerwca 1919 r. przyniosły podpisanie porozumienia o zawieszeniu walk i wytyczeniu linii demarkacyjnej między wojskami polskimi i ukraińskimi. Ratyfikacja porozumienia miała uczynić je obowiązującym od 21 czerwca. Do tego nie doszło za sprawą strony ukraińskiej.

W lipcu 1919 r. kolejna oferta rozmów nastąpiła ze strony polskiej. Do kwatery Petlury w Kamieńcu Podolskim przybył ukraiński płk Kłym Pawluk z ofertą Piłsudskiego sugerującą współdziałanie przeciw bolszewikom. Ukraińcy podjęli propozycje i na początku sierpnia wysłali na rozmowy misję dyplomatyczną z Pyłypem Pyłypczukiem (otrzymał odręczny list Naczelnego Atamana do Józefa Piłsudskiego) i reprezentantem wojska ppłk. Lipko w celu nawiązania stałych bilateralnych kontaktów i ustaleń rozejmowych. 20 sierpnia 1919 r. misja znalazła się w Warszawie.

Partnerzy polscy oczekiwali przed rozpoczęciem rozmów deklaracji strony ukraińskiej o rezygnacji z roszczeń do Galicji Wschodniej. Pyłypczuk przystał 19 sierpnia na tymczasową granicę na Zbruczu, co oznaczałoby oddanie Polsce całej Galicji Wschodniej, oraz na Turii i Prypeci, czyli rezygnację z zachodniej części Wołynia. Dyrektoriat URL miał być gotów do zmiany uniwersału wywłaszczeniowego i wypłacenia odszkodowań za dobra na Ukrainie polskim ziemianom. Pyłypczuk udał się do Kamieńca do swych ukraińskich plenipotentów, ale nie powrócił już do Warszawy. Podpisane przez niego deklaracje warszawskie nie zostały zatem potwierdzone.

Rokowania polityczne z Polską zostały cofnięte przez Ukraińców praktycznie do stanu początkowego, ale nadal rozmawiano. Negocjacje prowadzone w Dęblinie pod przewodnictwem gen. Karola Trzaski-Durskiego i ppłk. Lipko w dniach 10–16 sierpnia 1919 r. zakończyły się również negatywnie.

Ostatecznie obie strony 1 września 1919 r. zawarły umowę o zawieszeniu broni na froncie galicyjsko-wołyńskim. Linię demarkacyjną wytyczono na Zbruczu z kilkoma polskimi przyczółkami mostowymi, zaś po wschodniej stronie rzeki wytyczono parokilometrowy pas neutralny. Wprawdzie rozejm został ustanowiony tylko na 10 dni, jednakże jeżeli któraś z umawiających się stron nie wypowiedziała go, automatycznie się przedłużał. Ataki bolszewików i białej Armii Ochotniczej gen. Denikina na pozycje ukraińskie petryfikowały rozejm, bowiem i strona polska nie była zainteresowana jego zerwaniem.

Rozdźwięk w szeregach Ukraińców

Sytuacja ta ułatwiła Dyrektoriatowi URL dalsze rozmowy z Warszawą. Pod koniec września wysłano nad Wisłę kolejną delegację z zadaniem unormowania stosunków dyplomatycznych oraz ewentualnego podpisania konwencji wojskowej. Misji ukraińskiej z ministrem spraw zagranicznych URL Andrijem Liwyckim polecono wycofanie się z wcześniejszych zobowiązań Kurdynowskiego i Pyłypczuka, a także starano się unikać wszelkich zobowiązań granicznych oraz nie składać deklaracji dotyczącej Galicji Wschodniej. Jedynym możliwym ustępstwem ukraińskim była ograniczona rezygnacja z Chełmszczyzny i Podlasia.

Negocjacje zaczęły się od złożenia 28 października przez Ukraińców deklaracji wstępnej, bardzo wstrzemięźliwej w sprawach granicznych, które miały być przesądzone wedle kryterium etnicznego, podobnie odkładano sprawy własności do przesądzeń przyszłej ukraińskiej Konstytuanty. W dniu 2 grudnia 1919 r. Liwycki przedstawił partnerom polskim deklarację – oprotestowaną przez reprezentantów ZURL (odmówili podpisu i złożyli rezygnację z uczestniczenia w misji) – spełniającą ich oczekiwania, bo powtarzała zobowiązania Pyłypczuka sprzed miesięcy. Demonstracja Ukraińców galicyjskich pozostała bez echa, zignorował ją także ataman Petlura, który pojawił się w Warszawie i 11 grudnia oświadczył, iż deklaracja złożona przez ministra Liwyckiego jest ważna. Oznaczało to faktyczne rozbieżności i podziały interesów ukraińskich na „Naddnieprzańców" i „Galicjan". Nowością złożonej deklaracji było jedynie wymienienie postulatów ukraińskich w postaci zawarcia umowy wojskowej i handlowej oraz zwolnienia więzionych i internowanych w Polsce Ukraińców. Te oczekiwania zyskały akceptację strony polskiej.

Zaraz po przyjeździe Petlury do Warszawy spotkał się on z Piłsudskim. Efektem spotkania była zgoda Naczelnego Wodza na organizowanie oddziałów ukraińskich w Polsce. Była to kwestia bardzo ważna zarówno dla strony ukraińskiej, jak i dla Polaków z powodów politycznych i wojskowych, gdyż planowana była ofensywa przeciwbolszewicka.

12 grudnia przy Ukraińskiej Misji Dyplomatycznej w Warszawie powołano Sekcję Wojskową, której zadania polegały na tworzeniu oddziałów ukraińskich na ziemiach polskich. Na jej czele stał gen. Mykoła Junakiw, zastąpił go potem płk Bondarewski, a od 2 lutego – gen. Wiktor Zelinski. Oficerem kontaktowym przy Misji Wojskowej został kpt. Wiktor Czarnocki z II Oddziału Sztabu Generalnego WP.

Propolska postawa Liwyckiego miała bardzo wielu przeciwników wśród polityków URL, którzy opowiedzieli się za bolszewicką Rosją i z nią chcieli sojuszu wojskowego, zbliżenia gospodarczego i federacji. Podobnie myślano w kręgach ukraińskich emigrantów na Zachodzie i porozumienie z Polską miało ograniczone poparcie. Deklaracja Liwyckiego z 2 grudnia 1919 r. była świadectwem determinacji części elit ukraińskich, ale nie przekładała się bezpośrednio na wzajemne rozmowy prowadzące do układu sojuszniczego.

Usztywnienie strony polskiej

Jednocześnie nastąpiły posunięcia strony polskiej, które mogły zostać przez propolsko zdeterminowanych Ukraińców zrozumiane jako odrzucenie oferty politycznej. Rozbudowywano w tym czasie administrację cywilną na Wołyniu i zajętych obszarach Podola, zwijając równoległe struktury ukraińskie. Wreszcie rozkazem Piłsudskiego z 17 stycznia 1920 r. powołano Zarząd Cywilny Ziem Wołynia i Frontu Podolskiego. Była to demonstracja siły państwa polskiego.

Mimo to w lutym 1920 r. zostały podjęte polsko-ukraińskie pertraktacje wojskowe w sprawie formowania na terenie Polski formacji ukraińskich na bazie internowanych żołnierzy ukraińskich. Planowano utworzenie dwóch ukraińskich dywizji. Strona polska sondowała granice ustępstw ukraińskich. Ukraińcy chcieli zaś wiedzieć, jak bardzo będą musieli ustąpić, aby zaspokoić oczekiwania polskie, i gdzie znajdują obszary do negocjacji.

Przedstawiciele URL 4 kwietnia 1920 r. otrzymali od partnerów polskich projekt porozumienia obu państw, oczekując nań odpowiedzi do 7 kwietnia. Minister Liwycki próbował interweniować osobiście u Naczelnika Państwa w sprawie »

eprasa.pl 2b95f03724



Józef Piłsudski i Symon Petlura w Winnicy, 16 maja 1920 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

» ultimatum, ale zdołał jedynie otrzymać gwarancje dalszych rozmów, nawet gdyby Ukraińcy nie odpowiedzieli na przedłożenie polskie w wyznaczonym terminie. Kolejne spotkania 9 i 10 kwietnia dały stronie ukraińskiej kosmetyczne ustępstwa polskie.

Pakt Piłsudski–Petlura

13 kwietnia 1920 r. oficjalne rozmowy zostały zawieszono, gdyż minister Liwycki miał się udać do Kamieńca w celu omówienia polskich żądań z politykami ukraińskimi różnych orientacji, tworzących Ukraińską Radę Narodową. 20 kwietnia Liwycki otrzymał upoważnienie do zaakceptowania warunków polskich. Następnego dnia podczas oficjalnych negocjacji nastąpił kryzys. Rokowania uratowały wielogodzinne rozmowy Piłsudskiego z Petlurą i Liwyckiego z Walerym Sławkiem – uzgodniono powrót do wcześniejszej wersji umowy bez dodatkowych żądań oraz zgodzono się z ukraińską propozycją graniczną na Prypeci, co było odstępstwem strony polskiej od pierwotnych propozycji.

21 kwietnia ukraiński minister Liwycki i Jan Dąbski, polski wiceminister spraw zagranicznych, podpisali porozumienie polityczne, które zostało nazwane paktem Piłsudski–Petlura. Na jego mocy Polska uznawała niepodległe państwo ukraińskie oraz jego władze w postaci Dyrektoriatu na czele z Petlurą. Granica między obu państwami miała przebiegać na Zbruczu z odchyleniem na korzyść Ukraińców – w stosunku do projektu polskiego z 4 kwietnia – na Wołyniu. Strony zobowiązywały się nie zawierać umów międzypaństwowych z naruszeniem interesów drugiego kraju. Umowa zapowiadała konwencję wojskową i porozumienie gospodarcze URL i Polski.

Zawarcie konwencji wojskowej było koniecznością, bowiem wojska polskie gotowe były do podjęcia działań ofensywnych na Ukrainie i zajmowały już pozycje wyjściowe. 24 kwietnia 1920 r. konwencję podpisali – ze strony ukraińskiej gen. Wołodymyr Sinkler i ppłk Maksym Didkowski oraz mjr Walery Sławek i kpt. Wacław Jędrzejewicz ze strony polskiej. Uzgodniono w niej wspólną akcję wojsk polskich i ukraińskich przeciwko bolszewikom prowadzoną pod kierownictwem operacyjnym Naczelnego Dowództwa Wojsk Polskich. Polacy mieli wspierać organizowanie oddziałów sojuszniczych i dostarczyć Ukraińcom wyposażenie dla trzech dywizji piechoty.

Ostatecznie w ciągu paru miesięcy 1920 r. Ukraińcy dzięki wsparciu polskiemu sformowali dwie dywizje oraz dwie brygady zapasowe. Łącznie było to maksymalnie 21 tys. wojska, z czego do użycia była zaledwie połowa, reszta to formacje zapasowe i taborowe – nie mogły one odegrać większej roli militarnej. Plany polskie wobec formacji ukraińskich były ambitniejsze, jednakże ich rolę polityczną trudno przecenić. Niedowład ten wynikał z braku imperatywu narodowego w społeczeństwie ukraińskim i ograniczonej politycznej mobilności URL.

Później, już po załamaniu się idei odbudowy wolnej Ukrainy i podpisaniu traktatu ryskiego, na mocy którego sprawa ukraińska stała się niemal wyłącznym elementem polityki bolszewickiej, Józef Piłsudski 15 maja 1921 r. odwiedził obóz internowanych Ukraińców w Szczypiornie. W obecności atamana Symona Petlury, gen. Mychajła Omelianowycza-Pawlenki i ministra spraw wojskowych gen. Wołodymyra Salskiego wypowiedział pamiętne słowa: „Ja Was przepraszam, Panowie, ja Was przepraszam – to miało być zupełnie inaczej".

Konsekwencją doświadczeń Polaków i Ukraińców z lat 1919–1920 są po ponad 100 latach obecne wzajemne zbliżenia i wsparcie przez Polskę społeczności ukraińskiej w jej walce z agresją rosyjską.

eprasa.pl 2b95f03724



Łuck – stolica województwa wołyńskiego, widok przedwojenny

WOJEWODY JÓZEWSKIEGO WIZJE UKRAINNE

DALSZY ROZWÓJ STOSUNKÓW NA WOŁYNIU MOŻNA SOBIE WYOBRAZIĆ JEDYNIE JAKO ZWIĘKSZENIE STANU POSIADANIA UKRAIŃSKIEGO W POZYCJI SZKOLNICTWA, SAMORZĄDU, W RÓŻNEGO TYPU MIESZANYCH ORGANIZACJACH SPOŁECZNYCH



KONRAD W. ROKICKI

IDMN

Prezentowany niżej tekst stanowi fragment niepublikowanego materiału przygotowanego w 1938 r. przez Henryka Józewskiego, byłego wojewody wołyńskiego, który stanowi część spuścizny autora dostępnej w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego.

Henryk Józewski (1892–1981) był polskim działaczem niepodległościowym i politykiem, przez wiele lat związanym z obozem piłsudczykowskim. W trakcie I wojny światowej był członkiem Polskiej Organizacji Wojskowej (od 1915 r. zastępcą komendanta w rodzinnym Kijowie). Podczas wojny polsko-bolszewickiej pełnił funkcję wiceministra spraw wewnętrznych w rządzie Symona Petlury (w ramach Ukraińskiej Republiki Ludowej). Do czynnej polityki w odrodzonej Rzeczypospolitej powrócił po zamachu majowym, będąc m.in. (z czego zresztą jest najbardziej znany) wojewodą wołyńskim w latach 1928–1938 (z krótką przerwą w latach 1929–1930 przeznaczoną na kierowanie resortem spraw wewnętrznych w polskim rządzie). Podczas II wojny światowej i w latach instalowania władzy komunistycznej w Polsce »



Henryk Józewski (1892–1981)

FOT. NAC; POLONA

eprasa.pl 2895032

» prowadził działalność konspiracyjną, aż do aresztowania w 1953 r. Zwolniony wskutek przemian w Polsce po październiku 1956 r. Po wyjściu z więzienia Józewski nie podjął się już żadnej szerszej działalności. Zmarł w 1981 r. w Warszawie, pozostawiając po sobie m.in. pamiętniki.

Ukraińskie pasje

Wojewoda Józewski zasłynął z zainteresowania sprawami polsko-ukraińskimi na Wołyniu – regionie, w którym ponad dwie trzecie ludności stanowili Ukraińcy. Jego zdaniem społeczność ukraińska, w związku z realiami politycznymi międzywojnia, musiała stanąć przed wyborem pomiędzy współpracą z Polską albo ze Związkiem Sowieckim. By podtrzymywać na Kresach dobre relacje pomiędzy Polakami i Ukraińcami, Józewski uważał za konieczne z jednej strony wzmocnić autorytet aparatu państwowego, z drugiej – skuteczniej powstrzymywać częste i szeroko zakrojone akcje propagandowe oraz wywiadowcze inspirowane przez Moskwę. Efektami działalności wojewody były m.in. zwiększenie liczby szkół z ukraińskim jako językiem wykładowym, wzrost udziału ludności ukraińskiej w wołyńskim aparacie samorządowym, a także rozwój organizacji ukraińskich o orientacji propolskiej.

Zmiany konceptu politycznego

„Memoriał" został napisany przez Józewskiego jakiś czas po jego ustąpieniu ze stanowiska w kwietniu 1938 r. Pełnił on wówczas funkcję wojewody łódzkiego, choć – jak widać – nadal przejawiał zainteresowanie sprawami ukraińskimi. Tekst ten stanowić miał najprawdopodobniej swoisty wyraz sprzeciwu wobec polityki, jaką przyjęły władze polskie po śmierci Piłsudskiego, choć – jak sam podkreślił – nie otrzymywał sugestii zmian kierunku w prowadzonej przez siebie polityce na Wołyniu. Były wojewoda krytykował działania swojego następcy, Aleksandra Hauke-Nowaka, które – zgodnie z ogólnymi zmianami w polityce wobec mniejszości narodowych prowadzonej przez władze polskie (z bazą w postaci m.in. Obozu Zjednoczenia Narodowego) w drugiej połowie lat 30. – wiązały się z cofnięciem wsparcia dla organizacji i stowarzyszeń ukraińskich na Wołyniu, oparciem aparatu państwowego niemal wyłącznie na Polakach oraz próbami polonizacji miejscowych Ukraińców (m.in. poprzez akcję rewindykacyjną cerkwi prawosławnych). Działania te powodowały widoczny opór ze strony m.in. duchownych prawosławnych. Józewski nie tylko krytykował tę politykę z perspektywy stosunku wobec mniejszości narodowych, lecz upatrywał w niej także zagrożenia dla państwa polskiego w ogóle.

Wołyń a reszta Ukrainy

Warto podkreślić pojawiające się u byłego wojewody rozróżnienie sytuacji panującej w latach 30. XX w. wśród Ukraińców na Wołyniu od tej panującej na terenie tzw. Małopolski Wschodniej (tj. znajdujących się na południe od Wołynia województw lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego). Józewski, zarówno w trakcie swych rządów, jak i w omawianym tekście, próbował przeciwstawiać aktywność społeczno-polityczną Ukraińców na Wołyniu – współtworzoną przez władze i z zasady propolską – działalności ukraińskich organizacji (nie tylko nacjonalistycznych) na południu. Z tego także względu utrzymywano koncepcję polityczną tzw. kordonu sokalskiego, czyli odgraniczenia Wołynia i części województwa lubelskiego zamieszkanej przez Ukraińców od Małopolski Wschodniej. Istnienie kordonu przejawiało się uniemożliwianiem formalnej działalności ukraińskich stowarzyszeń na północ od tej linii. Józewski uważał stan ten za tymczasowy – rozwiązania „eksperymentu" wołyńskiego miały według jego wizji zostać z czasem zastosowane i na terenie Małopolski Wschodniej. Wołyń miał być więc swego rodzaju „polem badawczym" współżycia polsko-ukraińskiego w ramach II Rzeczypospolitej.

Swoje przywiązanie do spraw ukraińskich Józewski zdawał się przejawiać też w późniejszym okresie życia. W zbiorze rozważań zatytułowanym „Myśli jakie nadchodzą" (pisanym w latach 70.) wskazywał bliskość charakterów narodowych Polaków i Ukraińców, a także ich odrębność od wspólnego ciemiężyciela – Rosji (używał tam często terminów „polskie Ja", „ukraińskie Ja", „polsko-ukraińskie My"). Fragmenty późniejszych tekstów byłego wojewody sugerują, że „Memoriał" należałoby dziś traktować nie tylko jako akt sprzeciwu wobec zmiany polityki państwowej w danym momencie, lecz również jako zapis życiowej pasji Józewskiego, jaką była Ukraina.

W roku 1937 złożyłem sprawozdanie z sytuacji na Wołyniu, w którym charakteryzowałem Wołyń jako zagadnienie państwowe posiadające ogromne znaczenie, zwróciłem uwagę na podstawowe elementy tego zagadnienia, metody postępowania, wreszcie omówiłem wyniki polityki państwowej, prowadzonej na Wołyniu w ciągu prawie dziesięciolecia mego urzędowania w charakterze Wojewody Wołyńskiego.

W sprawozdaniu tym nie poruszyłem sprawy bardzo doniosłej, związanej z ogólną sytuacją w Polsce – a mianowicie systematycznego zwalczania ustalonej za czasów rządów Marszałka Józefa Piłsudskiego polityki państwowej na Wołyniu przez pewne czynniki wojskowe. Zjawisko to powstało w krótkim czasie po 12 maja 1935 roku. Ze strony moich Władz Przełożonych [...] nie miałem sugestii zmiany polityki reprezentowanej przeze mnie.

[...]

III.

Sprawa ukraińska w Polsce nie jest zagadnieniem jednolitym. Dzieli się ona na dwa wyraźne odłamy: Małopolskę Wschodnią i Wołyń. Podział ten posiada bardzo głębokie uzasadnienie w odmienności właściwego tym ziemiom układu rzeczy, w ich tradycjach historycznych dawnych i bliskich nam.

Wołyń posiada przyrodzone cechy, które mimo małego procentu Polaków predestynują ten kraj, w większym stopniu niż Małopolska Wschodnia, do istotnego i szybkiego zespolenia z Rzecząpospolitą. Zadaniem polityki państwowej jest w pierwszym rzędzie stwarzanie jak najlepszych warunków dla rozwoju tych właściwości Wołynia. [...] Jest to proces zasadniczego znaczenia, wymagający ze strony Polski wielkiego bogactwa twórczości duchowej. Nie ulega wątpliwości, że Polska te wartości posiada i to jest największa tajemnica naszego autorytetu i przemożnego na kresach znaczenia. Dla ogromnej większości Polaków jest to jednak tajemnica [...].

Tu na Wołyniu powstał ruch ukraiński, który w przesłankach swych ideologicznych i założeniach stoi na stanowisku pro-polskim, jest to treść polityczna w życiu ukraińskim, która powstała w warunkach istnienia naszej niepodległości państwowej i tradycji historycznych, wiążących sprawę ukraińską z Rzecząpospolitą. Ruch ten pozbawiony jest

eprasa.pl 2b95f03724

„Memoriał" Henryka Józewskiego, b. wojewody wołyńskiego, w sprawie kierunku polskiej polityki państwowej na Wołyniu [fragmenty]

tradycji walk polsko-ukraińskich i piętna stosunków przedwojennych, regulowanych przez obcą rację stanu, jak to ma miejsce w Małopolsce Wschodniej. Są to zasadnicze momenty jego odrębności w zestawieniu z szeregiem stanowisk politycznych społeczeństwa ukraińskiego. Jeżeli z biegiem czasu sprawa polsko-ukraińska ulegnie przeobrażeniom i zmianom, w interesie naszym leży, aby przeobrażenia te zmierzały w kierunku możliwości jakie posiada ziemia Wołyńska, a nie w kierunku utrwalenia obecnych cech życia ukraińskiego Małopolski Wschodniej.

[...]

Dalszy rozwój stosunków na Wołyniu można sobie wyobrazić jedynie jako zwiększenie stanu posiadania ukraińskiego w pozycji szkolnictwa, samorządu, w mieszanych organizacjach społecznych różnego typu. Dalszy rozwój stosunków jest możliwy do pomyślenia jedynie w perspektywie rozwoju życia ukraińskiego w dziedzinie politycznej, wyznaniowej i kulturalnej. Sprawa zatrudnienia inteligencji ukraińskiej w instytucjach samorządowych i państwowych jest niezwykle paląca.

Polityka realizowana obecnie przez pewne czynniki wojskowe zmierza w kierunku wręcz przeciwnym.[...] Stosunek do wyznania prawosławnego, które stało się już w opinii prawosławnej wyznaniem prześladowanym, a ludność ta nabiera postawy ludności walczącej w obronie swej wiary, stosunek do szkolnictwa i nauczycieli zależnych od wojska, tendencja do wyraźnej polonizacji w szkolnictwie, usuwanie tak szczupłej garstki Ukraińców z posad i stanowisk, bardzo dotkliwa dla ukraińskiej ludności polityka obrotu ziemią, akcentowanie postawy narodu panującego w stosunku do tej ludności – wszystko to w krótkim czasie doprowadzić musi w warunkach życia wołyńskiego do zmian dla nas bardzo niepożądanych i niebezpiecznych.

[...]

Wreszcie należy podkreślić okoliczność ogromnego i decydującego znaczenia. Mam na myśli w pierwszym rzędzie poziom życia ukraińskiego sąsiadującej z Wołyniem Małopolski Wschodniej [...]. Różnice są niezwykle jaskrawe [...]. Utrzymywanie jaskrawej dysproporcji między warunkami życia ukraińskiego Małopolski Wschodniej i Wołynia jest rzeczą niebezpieczną i nie do utrzymania. Wyrównanie tych różnic leży w naszym ręku, wyrównanie zaś tych różnic pomimo nas a co za tym idzie wbrew nam – jest naszą przegraną polityczną najbardziej zasadniczej wagi.

Okolicznością drugą, posiadającą wpływ na rozwój stosunków w życiu ukraińskim Wołynia, jest propaganda sowiecka. W obecnej chwili na plan pierwszy wysuwa się akcja radia sowieckiego. Co dzień dziesiątki a prawdopodobnie setki tysięcy chłopów na Wołyniu słucha radia sowieckiego. Program tego radia jest niezwykle atrakcyjny dla tej ludności. Język ukraiński wlewa się na Wołyń szeroką niehamowaną rzeką tam, znad Dniepru. Płynie stamtąd pieśń ukraińska, niczym nie krępowana mowa referatów kulturalnych, gospodarczych, politycznych itd., a wszystko to podkreśla autorytet świata ukraińskiego w duszy wołyńskiego chłopa, wszystko jest skierowane przeciwko nam. Uszy chłopa wołyńskiego zrosły się ze słuchawkami radia sowieckiego. Sytuacja jest nie do wytrzymania [...].

Wołyń znajduje się, zgodnie z przytoczonym obrazem, pod presją ukrainizmu z zachodu i ze wschodu. Wszyscy, którzy sięgają po wpływy i znaczenie na ziemi wołyńskiej, traktują sprawę ukrainizmu Wołynia jako rzecz podstawową, zjawisko najbardziej przyrodzone. I wyciągają z tego w postępowaniu swoim najdalej idące konsekwencje.

Przytoczone okoliczności powodują niepokój i poczucie niebezpieczeństwa. Jak już wspomniałem, zadanie polityki państwowej na Wołyniu w stosunku do ludności ukraińskiej polega na tworzeniu warunków sprzyjających zespoleniu tej ludności z Rzecząpospolitą, co jest nie do pomyślenia bez uwzględnienia naturalnego procesu rozwoju świadomości narodowej. Polityka, osiągająca w swym wyniku podstawy do zespolenia, jest dobrą polityką, polityka zaś, w wyniku która w wyniku swoim powoduje niszczenie tych pozytywnych możliwości w życiu Wołynia, która mobilizuje życie przeciwko Państwu i wszystkiemu co polskie, która kopie przepaść między ludnością a Rzecząpospolitą – jest złą polityką. [...] Postawa nienawiści i niechęci do wszystkiego co ukraińskie wywołuje ze strony ludności ukraińskiej postawę nienawiści do wszystkiego co polskie. Z tego także względu obecna tendencja polityczna, realizowana przez pewne czynniki wojskowe, naraża Państwo nasze na największe niebezpieczeństwo, bez względu na to że czynniki te działając, zasłaniają się hasłem obronności Państwa.

Dlaczego właśnie teraz w roku 1938, kiedy możliwości polityczne istniejące na świecie nabrzmiewają coraz bardziej a sprawa ukraińska niewątpliwie swoją możliwość zmiany stanu potencjalnego na kinetyczny posiada, właśnie teraz Polska akcentuje wobec całego świata tak zresztą znaną w historii naszej nietolerancję w stosunku do ludności ukraińskiej i traci swój autorytet na wschodzie? Dlaczego właśnie teraz rękami pewnych czynników w Państwie naszym wzniecany jest na kresach naszych pożar nienawiści? Dlaczego właśnie teraz Polska uważała za stosowne zająć stanowisko znane w historii naszej, które zawsze i bez wyjątku prowadziło do słabości i upadku Rzeczypospolitej? ■

eprasa.pl 2b95f03724



PAWEŁ SKIBIŃSKI

1963 – Ben Gurion ustępuje z rządu

21 czerwca 1963 r. swoją drugą kadencję jako premier Izraela zakończył Dawid Ben Gurion. Był on Żydem pochodzącym z Królestwa Polskiego. Przyszedł na świat pod nazwiskiem Dawid Grün w październiku 1886 r. w Płońsku, mieście położonym na Mazowszu. Jego ojcem był prawnik o sympatiach syjonistycznych – Awigdor Grün. Młody Grün zaczął studiować w Warszawie na Cesarskim Uniwersytecie Warszawskim, gdzie w 1905 r. zapisał się do lewicowej partii Poalej Syjon. Rok później wyemigrował jednak do Palestyny.

Na tle swych towarzyszy partyjnych był zdecydowanie bardziej nacjonalistyczny. W Palestynie pracował jako robotnik rolny, a zarazem należał do żydowskiej organizacji paramilitarnej – Ha-Szomer, która w 1920 r. weszła w skład Hagany. Jeszcze w 1912 r. Grün wyjechał do Stambułu, gdzie ukończył prawo, a także zmienił nazwisko. Nowe – Ben-Gurion – miało uczcić Józefa Ben Goriona – żydowskiego historyka z X w.

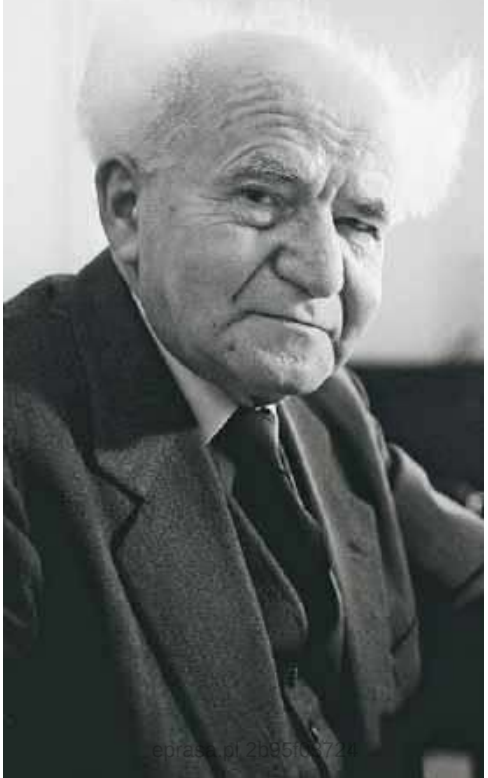
W czasie I wojny światowej Ben Gurion werbował w USA żydowskich ochotników, a następnie sam zaciągnął się do Legionu Żydowskiego, sformowanego przez Brytyjczyków do walki przeciwko Turkom.

Po powrocie do cywila i po rozłamie w Poalej Syjon Ben Gurion utworzył własną partię, łączącą elementy socjalistyczne z wyraźnym nacjonalizmem, pod nazwą Achdut ha-Awoda. Z jej ramienia został wybrany w 1920 r. do I i II Rady Narodowej (lata 1920–1931), w ramach których stał się członkiem Komitetu Wykonawczego. W 1930 r. współtworzył i stanął na czele lewicowo-narodowej partii Mapai, dominującej zarówno w Światowej Organizacji Syjonistycznej, jak i potem w pierwszych latach istnienia Państwa Izrael. Został zastępcą przewodniczącego ŚOS.

W latach 1931–1944 uczestniczył w pracach III Rady Narodowej. W 1935 r. został wybrany na przewodniczącego Komitetu Wykonawczego Agencji Żydowskiej, czyli oficjalnej reprezentacji społeczności żydowskiej w Palestynie. Ben Gurion pełnił tę funkcję do 1948 r.

Od 1942 r. stawiał jako oficjalny cel żydowskiej polityki w Palestynie powstanie niepodległego państwa narodowego. Był głównym polemistą syjonistów rewizjonistów – kierunku zainicjowanego przez zmarłego w czasie wojny w USA Ze'ewa Żabotyńskiego. Ben Gurion także odżegnywał się od metod terrorystycznych związanego z tym środowiskiem Irgunu.

Ben Gurion (1886–1973) w pamięci Izraelczyków pozostał jako człowiek, który przyczynił się w decydujący sposób do powstania niepodległego Izraela



W 1947 r. przemawiał w imieniu Żydów na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ, a w maju 1948 r. ogłosił Deklarację Niepodległości Izraela, która stała się bezpośrednią przyczyną wojny arabsko-izraelskiej. W jej trakcie Ben Gurion kierował działaniami izraelskimi, a konflikt zakończył się sukcesem strony żydowskiej.

Ben Gurion był najpierw premierem rządu tymczasowego Państwa Izrael w latach 1948–1949, a następnie pierwszym premierem Izraela – kierując ośmioma z pierwszych dziesięciu gabinetów państwa żydowskiego w latach 1948–1954 oraz 1955–1963. Jego partia – Mapai – wygrywała zdecydowanie pierwsze wybory w 1949 r., a także kilka kolejnych.

W 1954 r. Ben Gurion wycofał się z życia politycznego i z kierowania partią, po czym udał się do kibucu na pustyni Negew. Jednak po roku powrócił do polityki i ponownie objął ster rządów w Izraelu. Uczestniczył m.in. w kryzysie sueskim, zainicjował izraelski program nuklearny.

Za jego kadencji został też schwytany przez Mosad w Argentynie i dostarczony do Izraela, a następnie osądzony i stracony, niemiecki zbrodniarz wojenny Adolf Eichmann.

W 1963 r. Ben Gurion ustąpił ze stanowiska ze względów osobistych, uważając, że nie ma wystarczającego wsparcia ze strony swoich kolegów z rządu. Jednak jego autorytet był na tyle duży, że przyjęto jako następcę wskazanego przezeń kandydata – Lewiego Eszkola, dotychczasowego ministra finansów i kolegę partyjnego Ben Guriona z Mapai.

Ustąpienie Ben Guriona nie oznaczało całkowitego jego wycofania się z polityki. Pierwszy premier Izraela wystąpił w 1965 r. z Mapai w związku z niechęcią Eszkola do rozliczenia się z aferami szpiegowskimi. Założył swoją partię Rafi, a następnie kolejną formację – Listę Państwową, która była już raczej ugrupowaniem umiarkowanej prawicy. Zasiadał w kolejnych Knesetach.

W 1970 r. ponownie wycofał się z życia politycznego i zamieszkał w kibucu. Zmarł tam w grudniu 1973 r.

W pamięci Izraelczyków pozostał jednak jako historyczny przywódca, ojciec Narodu, człowiek, który przyczynił się w decydujący sposób do powstania niepodległego Izraela.

FOT. FRITZ COHEN/NATIONAL PHOTO COLLECTION

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE

nawet kiedy śpisz



WEJDŹ NA:

wPolityce.pl

Listopad



MICHAŁ KOMUDA

2 XI 1932

90 lat temu ostatnim ministrem spraw zagranicznych II Rzeczypospolitej został płk Józef Beck. Był głównym architektem polskiej polityki zagranicznej drugiej połowy XX-lecia międzywojennego.



6 XI 1657

W Bydgoszczy doszło do zaprzysiężenia traktatów welawsko-bydgoskich, w myśl których wygasała zależność lenna Prus Książęcych od Rzeczypospolitej, a władający nimi Hohenzollernowie uzyskiwali suwerenność.



8 XI 1632

W wyniku elekcji obrano królem Rzeczypospolitej najstarszego syna Zygmunta III Wazy i Anny Habsburżanki, Władysława IV. W trakcie niespełna 16-letniego panowania władca zapisał się jako utalentowany wódz, reformator armii, a także mecenas wspierający rozwój sztuki i nauki.

17 XI 1892

W Paryżu rozpoczął się zjazd przedstawicieli środowisk niepodległościowo-socjalistycznych, w trakcie którego powołano do życia Polską Partię Socjalistyczną.



18 XI 1892

W Strzybniku na Śląsku przyszedł na świat przyszły abp Józef Gawlina. Podczas II wojny światowej pełnił swoją posługę wśród polskich żołnierzy walczących w różnych zakątkach ogarniętego pożogą świata jako biskup polowy Wojska Polskiego.

26 XI 1917

Za aprobatą władz austro-węgierskich i niemieckich Rada Regencyjna powołała na stanowisko Prezydenta Ministrów Królestwa Polskiego Jana Kucharzewskiego. Był on pierwszym premierem odradzającego się państwa polskiego.



28 XI 1627

Polski adm. Arend Dickmann, wykorzystując sprzyjający wiatr oraz osłabienie wrogich załóg przedłużającą się, prowadzoną przez nie blokadą Gdańska, pokonał pod Oliwą szwedzką eskadrę. Bitwa przeszła do historii jako błyskotliwe zwycięstwo floty Rzeczypospolitej nad dominującymi na Bałtyku Szwedami.

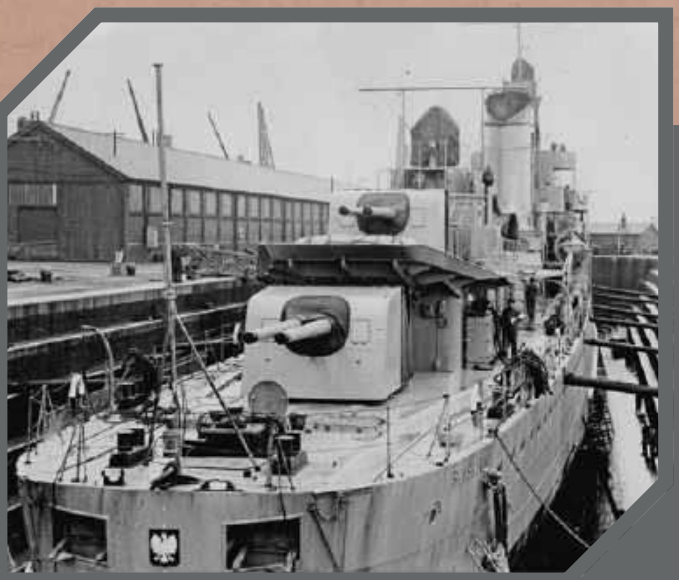


30 XI 1922

100 lat temu urodził się Józef Szczepański „Ziutek": harcerz Grup Szturmowych i żołnierz Batalionu „Parasol", kawaler orderu Virtuti Militari. W trakcie powstania warszawskiego napisał m.in. wiersze „A jak będzie już po wojnie" i „Czerwona zaraza" oraz teksty piosenek „Pałacyk Michla" i „Chłopcy silni jak stal".



eprasa.pl 2b95f03724



25 XI 1937

W brytyjskiej stoczni w Cowes wszedł do służby w Marynarce Wojennej jeden z dwóch najnowocześniejszych kontrtorpedowców – ORP „Błyskawica". Podniesiona wówczas polska bandera powiewa nad tym wyjątkowym okrętem od 85 lat.

Historia słynnej „Błyskotki" rozpoczęła się w kwietniu 1933 r., gdy Kierownictwo Marynarki Wojennej uzyskało zgodę na przeprowadzenie przetargu dotyczącego zakupu dwóch nowych kontrtorpedowców oraz dwóch okrętów podwodnych. Kolejne postępowania przetargowe związane najpierw ze stoczniami francuskimi, a następnie szwedzkimi nie przyniosły jednak oczekiwanych efektów. Trzeci przetarg został skierowany na brytyjskich wykonawców i rozpoczął się w lipcu 1934 r. Dopiero w jego toku zgłosił się przedstawiciel, jak się miało okazać zwycięskiej, stoczni John Samuel White & Co. w Cowes. Ostatecznie umowę na budowę dwóch bliźniaczych kontrtorpedowców podpisano 29 marca 1935 r. Ze strony polskiej nad jej realizacją czuwała Komisja Nadzorcza MW pod przewodnictwem kmdr. Stanisława Rymszewicza. W lipcu rozpoczęto prace nad pierwszym z okrętów, ORP „Grom", a niespełna trzy miesiące później nad ORP „Błyskawica". Rok później, 1 października 1936 r., odbyła się ceremonia wodowania drugiej z wymienionych jednostek. Matką chrzestną „Błyskawicy" została żona ambasadora RP w Wielkiej Brytanii, Cecylia Raczyńska. W przeciągu kolejnych 12 miesięcy zakończono prace i pod okiem polskiej Komisji Odbiorczej przeprowadzono próby. Po usunięciu niedoskonałości nadszedł pamiętny dzień 25 listopada 1937 r., kiedy nowy okręt oficjalnie wszedł w skład sił MW. W momencie tym ORP „Błyskawica" wraz z przekazanym pół roku wcześniej Rzeczypospolitej ORP „Grom" były najnowocześniejszymi polskimi kontrtorpedowcami i jednymi z najnowocześniejszych oraz najpotężniejszych jednostek tego typu na całym Bałtyku. Pierwszym dowódcą okrętu został kmdr Tadeusz Podjazd-Morgenstern. Jemu też powierzono zaszczytną misję przyprowadzenia ORP „Błyskawicy" do Polski. Już 1 grudnia okręt został powitany przez ORP „Wicher" oraz asystujące mu dwa trałowce, a następnie na oczach zgromadzonych ludzi wszedł do portu w Gdyni. Od tego momentu, pomimo upływu dziesiątek lat, dramatycznego, lecz nade wszystko niezmiernie chlubnego dla tej jednostki i jej załóg okresu II wojny światowej oraz zmian ustrojowych w Polsce, ORP „Błyskawica" nadal stanowi ozdobę i jeden z symboli tego morskiego miasta. Jegp sylwetka, do dziś wywołująca podziw, wiernie stoi przy gdyńskim nadbrzeżu. ORP „Błyskawica" obecnie jest najstarszym udostępnionym do zwiedzania okrętem tej klasy na świecie.

29 XI 1812

Pozostałości Wielkiej Armii zdołały wydostać się z rosyjskiego okrążenia, forsując nurty lodowatej Berezyny. Przeprawę umożliwiła ofiarna postawa wojsk polskich, które w tym momencie stanowiły już blisko połowę napoleońskich sił.

Tuż obok wycofującej się z Rosji w fatalnych warunkach atmosferycznych i aprowizacyjnych armii Napoleona kroczyły kąsające ją wrogie wojska marsz. Michała Kutuzowa. Jednocześnie z północy armia gen. Piotra Wittgensteina, a od południa adm. Pawła Cziczagowa prowadziły wyścig z czasem, aby odciąć uciekającym drogę ewakuacji na zachód. Ten ostatni zdołał nawet przejściowo zdobyć Borysów i zniszczyć jedyny most pozwalający na przeprawę przez Berezynę. Zmusiło to Wielką Armię do forsowania pokrytej krą rzeki przez bród na wysokości wsi Studzianka. W tym celu, przy udziale polskich saperów, 26 listopada zbudowano dwa, blisko 100-metrowe mosty oraz usypano groblę i rozpoczęła się przeprawa. Dwa dni później Rosjanie z obu stron rzeki zaatakowali napoleońskie wojska. Na zachodnim brzegu, pod Stachowem, polscy żołnierze stawili czoła przeważającym siłom adm. Cziczagowa. Ceną, jaką przyszło im zapłacić za zwycięstwo i wywalczenie dalszej drogi odwrotu, była utrata blisko jednej trzeciej żołnierzy. O zaciętości bitwy świadczył fakt, iż trzej kolejno dowodzący generałowie – Józef Zajączek, Henryk Dąbrowski oraz Karol Otto Kniaziewicz – opuścili pole bitwy w wyniku odniesionych ran. Rankiem 29 listopada na polecenie Napoleona spalono mosty. Resztki Wielkiej Armii zostały uratowane przed okrążeniem, jednak na drugim brzegu pozostawiono tysiące maruderów, rannych oraz łupy.



January Suchodolski, „Przejście przez Berezynę"

FOT. NAC (3X); WILCZYŃSKI KRZYSZTOF/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE; WBC.POZNAN.PL; DOMENA PUBLICZNA; POLONA.PL; HERMITAGE AMSTERDAM

eprasa.pl 2b95f03724

Grudzień

1 XII 1947

W gospodzie w Zabrzegu, w wieku 29 lat, został zamordowany były dowódca oddziału Narodowych Sił Zbrojnych kpt. Henryk Flame „Bartek". Zabójstwa dokonał miejscowy milicjant, który, podobnie jak inspiratorzy wykonanego przez niego zamachu, nigdy nie poniósł za swój czyn odpowiedzialności karnej.



4 XII 1942

80 lat temu utworzono konspiracyjną Radę Pomocy Żydom przy Delegaturze Rządu RP na Kraj kryptonim „Konrad Żegota". Organizacja ta zastąpiła utworzony ponad dwa miesiące wcześniej Tymczasowy Komitet Pomocy Żydom im. Konrada Żegoty.





8 XII 1577

W Malborku doszło do podpisania umowy kończącej konflikt zbrojny pomiędzy królem Stefanem Batorym a dumnym miastem Gdańskiem.

16 XII 1952

Wyrokiem komunistycznego sądu w więzieniu przy ul. Rakowieckiej został zamordowany weteran obrony Rejonu Umocnionego Hel i kawaler Virtuti Militari kmdr Zbigniew Przybyszewski. W 1939 r. zasłynął on jako bohaterski dowódca 31. Baterii im. Heliodora Laskowskiego.



20 XII 1922

100 lat temu Zgromadzenie Narodowe na drugiego Prezydenta RP wybrało Stanisława Wojciechowskiego. Powierzony mu urząd pełnił do zamachu majowego w 1926 r.

27 XII 1587

W katedrze wawelskiej abp gnieźnieński i prymas Polski Stanisław Karnkowski dokonał koronacji Zygmunta III Wazy. Nowy władca rozpoczął trwający ponad 80 lat okres panowania dynastii wazowskiej w Rzeczypospolitej.



31 XII 1932

Polscy matematycy – Marian Rejewski, Jerzy Różycki i Henryk Zygalski – zdołali złamać kod niemieckiej maszyny szyfrującej Enigma. Latem 1939 r. efekt ich przełomowego odkrycia został przekazany sojuszniczej Francji i Wielkiej Brytanii.



eprasa.pl 2b95f03724



12 XII 1882

W Suwałkach urodziła się Aleksandra Szczerbińska. Choć do historii przeszła przede wszystkim jako żona Marszałka Piłsudskiego i matka jego córek, to posiadała własną piękną kartę jako działaczka niepodległościowa.

Przyszła pani marszałkowa pomimo roli, jaką miała odegrać u jego boku, nigdy nie była osobą pozbawioną charyzmy. W wieku 22 lat wstąpiła do Polskiej Partii Socjalistycznej, w której zajmowała się zarządzaniem składami uzbrojenia oraz przewożeniem pod własnym ubraniem broni i amunicji. Działała również w Oddziale Żeńskim Związku Strzeleckiego. O odwadze i daleko idącym oddaniu sprawie świadczył m.in. udział w przygotowaniach do ataku na carski pociąg pocztowy pod Bezdanami w 1908 r. Dwa lata wcześniej w szeregach PPS poznała swojego przyszłego męża, znacznie starszego od niej, żonatego już wówczas Józefa Piłsudskiego. Podczas I wojny światowej została komendantką kurierek I Brygady Legionów. Następnie działała w Polskiej Organizacji Wojskowej, za co została aresztowana i internowana przez niemieckie władze. Za działalność niepodległościową została odznaczona orderem Virtuti Militari. W 1918 i 1920 r. urodziła kolejno Wandę, a następnie Jadwigę. Obie córki przyszły na świat jeszcze przed zawarciem ślubu z Marszałkiem, który odbył się dopiero po śmierci jego pierwszej żony Marii, w październiku 1921 r. Jednak również wówczas nie zaprzestała szeroko zakrojonej działalności, angażując się tym razem na polu społecznym i charytatywnym.

19 XII 1737

W rodowej Żółkwi odszedł ostatni z męskich potomków króla Jana III, 70-letni Jakub Sobieski. Choć wiązano z nim wielkie nadzieje oraz planowano osadzić na tronie, to los okazał się dla jego osoby i całego rodu więcej niż niełaskawy.

Urodził się w 1667 r. w Paryżu, gdzie matka Marysieńka dopilnowała, aby jego chrzestnymi zostali król Francji Ludwik XIV i córka byłego króla Anglii, księżna Henrietta Stuart. Gdy w 1674 r. jego ojciec został władcą Rzeczypospolitej rozpoczęto starania zmierzające do wykreowania Jakuba na następcę tronu. W tym celu młodzieniec brał udział u boku słynnego Lwa Lechistanu w kolejnych wyprawach wojennych. Jednocześnie starano się ożenić go z którąś z księżniczek wywodzących się z europejskich dynastii. Niestety, pomimo tych prób nie udało się zdobyć dla Jakuba ani poparcia wśród szerokich mas szlacheckich, ani też zbudować skutecznego zaplecza za granicą. Ostatecznie w 1691 r. ożenił się z wywodzącą się z bardzo dobrze skoligaconego rodu, siostrą cesarzowej, Jadwigą Elżbietą von Pfalz-Neuburg. Małżonka wspierała swojego męża na wielu polach. Urodziła mu również trzy córki, jednak nie zdołała dać męskiego potomka, który przeżyłby wiek dziecięcy. Po śmierci Jana III Jakub podjął walkę o koronę. W trakcie elekcji 1697 r. przegrał jednak z saskim kandydatem Augustem II. Władca ten, zresztą nie bez przyczyny, do końca życia w młodym Sobieskim widział swojego rywala. Przełożyło się to nawet na uwięzienie przez Sasa w 1704 r. Jakuba oraz jego młodszego brata Konstantego i osadzenie ich na trzy lata w Saksonii. Po przegranej elekcji Jakub wraz z żoną osiadł w przewidzianej dla nich rezydencji w Oławie na Śląsku i na wiele lat zrezygnował z bytności w Rzeczypospolitej. Podejmowane próby pozyskania we władanie nowych ziem czy też odsunięcia Augusta II od władzy w Polsce nigdy nie zakończyły się sukcesem. Co gorsza, na skutek wydania, wbrew cesarskiej woli, jednej ze swoich córek za mąż za Jakuba III Stuarta, utracił tymczasowo siedzibę w Oławie. Zmusiło go to do tułaczki, z której zezwolono mu powrócić dopiero tuż przed samą śmiercią schorowanej żony. Ostatecznie pod koniec życia Augusta II Jakub opuścił Oławę i osiadł w Żółkwi. Choć nadal wiązano z nim pewne nadzieje polityczne, były to już jego ostatnie lata. W trakcie swojego długiego i niezbyt pomyślnego życia niedoszły król Polski był świadkiem śmierci żony, obu swoich młodszych braci oraz aż dwóch córek. Odchodząc, miał świadomość, że wraz z nim wygasa słynny niegdyś w całej Europie ród Sobieskich. ■



FOT. IPN; DOMENA PUBLICZNA; WILCZYŃSKI KRZYSZTOF/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE; MUZEUM OBRONY WYBRZEŻA STOWARZYSZENIA „PRZYJACIELE HELU"; NAC; ANDRZEJ WIKTOR/POLONA.PL; MUZEUM PAŁACU KRÓLA JANA III W WILANOWIE

eprasa.pl 2b95f03724

KAZIMIERZ KONARSKI (1886–1972)

BADACZE ODWIEDZAJĄCY ARCHIWUM GŁÓWNE AKT DAWNYCH ZWYKLE W POŚPIECHU ZMIERZAJĄ DO PRACOWNI, W KTÓREJ OCZEKUJĄ NA NICH ZAMÓWIONE ARCHIWALIA. NIE ZAWSZE MAJĄ CZAS, BY ZERKNĄĆ NA OBRAZ ZDOBIĄCY ŚCIANĘ HOLU NA PIERWSZYM PIĘTRZE PAŁACU RACZYŃSKICH. Z PORTRETU Z ŻYCZLIWYM ZAINTERESOWANIEM SPOGLĄDA NA NICH ELEGANCKI STARSZY MĘŻCZYZNA, KTÓRY TRZYMA NA KOLANACH ROZŁOŻONĄ KSIĘGĘ



JACEK KROCHMAL

ARCHIWA PAŃSTWOWE
ARCHIWUM GŁÓWNE AKT DAWNYCH



Portret Kazimierza Konarskiego (1971)

Wiosną 1971 r. Bolesław Kuźmiński namalował portret Kazimierza Konarskiego. Dzieło spodobało się Konarskiemu, dlatego artysta podarował mu je w dożywotnie posiadanie z zastrzeżeniem, że później obraz ma przejść na własność AGAD. Prezent był wyrazem wdzięczności dla sędziwego profesora niezwykle zasłużonego dla warszawskich archiwów. Obdarowany najpierw był długoletnim dyrektorem Archiwum Akt Dawnych (1921–1944), a po jego spaleniu związał się zawodowo z sąsiednim Archiwum Głównym Akt Dawnych (1945–1961). Konarski był wybitnym archiwistą, twórcą teoretycznych podstaw archiwistyki i autorem pierwszego jej podręcznika. Codzienne obcowanie ze źródłami, niebywała pracowitość i łatwość pisania oraz talent literacki sprawiły, że spod jego pióra wyszło ok. 100 publikacji naukowych, świetnie napisany pamiętnik i kilkaset opowiadań dla młodzieży. Pamiętając o przypadającej właśnie 50. rocznicy śmierci, warto przypomnieć wybrane epizody z jego biografii. Pochodził ze znanej rodziny szlacheckiej herbu Gryf. Urodził się w 1886 r. w rodzinnym majątku w Jeleniowie pod Opatowem. Dziesięć lat później osierociła go matka, Joanna z Koseckich. W roku następnym młody Kazio został wysłany przez ojca do Warszawy, w której rozpoczął naukę w Szkole Realnej przy ul. Jezuickiej 4. Zrządzenie losu sprawiło, że już w wieku dojrzałym Konarski w sąsiedztwie tej szkoły rozpoczął swą wielką archiwalną przygodę. Jednak zanim to nastąpiło, musiał się skupić na dokończeniu edukacji. Kilka miesięcy przed maturą, w 1905 r., miał miejsce strajk szkolny. Konarski opuścił Warszawę i wyjechał do Galicji. W czerwcu 1906 r. zdał egzamin maturalny w c.k. Wyższej Szkole Realnej w Krakowie. Wkrótce został studentem Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie pod kierunkiem prof. Wiktora Czermaka napisał pracę o generale artylerii koronnej Marcinie Kątskim. W 1911 r. ogłosił ją na łamach „Przeglądu Narodowego". Kolejnym krokiem w karierze Konarskiego było uzyskanie tytułu doktorskiego na podstawie rozprawy „Polska przed odsieczą wiedeńską". Również ona została wydana drukiem (1914), a jej autor otrzymał nagrodę Kasy im. J. Mianowskiego „za najlepszą pracę z dziedziny historii narodu polskiego". Jeszcze w 1913 r. Kasa Mianowskiego przyznała Konarskiemu stypendium na roczny pobyt w archiwach w Dreźnie i Paryżu. Kwerenda ukończona tuż przed I wojną światową zaowocowała książką „Pałac Brühlowski w Warszawie" (1915). Zachęcony poprzednim sukcesem Konarski zgłosił ją do konkursu Towarzystwa Miłośników Historii na opracowanie dziejów jednego z warszawskich pałaców. Dobry warsztat historyczny i wykorzystanie źródeł odszukanych w Dreźnie sprawiły, że ta publikacja otrzymała pierwszą nagrodę w konkursie. Podczas stypendium Konarski zyskał sposobność poznania wybitnych historyków francuskich, w tym prof. Karola Seignobosa, autora podręcznika historii nowożytnej dla szkół średnich. Pracując później w ministerstwie, doprowa-

eprasa.pl 2b95f03724



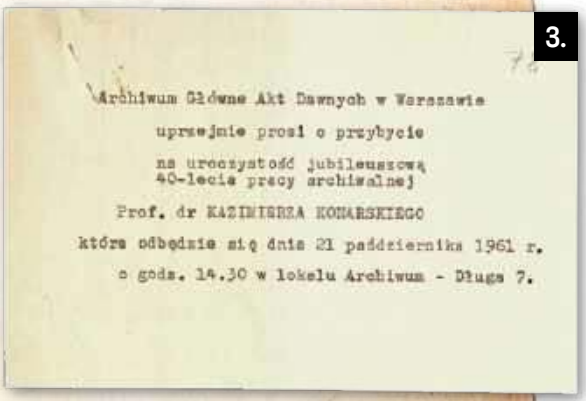
1. Ruiny Archiwum Akt Dawnych przy ul. Jezuickiej w Warszawie (1945 r.)
2. Pałac Raczyńskich w Warszawie (1953 r.)
3. Zaproszenie na jubileusz Kazimierza Konarskiego (1961 r.)

dził do przetłumaczenia podręcznika na język polski i wydania go w 1917 r. przez oficynę Gebethnera i Wolffa. Po powrocie ze stypendium został wykładowcą historii na reaktywowanym Uniwersytecie Warszawskim. Wkrótce jednak poprosił o urlop, by zaciągnąć się na służbę w Legionach. Po roku wezwano go do pracy w tworzonej administracji polskiej. Został sekretarzem generalnym w departamencie szkolnictwa, wkrótce przekształconym w Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Przełomowy w karierze Konarskiego był 1921 r., gdy objął stanowisko dyrektora Archiwum Akt Dawnych. Obcowanie ze źródłami nie było dla historyka niczym nowym, od wielu lat prowadził bowiem kwerendy archiwalne. Teraz jednak stanął przed wyzwaniem polegającym na rozpoznawaniu, inwentaryzowaniu i opracowywaniu akt. Zadanie to wymagało nie tylko wiedzy historycznej, lecz również umiejętności praktycznych, które można było zdobyć wyłącznie podczas codziennej pracy archiwisty. Na szczęście Konarski swe pierwsze kroki w archiwum stawiał pod okiem doświadczonych kolegów, Janusza Iwaszkiewicza (potem profesora Uniwersytetu Wileńskiego) i Ryszarda Przelaskowskiego, chętnie dzielących się z nim swą wiedzą. Pomny na własne problemy związane z postępowaniem z aktami Konarski współorganizował kursy archiwalne, przede wszystkim zaś napisał pierwszy w Polsce podręcznik archiwistyki, zatytułowany „Nowożytna archiwistyka polska i jej zadania" (1929). Nadzieje Konarskiego na powrót do normalnej pracy po wojnie rozwiały się wraz z dymem spalonego Archiwum Akt Dawnych, zniszczonego przez Niemców we wrześniu 1944 r. Spłonął także warsztat pracy Konarskiego, jego notatki źródłowe i przygotowane do druku rękopisy. Począwszy od stycznia 1945 r., resztki archiwaliów ocalone z pożaru były pieczołowicie wygrzebywane z ruin przez warszawskich archiwistów. Odnalezione skarby składano w magazynach Archiwum Głównego Akt Dawnych, które również padło ofiarą płomieni. Po wojnie AGAD funkcjonowało w pałacu Pod Blachą, a w 1952 r. otrzymało siedzibę w pałacu Raczyńskich przy ul. Długiej 7. Razem z ocalonymi resztkami zasobu Archiwum Akt Dawnych do pracy w AGAD przeniósł się również Kazimierz Konarski, gdzie został zastępcą dyrektora. Jednak wszechobecna biurokracja zbyt odciągała go od ulubionej pracy archiwalnej, dlatego w 1958 r. zrezygnował z tej funkcji, zadowalając się stanowiskiem kustosza.



Praca w archiwum umożliwiała Konarskiemu dostęp do niezmierzonego bogactwa źródeł wykorzystywanych w działalności naukowej. Związki z ministerstwem zaowocowały książką o dziejach szkolnictwa w Królestwie (1923). Konarski zachował sentyment do swej szkoły przy ul. Jezuickiej 4, publikując księgę pamiątkową Warszawskiej Szkoły Realnej o znamiennym tytule „Nasza szkoła" (1932). Jako historyk był przede wszystkim varsavianistą, poświęcając dziejom stolicy wiele publikacji. Część z nich miała praktyczne znaczenie dla odbudowy zrujnowanej Warszawy, by wspomnieć o opublikowanym w 1945 r. inwentarzu akt Zarządu Pałaców Cesarskich z lat 1795–1913. Ważnym dziełem był opasły tom przedstawiający dzieje Warszawy w pierwszych latach po ogłoszeniu jej stolicą Polski (PIW 1970). Kunszt literacki Konarski ujawnił w napisanych ze swadą pamiętnikach „Dalekie a bliskie. Wspomnienia szczęśliwego człowieka", wydanych przez Ossolineum w 1965 r. Dopiero niedawno okazało się, że zostały one okrojone przez komunistyczną cenzurę, która wykreśliła z nich rozdział poświęcony pobytowi autora w Legionach. Wiele uwagi Konarski poświęcił twórczości adresowanej do młodzieży, w przystępny sposób przybliżając jej historię. Poczytne były jego „Opowieści słoneczne" (Warszawa 1928), przetłumaczone na języki ukraiński (1938) i słowacki (1946), a później „Tajemnica zegara królewskiego" (1933) i „Krzywe koło" (1946). Ostatnia doczekała się aż czterech wydań i tłumaczenia na język włoski.

Dorobek Kazimierza Konarskiego uhonorowano nadaniem mu w 1951 r. tytułu profesora. Dziesięć lat później w AGAD odbyła się uroczystość z okazji jubileuszu 40-lecia pracy zawodowej Konarskiego. Był to też rok przejścia 75-letniego jubilata na emeryturę. Nadal jednak niemal codziennie odwiedzał archiwum, przygotowując do druku kolejny tom sumariusza protokołów Rady Administracyjnej Królestwa Polskiego. Pracowite życie Konarskiego zakończył nieszczęśliwy wypadek spowodowany potknięciem sędziwego archiwisty nieopodal własnego mieszkania. Profesor zmarł 3 listopada 1972 r. Został pochowany w rodzinnym grobowcu na Powązkach.



Archiwum Główne Akt Dawnych w Warszawie
uprasza prosi o przybycie
na uroczystość jubileuszową
40-lecia pracy archiwalnej
Prof. dr KAZIMIERZA KONARSKIEGO
która odbędzie się dnia 21 października 1961 r.
o godz. 14.30 w lokalu Archiwum - Długa 7.

FOT. KAROL ZGLIŃSKI

eprasa.pl 2b95f03724



ARCHIWA PAŃSTWOWE
ARCHIWUM AKT NOWYCH



Po lewej: „Strzelcy Pododdziału Związku Strzeleckiego Ławrów" Oddziału Połonka, po prawej: Klub Motocyklowy Związku Strzeleckiego w Łucku

„WIEDZ, ŻE POLSCE BĘDZIEMY WIERNIE SŁUŻYĆ!"



RAFAŁ KIERZKOWSKI

ARCHIWUM MARSZAŁKA EDWARDA ŚMIGŁEGO-RYDZA JEST BEZCENNYM ZAPISEM OSTATNICH LAT II RP

Druga połowa lat 30. to czas, kiedy społeczeństwo Polski w obliczu narastającego napięcia sytuacji międzynarodowej poszukiwało nadziei i bezpieczeństwa w sile swojego państwa. Autorytet Edwarda Śmigłego-Rydza, zarówno jako Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych i potem jako Marszałka, próbującego wypełnić bezkresną lukę po śmierci Józefa Piłsudskiego, był niepodważalną składową ówczesnej racji stanu. Świadectwem uczuć, jakimi Polacy darzyli postać przyszłego Naczelnego Wodza, są zachowane w zasobie Archiwum Akt Nowych przesyłane Edwardowi Śmigłemu-Rydzowi akty hołdów, pamiątkowe listy, albumy i laurki, które uzupełniają wspaniale obraz II RP.

Któż, jeśli nie Strzelcy?

Związek Strzelecki, kontynuujący tradycje formacji, która przed I wojną światową przygotowywała naród polski do podjęcia w przełomowym momencie walki o niepodległość kraju, był w II RP organizacją o skali powszechnej. Licząc kilkaset tysięcy członków i obejmując strukturami obszar całego kraju, kształtował młode pokolenie w duchu patriotyzmu i obronności. Przesłane od Strzelców, m.in. z Białegostoku, Grodna, Łucka, Podhajec i Świętochłowic, albumy dokumentują prowadzone szkolenia, wydarzenia, akademie i uroczystości, będąc same w sobie swoistym archiwum Związku Strzeleckiego.

Świadectwo polskości Gdańska

Hołd i życzenia dla Marszałka przesyłały licznie również szkoły. Szczególnymi z nich były polskie placówki w Gdańsku. Wobec narastającej niemieckiej nienawiści i antypolskich represji w tzw. Wolnym Mieście kadry nauczycielskie starały się jak najlepiej kształcić młodych Polaków

FOT. ZBIORY AAN



Dzieci klas I–III w roku szkolnym 1937/1938 Polskiej Szkoły Powszechnej im. J. Piłsudskiego w Gdańsku

eprasa.pl 2b95f03724

dawnego złotego miasta Rzeczypospolitej. Ich działalność na pewno była godna dostrzeżenia przez Marszałka, a dzięki temu obrazy polskiego szkolnictwa w Gdańsku dotrwały do naszych czasów.

Podoficerowie nie gorsi od oficerów

Pośród materiałów przesyłanych przez różne jednostki Wojska Polskiego wyróżnia się album przesłany przez Szkołę Podchorążych dla Podoficerów w Bydgoszczy. Placówka ta, kształcąca na potrzeby korpusu oficerskiego dotychczasowych podoficerów, którzy wyróżnili się odpowiednimi cechami, nadesłała bogatą fotograficzną kronikę obrazującą szkolenia i uroczystości szkoły, jak i zwyczajne życie codzienne żołnierzy, a nawet piękno natury wojskowych poligonów.



Uroczysty przegląd pododdziałów w Szkole Podchorążych dla Podoficerów w Bydgoszczy

Czując Polskę

Szczególnie poruszającym świadectwem są fotografie przesłane przez Związek Ociemniałych Żołnierzy RP, zrzeszający polskich żołnierzy, którzy stracili wzrok w rezultacie bitewnych ran, chorób lub nieszczęśliwych wypadków. Jak się okazuje, nawet pozbawieni jednego ze zmysłów żołnierze chcieli i potrafili współtworzyć strukturę, która nie tylko pomogła im w funkcjonowaniu, lecz pozwoliła też dalej służyć Polsce.

Letnisko Ociemniałych Żołnierzy RP w Ziemnicach Nowych



Prawdziwe dzieła sztuki

Wiele z przesłanych albumów to prawdziwe dzieła sztuki. Liczne ręcznie wykonane grafiki, rysunki, malowidła czy kaligrafie oraz pełne snycerskiego i grawerskiego kunsztu detale czy introligatorskie majstersztyki opraw oddają stopień zdolności młodych artystów II RP.



Kompozycja orzełka strzeleckiego, herbu Wilna i litewskiej Pogoni autorstwa wileńskiego artysty – strzelca Janusza Tłomakowskiego

Miasta i wsie, powiaty i gminy...

Jak Polska długa i szeroka Marszałkowi Polski nadawano tytuły honorowego obywatela miast, powiatów, a nawet pojedynczych gmin. Przesłane akty nadań pełne podpisów lokalnych urządników i działaczy samorządowych są bogatym źródłem informacji, które dają gotowy schemat i listy nazwisk najaktywniejszych postaci tych ówczesnych społeczności. Swymi podpisami dosłownie zapisali się oni w historii Polski.

Akt nadania honorowego obywatelstwa gminy Prawda



Stopień zorganizowania społeczeństwa polskiego, które przeczuwając nadchodzący kryzys, zrzeszało, kształciło oraz szkoliło się w dziedzinie obronności i państwowości, był imponujący. To właśnie dzięki niemu Polacy byli w stanie stawić opór obu najeźdźcom i mimo tragicznej okupacji niezłomnie walczyć o wolną Polskę. Archiwalne świadectwa dorobku tamtych pokoleń czekają na odkrycie w zasobie Archiwum Akt Nowych, którego Pracownia Naukowa stoi otworem przed badaczami i pasjonatami. Wrota II RP nie zostały zupełnie zamknięte...





Powyżej: sekcja wiejska Związku Młodej Polski na audiencji u Marszałka, poniżej: Młodzież Straży Przedniej szykująca łodzie na letnie wyprawy po kresowych rzekach

eprasa.pl 2b95f03724

ŻOŁNIERZ, SENATOR, PATRIOTA

DZIEJE SAMUELA NADOLSKIEGO SĄ PRZYKŁADEM KARIERY UBOGIEGO SZLACHCICA, KTÓRY DZIĘKI ZASŁUGOM WOJSKOWYM DOSTĄPIŁ SENATORSKICH ZASZCZYTÓW I STAŁ SIĘ CZŁONKIEM ELITY POLITYCZNEJ RZECZYPOSPOLITEJ



HENRYK LITWIN



18 sierpnia 1627 r., drugiego dnia bitwy pod Tczewem, wojska szwedzkie dowodzone przez króla Gustawa Adolfa, uznawanego często za najwybitniejszego dowódcę wojskowego XVII w., przypuściły atak na umocnienia ziemne polskiej piechoty, broniące przeprawy przez bagna rzeki Motławy. Mająca przewagę liczebną i dominująca siłą swej artylerii armia szwedzka zdobyła szańce i przygotowywała się do ataku na głębsze pozycje wojsk polskich poprzez groble biegnące po bagnach. Gustaw Adolf, zgodnie ze swym zwyczajem osobiście dowodzący na pierwszej linii, pojawił się na przedpolu grobli, by zbadać warunki do dokonania ataku. Po stronie obrońców czuwał jednak Samuel Nadolski, rotmistrz piechoty polskiej. Obserwując pole bitwy przez lunetę, rozpoznał króla i polecił swoim dwóm najlepszym strzelcom otworzyć w jego kierunku ogień z muszkietów. Obaj „snajperzy" trafili szwedzkiego uzurpatora, który odniósł ciężkie rany w szyję i ramię. Króla ewakuowano na tyły, a armia pozbawiona wodza zrezygnowała z ataku. W ten sposób bitwa nie przyniosła Szwedom wymiernych korzyści. Nie udało się przełamać wojsk polskich i rozpocząć oblężenia Gdańska, co było głównym celem operacji najeźdźców i kluczowym zamierzeniem szwedzkiej agresji na Prusy Królewskie, rozpoczętej rok wcześniej. W taki oto sposób Samuel Nadolski zmienił losy kampanii 1627 r., a przy okazji wpłynął na dzieje Europy, bowiem Gustaw Adolf nigdy już nie odzyskał pełni sił. Niedowład ręki drastycznie ograniczał jego zdolność posługiwania się bronią, a bolesna blizna na ramieniu uniemożliwiała zakładanie pancerza. Król szwedzki mimo tych problemów nie zaniechał obyczaju włączania się do walki na pierwszej linii, co w ostatecznym rozrachunku przyniosło jego przedwczesną – w wieku 38 lat – śmierć w bitwie z armią cesarską pod Lutzen (1632).

„Krew własną chętnie przelewał"

Polski bohater bitwy pod Tczewem urodził się ok. 1585 r. w średnioszlacheckiej rodzinie herbu Roch, wywodzącej się z województwa rawskiego. Niewielki majątek nie zapewniał dostatniej egzystencji i być może dlatego sześciu braci Nadolskich poszukało fortuny w awanturze Dymitra Samozwańca II. Udział w Dymitriadzie nie przyniósł szczęścia dzielnym rawianom. Pięciu braci Samuela zginęło w moskiewskich utarczkach. Jednego z nich, Tomasza,

FOT. DOMENA PUBLICZNA; SHUTTERSTOCK



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Bitwa pod Tczewem, 1627 r.

komendanta zdobytego przez wojska królewskie Rosławia, „dla jego zbytków Moskwa na pal wbiła". Samuel z szeregów Łżedymitra trafił do armii koronnej, która pod wodzą hetmana Stanisława Żółkiewskiego włączyła się do wojny z Moskwą w 1609 r. Był pod Kłuszynem i w polskiej załodze Kremla. Opuścił Moskwę w jednym z oddziałów ewakuowanych przed ostateczną klęską. Pozostał w szeregach hetmańskich i w drugim dziesięcioleciu XVII w. walczył pod dowództwem Żółkiewskiego w licznych starciach z Tatarami i zbuntowanymi Kozakami. Wziął udział w nieszczęsnej wyprawie cecorskiej (1620) i po jej klęsce trafił do niewoli tureckiej. Wydostał się z niej w nieznanych bliżej okolicznościach i poszukał odwetu na Turkach w szeregach wojsk polsko-litewskich walczących pod Chocimiem (1621). Po zwycięskiej bitwie pozostał w służbie obrony potocznej i uczestniczył pod dowództwem hetmana polnego Stanisława Koniecpolskiego w kolejnych starciach z tatarskimi najeźdźcami i kozackimi buntami. Ta część życiorysu Nadolskiego nie znajduje odzwierciedlenia w źródłach opisowych z pierwszej ćwierci XVII w. O jego zasługach dowiadujemy się z późniejszych wpisów do Metryki Koronnej, kiedy przyszedł już czas na nagrody. Wtedy doceniono to, że „propriam sanguinem libenter profudisset" (krew własną chętnie przelewał) i „maxima industria dexteritatis, fidei haeroici et militaris anime specimina praebuerit" (wykazał się największymi umiejętnościami, heroiczną wiarą i duchem wojskowym).

Przepustką do sławy i nagród za zasługi okazał się udział Nadolskiego w walkach ze Szwedami w Prusach Królewskich od 1626 r. Działał tam jako rotmistrz piechoty polskiego autoramentu i odbył całą kampanię przeciwko wojskom Gustawa Adolfa. Brał udział w bitwach pod Gniewem (1626) i pod Hamersztynem (1627). W tym ostatnim starciu musiał odegrać niepoślednią rolę, gdyż hetman Koniecpolski powierzył mu rolę posła do króla, który miał zanieść wieści o tym ważnym zwycięstwie i wręczyć monarsze zdobyte chorągwie wroga. Nadolski przekazał Zygmuntowi III relację z triumfu „za niespracowaną czułością, dzielnością i odwagą wielką hetmana a zwyczajną cnotą, męstwem i statecznością rycerstwa" odniesionego, jak obwieszczała jego oracja wygłoszona wobec monarchy. Przy dworze zabawił bardzo krótko i rychło powrócił do służby w Prusach, by wziąć chwalebny udział we wspomnianej już bitwie pod Tczewem (sierpień 1627). W kolejnych kampaniach wojny pruskiej uczestniczył w roli regimentarza oddziałów blokujących próby szwedzkich działań ofensywnych. Jako dowódca wojska zaciężnego zapracował na wdzięczność Rzeczypospolitej nie tylko w walkach, lecz również jako rzecznik służby borgowej, czyli uczestniczenia wojska w walkach za odłożoną w czasie opłatą za służbę.

„I święci dla nagrody służyli Bogu"

Samuel Nadolski deklarował gotowość do ofiarnej służby, ale też w imieniu całego wojska zabiegał o należyte za nią wynagrodzenie. W wielu odpisach zachowała się jego głośna, wspominana już, »

eprasa.pl 2b95f03724



Szczątki Samuela Nadolskiego sprowadzono do Łasku i pochowano w podziemiach łaskiej kolegiaty

FOT. NOVIC84/WIKIPEDIA

» oracja z 4 maja 1627 r., w której wyłożył swój pogląd na służbę królowi i Rzeczypospolitej. Wskazał na zasługi wojsk najemnych, które już wcześniej „w trudach ukrainnych [...] w zimie i w lecie za pogaństwem krwawie uganiać się musieli". Przypominał, że „za rozkazaniem Jego Królewskiej Mości" oddziały te odważnie stawiły czoła nieprzyjacielowi w Prusach Królewskich, i wskazał, „jakowe prace, trudy, niewczasy, odpadnięcie od koni, od czeladzi i rynsztunków wojennych ponosić musieli". Z uzasadnioną dumą mówił o zasługach „stanu rycerskiego, [...] przez który korony na głowy monarchów wkładane szczęśliwie dotrzymywane bywają". Opisywał poświęcenie oficerów, „którzy sowitym kosztem przykładać się muszą do żołdu", i żołnierzy obywających się przez długi czas bez wynagrodzenia. Wygłosił ostrą krytykę magnaterii zaniedbującej powierzone jej królewszczyzny oraz urzędników zajmujących się skarbem państwa i uchylających się od wypłacania należnego wojsku żołdu. Nie szczędził deklaracji wierności królowi i Rzeczypospolitej, ale jednocześnie upominał się o sprawiedliwe wynagrodzenie trudów wojska. Posłużył się argumentem, że „i święci propter retributionem (dla nagrody) służyli Bogu, a gdyby im nie obiecano nieba, żadnegoby nie było męczennika".

Apele Nadolskiego nie przyniosły szybkich rezultatów. Rok później wojsko pruskie, w którego imieniu występował wraz kolegami oficerami, znowu skierowało do króla protestację (17 maja 1629 r.) upominającą się o dobrze zasłużone wynagrodzenie. Podkreślając, „żeśmy są spólnej ojczyzny matki naszej synowie", żołnierze zażądali stanowczo wypłaty żołdu i mobilizacji wysiłków ze strony tych, „którzy wczasów swych domowych za naszymi głowami zażywają". Rzeczpospolita zdołała ostatecznie utrzymać żołnierzy zaciężnych w służbie i doprowadzić do zamrożenia konfliktu ze Szwecją w ramach kompromisowego rozejmu w Altmarku (1629).

Z żołnierza stał się statystą

Asertywna postawa Nadolskiego nie przyniosła mu w ogólnym rozrachunku szkody, choć uznanie i nagrody spotkały go dopiero w czasach panowania Władysława IV. W 1633 r. otrzymał starostwo tczewskie na 15 lat, a cztery lata później zyskał rozszerzenie tego przywileju na 24 lata z prawem do dożywocia dla żony i sukcesji dla potomstwa. W ten sposób trafił do elity szlacheckiej Prus Królewskich, co rozpoczęło w jego życiu nowy etap. Z żołnierza stał się tzw. statystą, czyli politykiem. Duże znaczenie dla budowy jego pozycji społecznej miał korzystny materialnie ożenek z Anną Wierzbowską, przedstawicielką możnego rodu z województwa sieradzkiego i dziedziczką dóbr po pierwszym mężu, Janie Łaskim, ostatnim z reprezentantów zamożnej rodziny, szczycącej się słynnym antecesorem Janem, arcybiskupem gnieźnieńskim. Starostwo tczewskie i dobra objęte w imieniu żony, leżące głównie w województwie łęczyckim, zmieniły status majątkowy byłego ubogiego żołnierza. Stał się teraz zamożnym przedstawicielem średniej szlachty z ambicjami do pozycji senatorskiej. Tczewska królewszczyzna dawała mu silną pozycję w Prusach Królewskich. Potwierdzeniem tego był jego wybór na deputata do Trybunału Koronnego z województwa pomorskiego w 1643 r. W latach 40. XVII w. Nadolski przebywał przy dworze Władysława IV i należał do kręgu osób stanowiących polityczne zaplecze króla.

Kariera senatorska czekała go w okresie panowania Jana Kazimierza. Na sejmie elekcyjnym 1648 r. pojawił się jako poseł województwa pomorskiego. Brał aktywny udział w dyskusjach sejmowych. Występował w roli stronnika wyboru Jana Kazimierza, ale wypowiadał się głównie jako specjalista od spraw wojskowych za zaciągiem silnej armii, która byłaby w stanie przeciwstawić się zagrożeniu kreowanemu przez Kozaków Chmielnickiego. Deklarował gotowość do osobistej służby w wojsku mimo podeszłych już wówczas lat – „sam się iść personaliter submittował, choć i lata mu już wojnie dać pokój każą". Taka pozycja polityczna, jednocząca postulaty zwalczających się stronnictw, przyniosła Nadolskiemu wymierne korzyści. W 1649 r. trafił do senatu, najpierw jako skromny kasztelan konarski łęczycki, czyli reprezentant najniższych w hierarchii kasztelanii drążkowych, ale rychło, w lutym 1649 r., dostąpił zaszczytu nominacji na kasztelanię rospirską (Rozprza) i został wyznaczony do składu senatorów-rezydentów, pozostających przy królu w roli stałej rady doradczej. Jako senator uczestniczył w sejmach 1650, 1652, 1653 i 1654 r. Ponadto był często wykorzystywany przez Jana Kazimierza w roli przedstawiciela monarchy i reprezentanta senatu pertraktującego z izbą poselską. W 1655 r. został awansowany na kasztelanię rawską, przechodząc do kategorii senatorów większych. Był już wówczas dostojnym starcem, nazywanym złośliwie „brodyaszem" z racji na obfity zarost. W czasie potopu szwedzkiego, wobec niezliczonych odstępstw innych senatorów, pozostał wierny Janowi Kazimierzowi i dołączył do króla udającego się na wygnanie na Śląsk. Stawił się na wezwanie monarchy na naradzie senatu w Opolu w listopadzie 1655 r. Rychło po tym zmarł, a jego doczesne szczątki zostały przewiezione do Rzeczypospolitej i pochowane w Łasku.

W dzisiejszym kościele Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny i św. Michała Archanioła w Łasku nie ma śladów uwieczniających zasługi tego bohatera wojny ze Szwecją i uczestnika bitew pod Cecorą oraz Chocimiem, ale to miejsce pozostaje śladem pamięci o człowieku, który pięknie zasłużył się Rzeczypospolitej i przeszedł do historii jako pogromca Gustawa Adolfa.

eprasa.pl 2b95f03724

Kup e-prenumeratę SIECI i wSIECI HISTORII teraz 50% taniej



e-book w prezencie

12 pasjonujących lekcji historii, dzięki którym poznacie m.in.:

- niesamowitą Polkę, najwybitniejszego szpiega i asa wywiadu
- żołnierza Piłsudskiego, który dostał Oskara
- Fina – postrach czerwonoarmistów
- napad na pociąg, w którym udział wzięli czterej przyszli premierzy II RP
- trwającą 16 lat wojnę, którą Polska wypowiedziała Japonii

aż 121 stron

Zamów już dziś na www.siecprzyjaciol.pl

Po zakupieniu prenumeraty e-book znajdziesz w zakładce: Moje wydania/Sieci Extra

eprasa.pl 2b95f03724

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

dr Karol Nawrocki
prezes Instytutu Pamięci Narodowej



Czekając na sprawiedliwość

3 tys. Stadionów Narodowych lub program 500+ przez 150 lat – co najmniej tyle wynosi wartość strat poniesionych przez Polskę wskutek niemieckiej napaści i okupacji. Do dziś nie otrzymaliśmy należytej rekompensaty

Czesława Kwoka miała 14 lat, gdy na zdjęciach obozowych w Auschwitz uwiecznił ją fotograf Wilhelm Brasse. Na wardze przestraszonej dziewczyny, ogolonej na krótko i ubranej w więzienny pasiak, widać ślady krwi – pozostałe po tym, jak chwilę wcześniej była bita przez strażniczkę. Niewiele później, 12 marca 1943 r., nastolatka została zamordowana zastrzykiem fenolu.

Pochodząca z Zamojszczyzny Kwoka to jedna z ponad 5,2 mln śmiertelnych ofiar niemieckiej napaści na Polskę i krwawej okupacji z lat 1939–1945. Ta wojna, zapoczątkowana diabelskim paktem Adolfa Hitlera i Józefa Stalina, przyniosła naszej ojczyźnie niewyobrażalną hekatombę – utratę (także wskutek przesunięcia granic) niemal co trzeciego obywatela i gigantyczne szkody materialne.

Naukowcy z różnych dziedzin i rzeczoznawcy majątkowi połączyli siły, by to pandemonium przełożyć na język ekonomii i twardych liczb. Efektem ich kilkuletniej pracy jest „Raport o stratach poniesionych przez Polskę w wyniku agresji i okupacji niemieckiej w czasie II wojny światowej 1939–1945". 1 września br. – dokładnie w 83. rocznicę wybuchu wojny – trzytomowe opracowanie zostało zaprezentowane na Zamku Królewskim w Warszawie.

Monumentalny „Raport" potwierdza to, co nam, Polakom, jest wiadome od



14-letnia Czesława Kwoka, więźniarka Auschwitz

lat, ale do dziś nie przebiło się dostatecznie do świadomości zachodnich społeczeństw: „Całą niemiecką okupację Polski znaczyły przemoc i zbrodnie". Bombardowania bezbronnych miast, krwawe „pacyfikacje" wsi, publiczne i potajemne egzekucje, wywózki do obozów koncentracyjnych – prawie każda polska rodzina straciła w czasie tej wojny krewnych lub choćby przyjaciół. Niemcy zdziesiątkowali polskie elity i liczną w II RP społeczność polskich Żydów, ale masowy terror bił też ślepo w całe społeczeństwo. Towarzyszyły mu zmuszanie do niewolniczej pracy, grabież na niespotykaną dotąd skalę i celowe niszczenie mienia, a nawet całych miast i wsi. Bylibyśmy dziś gospodarczo i cywilizacyjnie w innym miejscu, gdyby nie ta wojna.

Zapewne nigdy nie ustalimy z imienia i nazwiska wszystkich ofiar ani nie skatalogujemy wszystkich szkód materialnych z lat 1939–1945 – choćby dlatego, że sprawcy zbrodni wiele energii poświęcili na zacieranie śladów. A jednak obecna wiedza historyczna i nowoczesne metody badawcze pozwalają dość precyzyjnie określić wartość strat poniesionych przez Polskę wskutek niemieckiej napaści i okupacji. Autorzy „Raportu" oszacowali je na ponad 6,2 bln dzisiejszych złotych. Żeby zdać sobie sprawę z tego, jak kolosalna to kwota, dość powiedzieć, że wystarczyłaby na wybudowanie ponad 3 tys. Stadionów Narodowych lub finansowanie programu 500+ przez 150 lat! A dodajmy, że owe 6,2 bln zł to szacunki ostrożne, „zbliżone do minimalnych" – jak podkreśla we wstępie do „Raportu" poseł Arkadiusz Mularczyk.

FOT. ARCHIWUM PAŃSTWOWEGO MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU W OŚWIĘCIMIU

eprasa.pl 2b95f03724

„Rzeczpospolita Polska nigdy nie otrzymała rekompensaty za straty osobowe oraz materialne spowodowane przez państwo niemieckie. Nigdy nie otrzymała też zadośćuczynienia za ogrom krzywd wyrządzonych polskim obywatelom” – czytamy w uchwale Sejmu RP z 14 września br. Choć Niemcy mają poczucie, że wzorowo rozliczyli się z nazizmem, w sprawach materialnej odpowiedzialności ich kraju za zbrodnie brunatnego reżimu jesteśmy świadkami cynicznej gry na przeczekanie. Skromne świadczenia objęły – i to wiele lat po wojnie – tylko wybrane grupy polskich obywateli, jak ofiary pracy przymusowej czy zbrodniczych eksperymentów medycznych. Pytani o reparacje, czyli świadczenia należne już nie pojedynczym osobom, lecz Polsce jako państwu, politycy w Berlinie powtarzają zaś jak mantrę, że sprawa jest zamknięta z prawnego punktu widzenia.

Obecna wiedza historyczna i nowoczesne metody badawcze pozwalają dość precyzyjnie określić wartość strat poniesionych przez Polskę wskutek niemieckiej napaści i okupacji

Na takiej postawie trudno budować autentyczne polsko-niemieckie pojednanie. Wspomniana uchwała sejmowa wzywa rząd w Berlinie do wzięcia realnej odpowiedzialności „politycznej, historycznej, prawnej oraz finansowej” za skutki tego, co III Rzesza zgotowała Polsce i Polakom. Moralne zobowiązania, o których tak chętnie wspominają niemieccy politycy, nie mogą ograniczać się do podniosłych przemówień w kolejne rocznice 1 września 1939 r.

Wanien było 65, a jest 25, łóżek i stołów nie ma

Okupacja w Polsce „powiatowej” na przykładzie Kreishauptmannschaft Busko

W ciągu sześciu lat wojny okupant niemiecki stworzył na obszarze Kreishauptmannschaft Busko prężny aparat terroru i rozbudowany system więziennictwa



Zniszczenia w Pińczowie we wrześniu 1939 r.

FOT. IPN

dr Karolina Trzeskowska-Kubasik

Na terenie Kreishauptmannschaft Busko pomiędzy 1939 a 1945 r. funkcjonowało co najmniej 21 obozów różnego rodzaju: jenieckich, służby budowlanej, karnych, fortyfikacyjnych, a także pracy przymusowej dla Polaków i Żydów. Przeszło przez nie kilkanaście tysięcy osób. Działało osiem gett, w których osadzono blisko 26 tys. Żydów. Niemcy stworzyli 10 aresztów i jedno więzienie. Uwięziono w nich od 12 do 15 tys. osób. 20 tys. mieszkańców Buska wywieziono na roboty przymusowe do III Rzeszy, zaś ponad 4 tys. do obozów koncentracyjnych. W ciągu sześciu lat wojny okupant niemiecki stworzył na obszarze Kreishauptmannschaft Busko prężny aparat terroru i rozbudowany system więziennictwa.

Ofiary nazwane po imieniu

Ustalono nazwiska 12 439 osób, które zginęły w czasie II wojny światowej na terenie Kreishauptmannschaft Busko. Dane te należy powiększyć o przypadki śmierci osób, których nie udało się zidentyfikować z imienia i nazwiska. Można postawić tezę, że skala strat osobowych była znacznie wyższa. Ofiary bezpośrednich działań wojennych (żołnierze i cywile) to mniej niż 5 proc. ofiar. Przeważającą większość stanowią ofiary terroru niemieckiego. Jego eskalacja miała miejsce

eprasa.pl 2b95f03724



FOT. NAC

Zdjęcie sanatorium w Busku-Zdroju, Sanatorium Marconi, 1942 r.

w latach 1943–1944. Tylko w 1943 r. w pojedynczych i masowych egzekucjach zamordowano co najmniej 1 000 osób. Rok 1944 na terytorium Kreishauptmannschaft Busko charakteryzował się zaś licznymi akcjami represyjnymi przeprowadzanymi m.in. we wsiach Janina, Jurków i Równiny. Wówczas miała także miejsce największa liczba egzekucji w Lesie Wełeckim koło Buska-Zdroju. Ogółem w 1944 r. zginęło co najmniej 687 osób.

W czasie okupacji niemieckiej największe straty ponieśli mieszkańcy Chmielnika – co najmniej 3 915 osób (miasteczko w 1942 r. zamieszkiwało około 15 tys. osób, w tym 13 tys. Żydów). Równie wysokie koszty osobowe odnotowano wśród mieszkańców Pińczowa – 1 694 osób. Powyższe dane mają ścisły związek zarówno z funkcjonowaniem getta, w którym przebywało 3,5 tys. Żydów, jak i z działalnością więzienia, gdzie na tzw. Zawięzieniu w latach 1939–1944 odbywały się egzekucje. Ponadto ustaliłam personalia: 930 mieszkańców Stopnicy, 530 mieszkańców Nowego Korczyna, 497 mieszkańców Buska-Zdroju, 352 mieszkańców Wiślicy, 313 mieszkańców Pacanowa oraz 131 mieszkańców Szydłowa. Wśród głównych miejsc kaźni należy wymienić m.in. więzienie w Pińczowie, gdzie zginęły co najmniej 192 osoby, oraz Las Wełecki, gdzie rozstrzelano co najmniej 100 osób.

Zrujnowany powiat, rozgrabione uzdrowiska

Na mocy zarządzenia Kreishauptmanna Wilhelma Schäfera z 10 lutego 1940 r. terytorium powiatu stopnickiego, wchodzącego w skład dystryktu Radom w Generalnym Gubernatorstwie, zastąpiono Kreishauptmannschaftem Busko, dołączając do niego część terenów dawnego powiatu pińczowskiego.

Powiat stopnicki był jednym z najbardziej zrujnowanych powiatów w województwie kieleckim, obok kozienickiego, iłżeckiego, opatowskiego i sandomierskiego. Do ogromu zniszczeń na jego terenie przyczyniły się działania wojenne prowadzone od lata 1944 r. do stycznia 1945 r. Najbardziej ucierpiały wsie położone wzdłuż przebiegającej linii frontu oraz miejscowości znajdujące się w przyczółku baranowsko-sandomierskim. W sierpniu 1944 r. z pasa przyfrontowego o szerokości od 15 do 20 km Sowieci wysiedlili ponad 95 tys. mieszkańców Kreishauptmannschaft Busko ze 120 miejscowości. Większość ewakuowano na teren powiatu sandomierskiego, część zaś na Lubelszczyznę.

Pokłosiem II wojny światowej był proces dewastacji 14 gmin. W 100 proc. zrujnowano gminy: Grabki, Kurozwęki, Pacanów, Szydłów, Wolica oraz Wójcza, w 80 proc. gminy: Oleśnica, Szczytniki i Tuczępy, w 75 proc. gminę Potok, w 60 proc. gminy: Maleszowa i Zborów, w 50 proc. – gminę Łubnice, zaś w 40 proc. gminę Pawłów. W wyniku działań wojennych na obszarze Kreishauptmannschaft Busko w latach 1939–1945 całkowicie zniszczono 8 635 zabudowań mieszkalnych, zaś 15 187 budynków gospodarczych uszkodzono. W 80 proc. zdewastowano lokalne lasy. Straty materialne poniosły również budowle sakralne. Całkowitemu zniszczeniu uległy kościoły w Biechowie, Kargowie, Kotuszowie, Pacanowie, Stopnicy i Szydłowie.

Straty materialne odnotowano w uzdrowiskach w Busku-Zdroju i w Solcu-Zdroju, słynących z wód siarkowych i borowinowych. W czasie okupacji niemieckiej zmieniły swoje przeznaczenie, pełniąc głównie funkcję miejsc rekonwalescencji dla Niemców. W wyniku działań okupanta niemieckiego dewastacji uległa baza noclegowa w Busku-Zdroju oraz w Solcu-Zdroju, którą przeznaczono niemal wyłącznie dla niemieckich kuracjuszy. Ludności polskiej niemal całkowicie ograniczono do nich dostęp, co miało drastyczny wpływ na zmniejszenie frekwencji. Ów proces uległ pogłębieniu po zakończeniu działań wojennych. O ile w okresie przedwojennym Busko-Zdrój dysponowało 545 pokojami, o tyle w okresie powojennym liczba ta spadła do 195.

W czasie okupacji niemieckiej zniszczeniu i zawłaszczeniu uległy również zakłady i urządzenia zdrojowe w Busku-Zdroju. Wywieziono urządzenia: światłolecznicze, elektrolecznicze, gabinetów lekarskich, rentgenowskie i analityczno-badawcze. Wskutek powyższych dewastacji w 1945 r. nieczynny był m.in. dział kąpieli borowinowych, dział światłolecznictwa i elektroterapii, a także dział gimnastyki leczniczej. Zniszczono również archiwum zdrojowe. Ogromne straty poniosło Sanatorium Dziecięce „Górka". Ok. 200 specjalnych łóżeczek dla dzieci przerobiono na łóżka dla żołnierzy niemieckich. Rozgrabiono ubrania, bieliznę dziecięcą, a także pościel. Wywieziono aparat rentgenowski, diatermie, lampy oraz wszystkie obrazy. W uzdrowisku Busko-Zdrój zniszczenia spotęgowało również wkroczenie Sowietów w styczniu 1945 r. Zgodnie z informacjami pochodzącymi ze sprawozdania dyrektora zakładu, w uzdrowisku „nie ma bodaj 1 m² zieleni zakładowej, który by nie był naruszony, nie ma 5 m ogrodzenia, które by nie było nadwyrężone, nie ma budynku, który by nie ucierpiał, nie ma działu, żeby nie miał śladów przygodnego lub celowego zniszczenia".

Jeszcze większe straty poniosło uzdrowisko Solec-Zdrój. Samo miasteczko, jak i zakład zdrojowy, uległy dewastacji w ramach działań wojennych w 1944 r. Podczas okupacji niemieckiej w Solcu-Zdroju w 80 proc. zniszczono nowoczesne urządzenia łazienek wybudowanych w 1923 r., a także wycięto las należący do Zdroju i wiele drzew z parku zdrojowego. Urządzenia zdrojowe niemal całkowicie zrabowano. Pozbawiono uzdrowisko tak podstawowych sprzętów jak stoły, taborety czy łóżka. W sprawozdaniu z 12 września 1945 r. zamieszczono następującą informację: „Wanien było 65 – jest 25, taboretów jest tylko 5, kozetek było 72 – jest obecnie 9, łóżek nie ma, stołów nie ma. Zniszczone i zrabowane wszystko w 90 procentach".

W 1951 r. uzdrowisko Solec-Zdrój upaństwowiono i włączono do Dyrekcji Państwowego Uzdrowiska w Busku-Zdroju. Do 1958 r. leczono w nim rocznie ok. 500 kuracjuszy. O ile w Busku-Zdroju przyjmowano ich już w 1945 r., o tyle Solec-Zdrój został otwarty jako uzdrowisko całoroczne dopiero w 1961 r.

eprasa.pl 2b95f03724

Pierwsza przymiarka

Rząd RP na Uchodźstwie a odszkodowania od Niemiec

W Archiwum Akt Nowych znajduje się zapomniane opracowanie Witolda Łęgowskiego „Projekt rozwiązania spraw odszkodowań wojennych od Niemiec". Powstało ono we wrześniu 1943 r., toteż pomija np. fakt zniszczenia Warszawy. Miejsce i czas opracowania miały wpływ na jego kształt i niedoskonałości dotyczące zagadnień szczegółowych, jak np. niekompletne dane na temat strat wojennych. Jego wartość polega na analizie kwestii ogólniejszych, których zasadniczo nie zmieniły doświadczenia kolejnych wojennych miesięcy

— *dr Konrad Graczyk* —

Założenia te i punkt wyjścia polskich rozważań na temat odszkodowań istotnie różniły się od dzisiejszych akcentów w tej sprawie, które skupiają się głównie na aspekcie martyrologii i zadośćuczynienia.

Hierarchia postulatów

Za pierwszorzędne zadanie dla Polski, w kontekście traktatu pokojowego, uznano zapewnienie sobie bezpieczeństwa przez zmniejszenie dysproporcji sił materialnych Niemiec i Polski. Osiągnąć to można było na trzy sposoby: poprzez straty terytorialne Niemiec, skuteczne i trwałe ich rozbrojenie oraz odszkodowania. Zmiany granic na korzyść Polski uznano za środek najpewniejszy, gdyż klauzule traktatowe dotyczące granic zazwyczaj trwały najdłużej. Rozbrojenie Niemiec przeprowadzone w szerokim zakresie, połączone ze zmniejszeniem potencjału wojenno-gospodarczego, uznawano za gwarancję dodatkową na okres życia jednego pokolenia. Działanie odszkodowań oceniono natomiast jako krótkotrwałe, a szanse na ich przeprowadzenie stosunkowo najsłabsze. Ich celem miało być ułatwienie oraz przyspieszenie odbudowy i rozbudowy gospodarczej kraju. Ze względu na korelację z głównym celem



FOT. IPN

Prace przy odbudowie wysadzonego podwójnego mostu przez Wisłę w Tczewie – widok z zachodniego brzegu

(zapewnienie bezpieczeństwa) należało skonstruować je tak, by zmniejszały dysproporcję w potencjale gospodarczym z Niemcami – nie tylko przez zwiększenie potencjału polskiego, ale też zmniejszenie niemieckiego. W koncepcji Łęgowskiego żądanie ustępstw terytorialnych Niemiec wyprzedzało żądanie odszkodowań. A te ostatnie należało ustalać tak, aby nie mogły one dostarczyć Niemcom i ich stronnikom argumentów do walki z polskimi postulatami terytorialnymi.

Za najkorzystniejsze uznano połączenie postulatów rozbrojeniowych z odszkodowawczymi w formie świadczeń z majątku narodowego. Ze względu na priorytetowe rozbrojenie Niemiec odradzano żądania świadczeń w naturze, w postaci np. zamawiania sprzętu, za wyjątkiem sytuacji, kiedy nie dałoby się zrealizować celu zmniejszenia niemieckiego potencjału wojenno-gospodarczego. Wówczas należałoby domagać się znacznych dostaw periodycznych, które pośrednio by go zmniejszały, poważnie obciążając dochód narodowy Niemiec.

Trzy koncepcje świadczeń

Za możliwe uznano trzy koncepcje gospodarczych świadczeń na rzecz państw alianckich: świadczenia o charakterze trybutu, zwrot kosztów wojny, odszkodowania za szkody i straty wojenne. Przy określaniu polskiego stanowiska należało uwzględnić czynnik możliwości ich przeprowadzenia, zdolności Niemiec do wywiązania się z nałożonych świadczeń oraz stosunek roszczeń polskich w przypadku każdej koncepcji do żądań innych państw. W przypadku realności odszkodowań Łęgowski zwracał uwagę, że dla angielskiej opinii publicznej duże znaczenie ma argument, że pomyślność gospodarcza Niemiec jest warunkiem szybkiego dojścia do powszechnej równowagi gospodarczej na świecie. Dodatkowo były obecne głosy, że idea odszkodowań jest nierealna, a nawet szkodliwa. Koszty wojny poniesione przez aliantów oceniono jako tak wysokie, że niemożliwe było ich wyrównanie przez Niemcy w jakikolwiek sposób. Podobnie było z sumą szkód i strat wojennych. W tej sytuacji Polska winna była wysunąć koncepcję, która zapewniałaby jej jak największy udział w sumie świadczeń niemieckich.

Państwa koalicji antyhitlerowskiej różniły się w zakresie poniesionych kosztów wojny oraz odniesionych w jej wyniku szkód, w związku z czym miały opowiadać się za różnymi koncepcjami świadczeń. Do tego dochodziła kwestia bezwzględnej i względnej wielkości strat (uwzględniającej stosunek strat do wielkości przedwojennego majątku i dochodu narodowego). W tym zakresie na pierwszym miejscu opracowanie wymieniało Polskę, Grecję i Jugosławię, na ostatnim natomiast Czechosłowację, Holandię i Belgię. Poza tym to na Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych wobec długotrwałości wojny spoczywał ekonomiczny ciężar jej prowadzenia, co znajdowało odzwierciedlenie w ograniczeniu konsumpcji cywilnej i zużyciu majątku narodowego. Natomiast stanowisko pośrednie w tej sprawie zajmował Związek Sowiecki (w opracowaniu Rosja), ponieważ poniósł znaczne szkody i straty z powodu działań wojennych oraz koszty wojny.

Najlepsza koncepcja dla Polski

Drugą koncepcję uznano za niekorzystną, gdyż wobec ich wielkości niemożliwy był zwrot kosztów wojny, a bezpośrednie koszty jej prowadzenia poniesione przez Polskę były niewielkie w relacji do ciężarów mocarstw. Za najlepsze rozwiązanie z polskiego punktu widzenia uznano pierwszą koncepcję, czyli żądanie świadczeń od Niemiec w formie narzuconej wolą zwycięzców – trybutu. Ze względu na opory, jakie mogła ona wywołać wśród państw zachodnich, należało ją połączyć z trzecią koncepcją, a więc dodatkowo żądać wyrównania przez Niemcy szkód i strat poniesionych wskutek wojny, a pojęcie to rozumieć bardzo szeroko – obejmując nim działania wojenne i okres okupacji. Postulowano też uwzględnienie strat w przyszłości, będących skutkiem zmian przeprowadzonych przez okupanta w organizacji gospodarki polskiej i wywołane nimi uszczuplenie majątku lub dochodu narodowego bądź zwiększenie wydatków. Rekomendowano, aby żądania polskie obejmowały zarówno zwrot przedmiotów lub praw zabranych, jak i odszkodowania. Pierwsza forma miała dotyczyć głównie dóbr kultury, druga raczej szkód gospodarczych. Szersze zastosowanie zasady zwrotu w zakresie szkód i strat uważano za niekorzystne dla Polski w związku z doświadczeniami po traktacie wersalskim i ryskim, kiedy to pojawiły się poważne trudności ze zwrotem mienia wywiezionego przez okupantów. Poza tym przedmioty zabrane stanowiły tylko niewielką część szkód Polski.

W związku z powyższym opracowanie zawierało rekomendacje, że wybór formy i treści odszkodowań powinien zależeć od powojennych polskich potrzeb i nie można go było wiązać z rodzajem przedmiotów utraconych. Należało też starać się o uzyskanie od aliantów takiej swobody, aby przybrały one w praktyce charakter trybutu zmierzającego do odbudowy gospodarki Polski i osłabienia gospodarczego Niemiec.

Moralne pierwszeństwo

Opracowanie zawiera również rozważania dotyczące sposobu zaprezentowania na zewnątrz koncepcji odszkodowań, strat strony polskiej, planu odszkodowań czy gwarancji, organizacji i kontroli wykonania zobowiązań przez Niemcy. Zwrócono w nim uwagę, że Polska ma prawo moralne do domagania się pierwszeństwa w uzyskaniu odszkodowań, gdyż jako pierwsza oparła się agresji niemieckiej z bronią w ręku i w ten sposób umożliwiła innym państwom przygotowanie się do działań wojennych. Była też jednym z nielicznych państw, którego ludność Niemcy postanowili zniszczyć, a poniesione przez nią straty były największe w stosunku do majątku i dochodu narodowego.

Opracowanie niestety nie miało znaczenia dla regulacji kwestii odszkodowań od Niemiec po II wojnie światowej. Choć z punktu widzenia obecnego stanu wiedzy można się zastanawiać, na ile zawarte w nim postulaty świadczą o nieznajomości ówczesnych realiów politycznych, to w istocie stanowią dowód, że w rządzie RP na Uchodźstwie prowadzono prace analityczno-koncepcyjne, nie tylko nad kształtem przyszłego ustroju kraju, ale także przygotowywano się do podniesienia istotnych kwestii dla państwa polskiego – odszkodowań od Niemiec. Zaniechanie takich studiów stanowiłoby duży błąd i musiałoby skutkować formułowaniem zarzutu nieprzygotowania do ewentualnych rokowań. Przyszłe wydarzenia, jak np. brak traktatu pokojowego z Niemcami czy treść umowy poczdamskiej z „dobrodziejstwem" w postaci pośrednictwa ZSRR dla roszczeń polskich, którego zaoszczędzono innym państwom, znajdowały się niestety poza sprawczością rządu RP na Uchodźstwie.

eprasa.pl 2b95f03724



Trupy końskie i wozy taborowe na poboczu leśnej drogi

FOT. IPN

dr Grzegorz Majchrzak

Nie tylko zabici i zniszczenia, czyli wojenne straty i szkody Polski

Do uzyskania ewentualnych odszkodowań wojennych od Niemców przygotowywał się nie tylko Rząd RP na Uchodźstwie, lecz również nowe, ludowe władze Polski

W styczniu 1947 r., utworzone dwa lata wcześniej Biuro Odszkodowań Wojennych przy Prezydium Rady Ministrów, przygotowało specjalne zestawienie – „Sprawozdanie w przedmiocie strat wojennych i szkód Polski w latach 1939–1945". Oczywiście tylko tych spowodowanych przez Rzeszę Niemiecką, bez uwzględnienia niemałych w końcu zasług Związku Sowieckiego – drugiego ważnego agresora z września 1939 r. i okupanta polskich ziem. Stwierdzano w nim m.in.: „Jakkolwiek podczas ostatniej wojny całość ziem polskich dwukrotnie stała się terenem działań wojennych, ponosząc ich ciężkie skutki, związane zarówno z bezwzględnością wroga, jak z niszczącym działaniem nowoczesnej broni, to jednak zniszczenie wynikające z tych działań nie jest najcięższą częścią strat, jakie Polska w czasie wojny poniosła. Równie ciężkie, a może nawet cięższe jeszcze straty spowodowała wroga okupacja kraju".

Nie tylko zabici i zniszczenia

We wspomnianym sprawozdaniu wymieniono kilka rodzajów strat i szkód, jakie poniosła Polska, oraz wskazano ich przyczyny: „wrogą okupację", walkę z kulturą polską, walkę z polskością w dziedzinie gospodarki narodowej, wyniszczenie ludności i zniszczenie Warszawy. W przypadku działań wojennych podkreślano, że mimo iż kampania w 1939 r. trwała krótko, to straty w jej wyniku były „poważne". Podsumowywano, że w jej trakcie zginęło blisko 70 tys. polskich żołnierzy oraz dziesiątki tysięcy cywili. Znaczne straty poniosły również miasta, głównie te duże. I tak w przypadku Warszawy były to zniszczenia przekraczające 10 proc. jej infrastruktury. Kolejne duże straty – nie tylko zresztą w związku z walką sojuszników z września '39 (Niemiec i Związku Sowieckiego) przyniósł 1944 r. oraz początek 1945 r. (m.in. ogromne zniszczenia Poznania czy Grudziądza).

„Wroga okupacja"

W przypadku „wrogiej okupacji" podkreślano, że Niemcy stanęli na stanowisku, iż „państwo polskie już nie istnieje". I uzurpowali sobie „od pierwszej chwili" prawo

eprasa.pl 2b95f03724

do „zagospodarowania kraju dla swoich potrzeb, zarówno bieżących wojennych, jak zwłaszcza politycznych". Pierwszym zaś do tego krokiem było „całkowite zniszczenie polskiego aparatu państwowego" oraz „odsunięcie prawie całkowite miejscowej ludności od udziału w zarządzie krajem". Prowadzona była akcja niszczenia polskości, szczególnie silna na terenach włączonych do III Rzeszy. Podkreślano przy tym najtrudniejsze położenie osób narodowości żydowskiej, pozbawionej „nawet tych praw, jakie posiadała ludność polska i przeznaczając ją na pierwszy ogień w dziele zniszczenia". Co ciekawe, od Polaków lepiej potraktowano zamieszkujące II RP – poza oczywiście Żydami – mniejszości narodowe (Białorusinów, Ukraińców i Rosjan). Szczególnie zła była sytuacja ludności polskiej na terenach wcielonych do III Rzeszy. W sprawozdaniu stwierdzano wręcz: „Polacy zamieszkali tam znaleźli się w położeniu niewiele odbiegającym od położenia Żydów w reszcie kraju". Zostali oni już w pierwszych miesiącach okupacji wywłaszczeni „ze wszelkiego rodzaju posiadanej własności, włącznie do prawie wszystkich przedmiotów osobistego użytku". Poddano ich masowym – „sięgającym miliona" – prowadzonym w sposób bezwzględny i brutalny wysiedleniom.

Bezpowrotne straty kultury

Jak podkreślano: „Dążenie do zniszczenia narodu polskiego przejawiło się przede wszystkim w walce ze świadomością narodową oraz z całokształtem życia kulturalnego". Oznaczało to zniszczenie jeszcze w 1939 r. – niezależnie od działań wojennych – polskich zabytków, pomników, archiwów, bibliotek itp. Działania te były planowe i miały charakter wielostronny oraz totalny – objęły wszystkie dziedziny życia kulturalnego i społecznego. Były to nie tylko zniszczenia, ale też konfiskaty i grabieże. Wiele dzieł sztuki (np. obrazów) nigdy nie powróciło do Polski. Do Niemiec wywieziono m.in. ołtarz Wita Stwosza z Kościoła Mariackiego w Krakowie, rysunki Albrechta Dürera z Ossolineum czy stare druki z Warszawskiej Biblioteki Uniwersyteckiej. Ale walka z kulturą to nie tylko walka z jej przejawami materialnymi, to również walka z jej twórcami, wręcz – jak to określono – „wybijanie ludzi kulturalnych, aktywnie zdolnych do twórczości intelektualnej lub artystycznej". Jak podkreślano, niemiecki terror „ze szczególną siłą i zajadłością był skierowany właśnie przeciwko tym ludziom". Ogół Polaków został pozbawiony dostępu do muzeów, prasy (poza niemieckimi „gadzinówkami"). Z książek, muzeum, teatru czy filmu wyrugowano wiele tematów, na czele z historią Polski – w zamian „zaoferowano" pornografię.

Zlikwidowano instytucje kulturalne, stowarzyszenia i związki, a ich majątek skonfiskowano. Zakazano szkolnictwa wyższego, szkoły średnie ogólnokształcące rozwiązano. Tę listę działań można by jeszcze długo rozszerzać. „System okupacji zmierzał do tego, aby złamać naród polski, kazać mu zapomnieć o tysiącletniej przeszłości i sprowadzić do poziomu masy niezdolnej do zaspokojenia jakichkolwiek potrzeb natury kulturalnej, nawet gdyby takie potrzeby wśród niej się wzbudziły" – pisano w sprawozdaniu. Aby uświadomić sobie ogrom strat Polski z powodu takiej polityki, wystarczy wspomnieć, że w przypadku muzeów czy bibliotek kształtowały się one na poziomie 40–80 proc., a w czasie wojny zginęło 700 profesorów i pracowników szkół wyższych. Z tej zapaści kraj miał się wydobywać wyjątkowo długo, dłużej niż przez dwa pokolenia.

Walka z kulturą to nie tylko walka z jej przejawami materialnymi, lecz również z jej twórcami. Niemiecki terror „ze szczególną siłą i zajadłością był skierowany właśnie przeciwko tym ludziom"

Straty gospodarcze i osobowe

Niemcy na terenie zajętej Polski prowadzili gospodarkę rabunkową, „sprowadzającą się do bezwzględnego wyzysku polskich zasobów gospodarczych do celów wojny". Doprowadziło to m.in. do spadku pogłowia inwentarza gospodarstw rolnych o ponad połowę czy „kolosalnego zniszczenia drzewostanu w lasach" (ponad 200 tys. ha całkowicie zniszczonego oraz powyżej 500 tys. ha „zniszczonych w poważnej części"). Zdewastowano ok. 14 tys. zakładów przemysłowych, spośród ogółem ok. 23 tys., z kolei „aparat komunikacyjny" zniszczono w przeszło 80 proc. Tylko na terenach włączonych do III Rzeszy, Polaków wywłaszczono z ok. 5 mln ha ornej ziemi. Wywłaszczanie miało też miejsce w Generalnej Guberni – w pierwszej kolejności objęło zakłady wytwórcze, a pod koniec okupacji nawet części własności chłopskiej. Wprowadzono przymus pracy, a „płace otrzymywane przez Polaków były, mimo przedłużenia czasu pracy, kilkakrotnie niższe od płac wypłacanych za tę samą pracę Niemcom". Podobnie było w przypadku aprowizacji, a wartość kaloryczna produktów przydzielonych ludności polskiej wahała się od 400 do 700 kalorii dziennie i była kilkukrotnie niższa od minimum niezbędnego do życia. Generalnie polityka niemiecka spowodowała ogromne zubożenie Polski, zredukowała możliwości rozwoju polskiej gospodarki na „długie lata".

Trudne warunki życia, wręcz nędza – nie wspominając o osobach zabitych i zamordowanych przez niemieckiego okupanta – miały duży wpływ na „stan biologiczny ludności". Nastąpił rozwój inwalidztwa i chorób (na czele z gruźlicą), wzrosła śmiertelność (zwłaszcza niemowląt), alkoholizm, a nawet narkomania. Spadła liczba urodzeń. Zmienił się też stosunek liczby kobiet do mężczyzn, szczególnie w stolicy – ze 119,4 do 100 na 142 do 100. Spadł również znacząco odsetek ludności w wieku 20–24 lat (z 23 do 14,3 proc.). Towarzyszyło temu – jak pisano w sprawozdaniu – „obniżenie moralności społecznej i indywidualnej", a także „zdolności do pracy i jej wydajności".

Oddzielnie potraktowano zniszczenie Warszawy, które – jak stwierdzano – było przejawem ogólnej tendencji okupanta do przekreślenia roli historycznej narodu polskiego" i „planowo realizowaną akcją", a nie – jak wiele osób dziś twierdzi – „odruchem represji", np. za powstanie warszawskie. Tak na marginesie to właśnie w tym dokumencie pojawia się liczba ponad 6 mln obywateli Polski, którzy w czasie II wojny światowej stracili życie, w tym blisko 5,4 mln ofiar terroru okupacyjnego.

eprasa.pl 2b95f03724

Sowieckie zniewolenie, rosyjskie „wyzwolenie”

dr hab. Filip Musiał

Moskwa swoją imperialną politykę, prowadzącą do zniewalania narodów i podboju terytoriów innych państw, od dziesięcioleci skrywa pod hasłem „wyzwolenie”

Kampanie „wyzwoleńcze” 1939 r.

Rosja sowiecka dążyła do podboju Europy od czasu rewolucji komunistycznej. Już w czasie wojny polsko-bolszewickiej (1919–1921) twierdziła, że Armia Czerwona niesie Europie „pokój i szczęście”. Ta retoryka nie zmieniła się w kolejnych latach. Gdy Sowieci zasiadali do dyplomatycznych targów z Niemcami i podpisali pakt Ribbentrop–Mołotow, stali się współodpowiedzialni za wybuch II wojny światowej. W tajnym protokole totalitarne mocarstwa – III Rzesza i ZSRS – dokonały podziału stref wpływów w Europie Środkowo-Wschodniej, potwierdzając tym samym imperialne plany.

Po niemieckiej agresji na Polskę 1 września 1939 r. nastąpiła sowiecka – nad ranem 17 września. Retoryka Moskwy nie odwoływała się, rzecz jasna, do faktów, czyli wypełnienia przez Stalina zobowiązań sojuszniczych wobec Hitlera, ale weszła w utarte przez propagandę koleiny. Sowieci głosili, że nie dokonują agresji na Polskę, ale działają w celu ochrony ludności litewskiej, białoruskiej i ukraińskiej. Nie było w tej narracji miejsca na ukazanie istoty niemiecko-sowieckiego sojuszu czy przedstawienie mocarstwowych dążeń Moskwy do inkorporacji Litwy, Łotwy, Estonii, niemal połowy Polski i części Rumunii. Oczywiście pomijano zbrodnie wojenne na ludności z podbitych terytoriów, których symbolem stało się ludobójstwo w Katyniu z 1940 r. Nie wspominano też o procesie brutalnej sowietyzacji ludności na zawłaszczonych ziemiach i ich ekonomicznej eksploatacji czy grabieży bezcennych dóbr kultury.

Ten rozdział historii zamknęła agresja niemieckiej III Rzeszy na ZSRS w czerwcu 1941 r. Pozwoliła ona na ukucie nowej propagandowej tezy o „wielkiej wojnie ojczyźnianej”, która wtedy właśnie miała się zacząć. Moskwa usiłowała prezentować siebie jako niezawinioną ofiarę nazistowskich Niemiec.

Podbój 1944–1945

Po zerwaniu stosunków dyplomatycznych z Rządem RP na Uchodźstwie – w konsekwencji odkrycia dołów katyńskich – Sowieci w latach 1944–1945 ponownie zajmowali ziemie, które zaanektowali już wcześniej w 1939 r., a potem kolejne terytoria. I znów wykorzystali propagandowe kłamstwo o „wyzwoleniu”. Prezentowali się wówczas już wyłącznie jako uczestnik koalicji antyhitlerowskiej, pomijając swoją rolę w doprowadzeniu do wybuchu wojny i w jej pierwszej fazie. Zniewalali kolejne narody, narzucając im komunistyczny totalitaryzm.

W efekcie działań sowieckich z lat 1944–1945 Polska straciła niemal połowę swojego przedwojennego terytorium. Zyskała natomiast ziemie na zachodzie i północy kosztem pokonanej niemieckiej Rzeszy. Sowieci represjonowali żołnierzy Armii Krajowej – mającej status Wojska Polskiego – oraz działaczy legalnego, podporządkowanego konstytucyjnym władzom Polskiego Państwa Podziemnego. Pacyfikowali organizacje niepodległościowe, które kontynuowały walkę o wolny kraj. Do jesieni 1945 r. to właśnie Sowieci odgrywali kluczową rolę w rozbijaniu polskiej konspiracji. Ich ostatnią samodzielną akcją była pacyfikacja Puszczy Augustowskiej latem 1945 r. Później nadzorowali organizowany przez polskich komunistów aparat represji w Polsce pojałtańskiej.

Stracone pół wieku

Sowieckie zniewolenie sprawiło, że Polska przez kolejne 45 lat tkwiła w bloku komunistycznym. Państwo zostało pozbawione suwerenności, a jego obywatele – wolności. Komuniści rządzący „ludową” Polską z nadania Moskwy utrzymywali ją w systemie zależności od ZSRS. Przeorali strukturę społeczną, odsuwając na margines państwowotwórcze elity budujące II Rzeczpospolitą i bohaterów z okresu okupacji, naprędce zaś awansując przedstawicieli dotychczasowych nizin społecznych i lojalnych wobec siebie karierowiczów. Zerwali z tradycją wolnego państwa polskiego, a doktryna komunistyczna spowolniła lub uniemożliwiła rozwój gospodarczy i cywilizacyjny. Sowieckie zniewolenie przyniosło Polsce ogromne straty ludzkie i materialne, odciskając trwałe, negatywne piętno na naszych dziejach.

Tekst powstał we współpracy z IPN/43/0922/F

eprasa.pl 2b95f03724

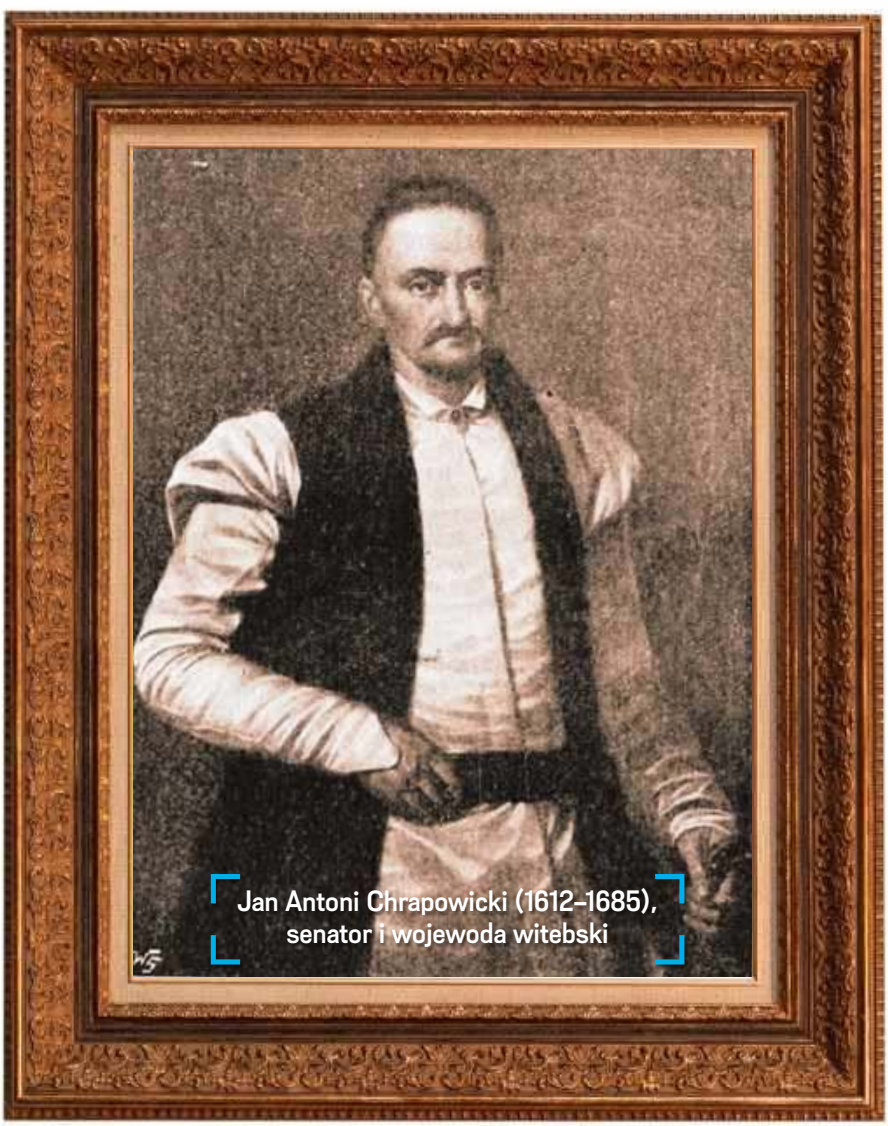
WOJEWODA JAN ANTONI CHRAPOWICKI I POTOMNI



JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

CHRAPOWICCY H. GOZDAWA, PODOBNIE JAK INNE ZNACZĄCE RODY WIELKIEGO KSIĘSTWA LITEWSKIEGO, WYWODZILI SIĘ Z KNIAZIOWSKICH I BOJARSKICH RODZIN MAJĄCYCH SWOJE SIEDZIBY NA GRANICY LITWY I RUSI KIJOWSKIEJ

Obszerne majątki ziemskie Chrapowickich leżały w pobliżu Witebska i okolic nad rzeką Dźwiną. Pierwsi notowani przodkowie nosili jeszcze imiona takie jak Iwan czy Fedor. Właśnie Fedor poślubił Helenę, córkę Seńka Daszkowicza, horodniczego witebskiego, bliskiego krewnego Sapiehów. Owa Helena była wcześniej zaręczona z Iwanem Wasylewiczem Sapiehą, a następnie z Michałem Tyszkiewiczem. Swemu mężowi, wspomnianemu Fedorowi, wniosła w posagu dobra Chrapowicze, od których powstało nazwisko Chrapowickich. Rodzinne dobra Fedora potwierdzał natomiast przywilej królewski Stefana Batorego z 1580 r. Pierwszym odnotowanym w tablicach genealogicznych pod nazwiskiem Chrapowicki właścicielem Chrapowicz był Jerzy, horodniczy witebski, kalwin, który zmarł w 1653 r. Natomiast wymieniony Iwan (Jan), też z czasem używający nazwiska Chrapowicki, był chorążym witebskim już w 1576 r. i właścicielem ziemi w Bucewiczach. Był dwukrotnie żonaty: z Anną Tarnowską, później z Heleną Hlebowiczówną, wojewodzianką trocką. Jeden z jego synów Krzysztof (zm. ok. 1655 r.), stolnik witebski, właściciel Podberezia, żonaty był z Heleną Wojnianką Jasieniecką, z którą miał siódemkę dzieci, zaś wśród nich do największych dostojeństw w Rzeczypospolitej i Wielkim Księstwie Litewskim doszedł Jan Antoni Chrapowicki (1612–1685), późniejszy senator i wojewoda witebski oraz autor opublikowanego drukiem „Diariusza”.



Jan Antoni Chrapowicki (1612–1685), senator i wojewoda witebski

eprasa.pl 2b95f03724



O jego rodzinnych koligacjach w panegiryku opisującym wjazd nowo mianowanego wojewody do Witebska wspomniał jezuita Walenty Białowicz, wymieniając takie nazwiska jak: Hlebowiczowie, kniaziowie Wiśniowieccy, Tyszkiewiczowie, kniaziowie Hołowczyńscy i Horscy, Rejowie. Innym z synów Iwana Chrapowickiego również z drugiej żony Hlebowiczówny był Eustachy Chrapowicki (młodszy brat Krzysztofa), który został właścicielem majątku Kochanowicze w województwie połockim. Kochanowicze jako posag parokrotnie przechodziły w ręce innych rodzin, ostatecznie jednak w rodzinie Chrapowickich pozostawały aż do I wojny światowej.

Miasteczko nad Berezówką

Dwór wraz z ziemią i miasteczkiem Kochanowicze nad Berezówką, dopływem rzeki Swołny, otrzymał Eustachy Chrapowicki, wojski połocki i mozyrski, jako posag małżonki Krystyny Łowejkówny, córki Andrzeja. Później jako posag Kochanowicze trafiły do rodziny Dusiackich-Rudomina, którzy odsprzedali majątek ponownie Chrapowickim. Kupił go Dominik Chrapowicki (1710–1739), starosta zomilski. Dwór w Kochanowiczach, który dotrwał do I wojny światowej, wzniósł prawdopodobnie wnuk Dominika, Eustachy Chrapowicki (1790–?), żonaty z Amelią Gorską z Góry h. Nałęcz. Niewykluczone jednak, iż budowla była znacznie starsza i posiadała fragmenty z XVIII w. Dwór był drewniany, ale na wysokiej, solidnej podmurówce mieszczącej wysokie sutereny, z których dawniej prowadziło główne wejście na górę do głównej sieni. Widoczny na fotografiach sprzed I wojny światowej, niezbyt architektonicznie udany ganek z balkonem podpartym czterema kolumnami dobudowany został dopiero w pierwszych latach XX w. I ten ganek został później przebudowany, przerobiono go u góry na łukowe arkady, zaś dolna część dawnych kolumn została zamurowana i podzielona ściankami, wzbogacając w ten sposób podjazdową elewację.

Strona ogrodowa posiadała dodane niewielkie skrzydła zamykające całość w kształcie litery „C". Wysunięty zaś ryzalit środkowy pozwalał na odczytanie formy budowli również w kształcie litery „E", stąd domniemania, iż całość formy budowli odpowiadała inicjałom imienia i nazwiska fundatora Eustachego Chrapowickiego. Zewnętrzne ściany dworu pozostawiono w naturalnym kolorze drewna, co mu dodawało wiele uroku, podkreślonego bujną, otaczającą całość roślinnością. Ciekawie prezentowały się też salony i gabinety dworu w Kochanowiczach, w których zwracały uwagę skomponowane z różnych gatunków drewna posadzki, bogate tapety, wysokie piece zdobione rzeźbionymi medalionami oraz liczne zabytkowe gobeliny. Ściany zdobił bogaty zbiór koreckiej porcelany, oprócz której dekorowały je też liczne obrazy, m.in. „Wjazd wojewody Jana Antoniego Chrapowickiego do Witebska" nieznanego malarza, datowany na 1761 r., i portret Amelii z Gorskich Chrapowickiej pędzla Franciszka Ksawerego Lampiego (1782–1852). W rodzinnym archiwum znajdował się rękopis wielotomowego i tylko częściowo wydanego drukiem „Diariusza" wspomnianego wojewody witebskiego. Przechowywane były kryształowy kałamarz i pióro jako pamiątki po Napoleonie, który ponoć miał tu nocować w rozstawionym w parku namiocie. Dwór w Kochanowiczach wraz z całym wyposażeniem został doszczętnie spalony w czasie rewolucyjnych wydarzeń 1918 r., a ta część polskich kresów po traktacie ryskim dostała się w ręce sowieckie.

Autor „Diariusza"

Henryk Sienkiewicz w „Panu Wołodyjowskim", ustami Zagłoby, tak mówił o Janie Antonim Chrapowickim: „Człek to zacny i realista, jeno nieco dobrowolny. Dla niego nie masz nad zgodę; tylko patrzy, gdzieby kogo z kim pogodzić, a to na nic... Pójdę i do Chrapowickiego, choć to ciepła woda, co ze szkodą jest, bo od niego, jako przyszłego marszałka szlachty, siła zależy".

Rzeczywiście Jan Antoni Chrapowicki (1612–1685) nie był typem wojownika, raczej okazał się bardzo wykształconym politykiem i działaczem sejmowym. Urodzony w majątku ojca Podberezie pod Witebskiem, ukończył sławne Kolegium Nowodworskiego w Krakowie, potem podjął służbę wojskową i brał udział w wojnie o Smoleńsk w 1633 r., za co został nagrodzony pokaźnymi posiadłościami na Smoleńszczyźnie. Wraz ze swoim krewnym Jerzym Hlebowiczem, kasztelanicem wileńskim, wyjechał potem na dalsze studia w Lejdzie, uczył się też w Akademii Amsterdamskiej, zwiedził Anglię, Belgię i Francję, podjął kolejne nauki na Sorbonie. Na dłużej zatrzymał się we Włoszech, w Padwie. W mieście tym obrany został konsyliarzem nacji polskiej i porzucił kalwinizm, przechodząc na katolicyzm.

W koronnym sejmie

Po powrocie do kraju Chrapowicki wielokrotnie wybierany był na posła, a polityczne doświadczenie zdobywał jako sekretarz skarbowy króla Władysława IV. Na kolejnych sejmach Jan Antoni aktywnie reprezentował województwo smoleńskie i uczestniczył w obradach sejmu koronacyjnego powołującego na tron Jana Kazimierza. Został kapitanem zamku w graniczącym z państwem moskiewskim Dorohobużu, co uczyniło go biegłym dyplomatą, specjalistą od spraw wschodnich i pozwoliło objąć godność komisarza sejmowego upoważnionego do rokowań z Moskwą. Po utracie przez Polskę na rzecz Moskwy Smoleńska Chrapowicki stracił też większość swoich posiadłości w Smoleńszczyźnie. Jan Antoni był dwukrotnie żonaty: z Beatą z Wierzbiętów, po śmierci której pozostał druk: „Pocieszenie dla okrytego bólem nad popiołami Beaty Wierzbięcianki Chrapowickiej Jana Chrapowickiego, chorążego smoleńskiego, żałosnego małżonka", oraz z Anną Wyleżyńską h. Trzaska. Zarówno z pierwszą, jak i z drugą małżonką miał liczne dzieci, które poszerzyły rodowe rozgałęzienia. »

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA; POLONA; SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2b95f03724


Młodzi Chrapowiccy, Terespol, 1927 r.

» Czasy najazdu szwedzkiego dzielił Chrapowicki jako sprytny dyplomata pomiędzy służbę dla Radziwiłłów, jak i dla ich przeciwników, Sapiehów. Po śmierci Janusza Radziwiłła o wsparcie Chrapowickiego w ratowaniu jego dóbr mocno zabiegał Bogusław Radziwiłł. Uzyskane z czasem godności, m.in. podkomorzego smoleńskiego, przyniosły mu klucz majątków Łabno w ziemi grodzieńskiej.

W latach po najeździe Szwedów i po przepędzeniu wojsk Chowańskiego Jan Antoni Chrapowicki cały czas był sejmowym posłem i aktywnym dyplomatą prowadzącym rozmowy z Moskwą. Na marszałka sejmu w 1665 r. jego kandydaturę wysunął król Jan Kazimierz. Spokrewniony z Wiśniowieckimi otrzymał później Chrapowicki od króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego nominację na wojewodę witebskiego i związane z tym materialne korzyści. Synowie jego z pierwszego małżeństwa, żeniąc się – Krzysztof z Billewiczówną, zaś Jan z Marianną Denhoffówną, córką Jana, kasztelana witebskiego – wzmocnili więzi rodu na Litwie. Za króla Jan III Sobieskiego wojewoda na wyprawę wiedeńską już nie wyruszył, wysłał natomiast swojego syna Stefana, walczącego w chorągwi Kazimierza Sapiehy. Jan Antoni Chrapowicki zmarł w swoim dworze w Łukiszkach pod Witebskiem 3 listopada 1685 r.


Adam Chrapowicki (1820–1873)

Linie rodu Chrapowickich

Rozgałęzienie rodu Chrapowickich dokonało się w pokoleniu Krzysztofa Chrapowickiego, ojca wojewody, i jego braci. Wtedy też za przyczyną Jerzego można mówić o linii rosyjskiej Chrapowickich. Jerzy pozostał w Smoleńsku, stał się carskim poddanym i przeszedł na prawosławie. Z czasem ta rosyjska gałąź Chrapowickich za zasługi dla dworu carskiego otrzymała tytuł grafów i tak też tytułowali się Chrapowiccy, którzy po bolszewickiej rewolucji uciekli do Niemiec i tam dziś jeszcze mieszkają ich potomkowie.

Najmłodszy z braci Krzysztofa Chrapowickiego, wspomniany już Eustachy Jan (zm. ok. 1639 r.), był dziadem Dominika (1700–1739), nabywcy majątku Kochanowicze. Z kolei jego syn Eustachy Józef, instygator litewski (najwyższy prokurator, 1730–1791), kawaler Orderu św. Stanisława, starosta starodubski, żeniąc się z Teresą Niemirowicz-Szczytt h. Jastrzębiec, stał się właścicielem ziemskich posiadłości Datnów i okolicznych dworów pod Kiejdanami w ziemi kowieńskiej. Syn zaś Eustachego Józefa, też Józef Chrapowicki (1750–1812), odznaczony orderem Orła Białego, był dwukrotnie żonaty. Pierwszą jego małżonką była Magdalena ks. Ogińska h. Oginiec, drugą Anna z książąt Radziwiłłów z Nieświeża h. Trąby, a jego syn z pierwszego małżeństwa Antoni, żonaty z Eweliną Światopełk-Mirską, poszerzył obszar własnych ziem o położone na przedpolach Datnowa posiadłości zwane później Akademią. Chrapowiccy urządzili tu wspaniałą rezydencję, w której bywał car Aleksander I. Założyli także znaną fabrykę mebli artystycznych. Jednak już za udział Adama Chrapowickiego (1820–1873) w powstaniu styczniowym pałac pod Datnowem wraz z ziemią i fabryką został skonfiskowany przez władze carskie i przekazany w ręce rosyjskie. Nowy właściciel Piotr Stołypin, późniejszy minister i premier rządu w Rosji, założył tu szkołę rolniczą, przekształconą za niepodległej Litwy w Akademię Rolniczą. Stąd nadano miejscowości nazwę Akademia, ogarniającą całość majątku wraz z dawnymi pałacami Chrapowickich i budynkami uczelni.

Czas I wojny światowej

Po carskich konfiskatach w tej gałęzi Chrapowickich pozostały już tylko wniesiony w posagu przez Teresę Niemirowicz-Szczytt w XVIII w. dwór oraz ok. 4 tys. hektarów ziemi w Terespolu, nazwanym tak od imienia Niemirowiczówny i położonym kilkanaście kilometrów na północ od utraconego Datnowa oraz związanych z nim pozostałych majątków. W Terespolu, który był niegdyś tylko folwarkiem większych dóbr, istniał niewielki drewniany dworek, który Antoni Chrapowicki (1869–1929) postanowił połączyć z budowaną w 1905 r. kilkupiętrową, luksusową willą zaprojektowaną w stylu secesyjnym. Antoni Chrapowicki po ekonomicznych studiach w Rydze i Petersburgu otworzył w Kiejdanach Bank Rolny, mający też swój duży oddział w Petersburgu, ożenił się w tym czasie z Heleną z Glinka Janczewskich h. Dołęga z Blinstrubiszek. Po wybuchu I wojny światowej na rozkaz władz carskich o ewakuacji Terespola cała rodzina Chrapowickich wraz z inwentarzem żywym i martwym opuściła miasto. Rewolucję rosyjską Chrapowiccy i ich dzieci – Adam (1908–1981), Zofia

FOT. ZE ZBIORÓW AUTORA

eprasa.pl 2b95f03724

(1909–1992) oraz Włodzimierz (1913-1941) – przeżyli w Petersburgu, po czym, oczywiście bez zrabowanego inwentarza, zamiast do Terespola, udali się do Warszawy. Litwa bowiem, przygotowując się do samodzielności i reformy rolnej, niechętnie widziała wracających do swoich majątków Polaków. W Warszawie Antoni Chrapowicki przejęty troską o losy tysięcy dzieci, które w czasie wojny straciły rodziny, został jednym z dyrektorów Polsko-Amerykańskiego Komitetu Pomocy Dzieciom, co pozwoliło mu na częste wyjazdy na Litwę i starania o odzyskanie majątku w Terespolu. Kiedy to wreszcie nastąpiło, zaniedbane, dawniej wysokiej klasy ziemie terespolskie trzeba było poważnie rekultywować. Dla Chrapowickich uczynił to specjalnie sprowadzony wraz z rodziną z Danii inżynier rolnik Chrystian Trane. Pierwsze lata w Terespolu mieszkał sam Antoni, jego małżonka Helena pozostała w Warszawie, gdzie dzieci kończyły szkoły: Adam maturę zdawał w gimnazjum im. Jana Zamoyskiego, zaś Zofia w prywatnej tzw. szkole Platerek, najmłodszy Włodzimierz kończył nauki już w Kownie. Po reformie rolnej na Litwie z 1922 r. obszar majątków ziemskich w Terespolu został ograniczony do 320 hektarów ziemi ornej, łąk, trochę lasów oraz kilku dzierżaw.

W terespolskiej willi

Dawny drewniany dwór w Terespolu otaczał dość chaotyczny ogród, który za czasów Antoniego Chrapowickiego został przekomponowany w piękne 19-hektarowe założenie parkowe. Autorem układu, który nawet za sowieckiej Litwy uznany został za chroniony pomnik przyrody, był sprowadzony z Rygi znany architekt krajobrazu Georg Kuphaldt. Widniejąca na elewacji obszernej budowli w Terespolu data 1909 potwierdza, iż właśnie wtedy ukończono tę secesyjną, wyposażoną we wszystkie techniczne nowości, takie jak elektryczność, telefony, luksusowe łazienki, wreszcie gospodarcze windy, willę, którą niesłusznie nazywano pałacem. W starym dworku urządzono piękną salę balową, zaś w parku korty tenisowe, wodne tarasy i liczne altany.

Kiedy w 2010 r. ostatni raz odwiedzałem Terespol, w willi mieszkały rodziny pracowników zlikwidowanego kołchozu i mieszczącego się tam instytutu rolniczego, zaś sam budynek pozbawiony secesyjnych elementów wyglądał jak wielka, zaniedbana i podupadająca rudera. Do środka podzielonego na mieszkaniowe klitki nie pozwolono mi wejść, słusznie twierdząc, iż to prywatne mieszkania. Po altankach, wodospadach i kortach tenisowych nie było już śladu. Natomiast w parkowej bramie tkwił głaz z tablicą informującą, iż zginęło tu kilkunastu sowieckich bojców.

Chrapowiccy dzisiaj

Po śmierci Antoniego i Heleny Chrapowickich już dochodowym majątkiem zaczęło zarządzać młodsze pokolenie. Najstarszy syn Antoniego Adam Chrapowicki (1907-1981) ukończył polityczne studia na paryskiej Sorbonie oraz bankowość w Belgii, znał biegle pięć języków i po powrocie na Litwę działał w imieniu polskiej dyplomacji, także tajnego wywiadu. Córka Zofia (1909–1992), po niedokończonych studiach w Paryżu i pobycie w Anglii, wyszła za mąż za Szymona Kossakowskiego i zamieszkała w Marciniszkach, najstarszym dworze rodu Kossakowskich na Litwie. Najmłodszy syn Antoniego – Włodzimierz (1912–1942) – rolnik, zajmował się majątkiem w Terespolu. II wojna światowa dramatycznie zakończyła ziemiańskie wieki rodziny Chrapowickich. Włodzimierz aresztowany w 1941 r. przez NKWD zginął w sowieckich łagrach, Adam, ukrywając się i przed Niemcami, i przed bolszewikami, działał w AK, na fałszywych papierach odnalazł się wraz z poślubioną w 1940 r. żoną Moniką z Paszkiewiczów w Polsce. Zofia z Chrapowickich Kossakowska po żołnierskiej śmierci męża Szymona, kaprala AK, zastrzelonego w 1944 r. przez Sowietów w akcji „Ostra Brama", wraz z czteroletnim synem Jarosławem (autorem artykułu), też z fałszywymi dokumentami, dotarła w 1945 r. do Polski.

Dziś terespolską gałąź Chrapowickich reprezentują dzieci Adama: mieszkająca na stałe w Paryżu córka Renata (1941) oraz syn Lech Antoni (1946), światowej renomy polski architekt, pracujący i mieszkający w Paryżu oraz na Martynice (Karaiby). Z kolei córka Renaty Beatrice (1968) jest znanym francuskim adwokatem i po poślubieniu Jeana Christopha Baury ma syna Antoniego Baury (2001). Natomiast syn Lecha Antoniego Adam Chrapowicki (1975), też znany paryski architekt, ożenił się z Weroniką Uzdowską, również architektką, i ma dwoje dzieci: Konstancję (2006) i Stanisława (2008), oboje przyjęli chrzest św. w Polsce, w kościele pw. św. Anny w Wilanowie. Z drugiego małżeństwa Lecha Antoniego Chrapowickiego z artystką malarką Annie Jocelyne Pothin, znaną pod artystycznym pseudonimem Mezz Zapharelli, urodziła się w 1990 r. córka Lea Chrapowicky, która przyjęła chrzest św. w kościele misji polskiej w Paryżu pw. Notre-Dame-de l'Assomption. Obecnie



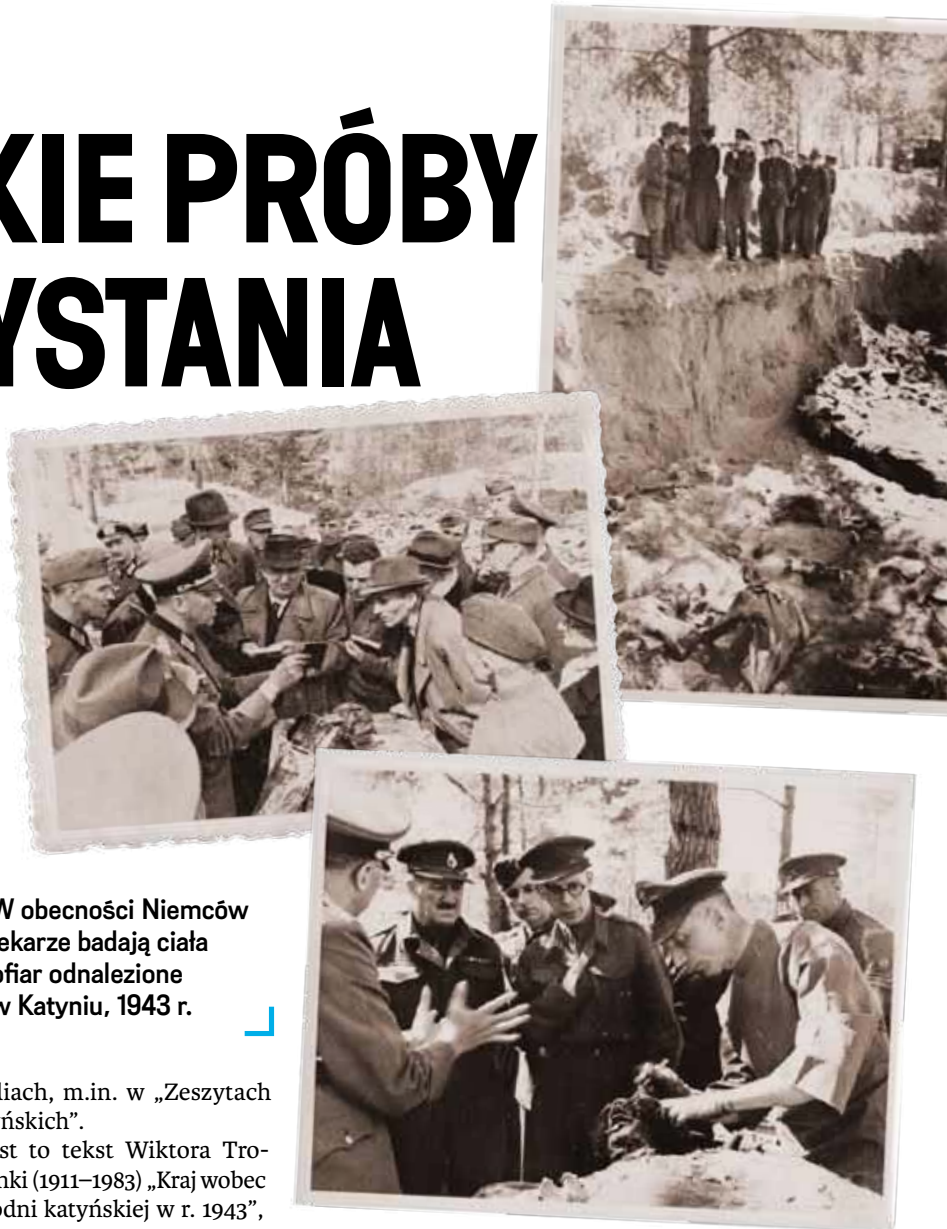
Przepustka Antoniego i Heleny Chrapowickich, 1918 r.

Lea Chrapowicky po ukończeniu studiów na wydziale architektury wnętrz jest dobrze zapowiadającym się projektantem wystroju wnętrz dla kilku światowych korporacji. Żyjące we Francji pokolenie Chrapowickich nigdy nie zerwało bliskich kontaktów z Polską i często gości w Warszawie.

eprasa.pl 2b95f03724

NIEMIECKIE PRÓBY WYKORZYSTANIA KATYNIA

SKUTKIEM NIEMIECKIEJ AKCJI PROPAGANDOWEJ Z 1943 r. BYŁO JEDYNIE TO, ŻE KATYŃ UŚWIADOMIŁ CZYNNIKOM KIERUJĄCYM POLSKĄ „PRAWDZIWY STOSUNEK ROSJI WOBEC NARODU POLSKIEGO". STOSUNEK DO NIEMIEC SIĘ NIE ZMIENIŁ



W obecności Niemców lekarze badają ciała ofiar odnalezione w Katyniu, 1943 r.

FOT. IPN



PIOTR ŁYSAKOWSKI

Lata temu przemyciłem do Polski znalezione w Londynie (w Instytucie Generała Sikorskiego) dokumenty związane ze zbrodnią katyńską. Był to pakiet informacji dotyczący niemieckiej propagandy katyńskiej, skierowany na ręce ministra spraw wewnętrznych rządu RP w Londynie Władysława Banaczyka (1902–1980), opracowany przez służby wywiadowcze Armii Krajowej i trafnie oceniający sytuację w kraju po odkryciu zbrodni przez Niemców w kwietniu 1943 r. Teraz zupełnie przypadkowo natrafiłem na pewnego rodzaju glossę do wspomnianych wyżej dokumentów, opublikowanych razem z tekstem o recepcji zbrodni w Kozich Górach w niemieckich mediach, m.in. w „Zeszytach katyńskich".

Jest to tekst Wiktora Trościanki (1911–1983) „Kraj wobec zbrodni katyńskiej w r. 1943", napisany i opublikowany w maju 1950 r., a więc 10 lat po mordzie w Kozich Górach. Autor twierdzi, że Polacy natychmiast po ujawnieniu pierwszych sygnałów o mordzie wydali nieomylny werdykt „Równie nienawistni... byli oprawcy niemieccy, jak i ponura pamięć NKWD, które uciekając w popłochu z polskich ziem wschodnich, zdążyło w ostatnich jeszcze godzinach przed ucieczką wymordować w bestialski sposób tysiące uwięzionych Polaków". Społeczeństwo polskie funkcjonujące w ramach Państwa Podziemnego miało obiektywne narzędzia weryfikowania prawdy o rosyjskich potwornościach. Był to aparat wywiadowczy struktur PPP, polska diaspora na terenach ZSRS i „[...] niemiecka »dobra wola« w pokazywaniu [...] grobów katyńskich i wmieszania się specjalistów delegowanych przez Polskę Podziemną do ekip robotniczych". W określonej sytuacji geopolitycznej dla większości polskiego społeczeństwa było jasne i nie budziło jakiejkolwiek wątpliwości, że mord katyński był „[...] dziełem sowieckim [...]. Polacy na skutek tragedii pierwszych lat wojny stali się naprawdę biegłymi w rozpoznawaniu metod eksterminacji. Zbrodnię sowiecką od niemieckiej można było odróżnić tak, jak w medycynie sądowej odróżnia się morderstwa patologiczne od pozostałych. [...] Jeśli Niemców z ich obłędną hitlerowską teorią rasizmu można w rozwoju myśli ludzkiej traktować jak zjawisko patologiczne – niebezpieczny, zbiorowy obłęd – to komunizm z jego »naukową analizą« atakowanych społeczeństw należy traktować jako coś świadomie antyludzkiego. W morderstwie tysięcy oficerów jeńców jest właśnie widoczny ten świadomie antyludzki czynnik zniszczenia. I to było jasne dla wszystkich, którzy [...] zetknęli się z rzeczywistością sowiecką w latach 1939–41".

eprasa.pl 2b95f03724



Niemiecka propaganda

Odkrycie zbrodni, jakkolwiek wstrząsające, nie było dla kraju zaskoczeniem, nie było bowiem szczególnych złudzeń co do sowieckich zamiarów wobec Polski. Błędna była jedynie ocena stosunku mocarstw zachodnich do kwestii polskiej, w tym do mordu katyńskiego. Liczono na to, że element moralny będzie decydujący przy podejmowaniu ostatecznych decyzji w odniesieniu do przyszłości Polski – czas pokazał jak głęboko naiwne były te rachuby.

Autor analizowanego tekstu twierdzi, że „Wiadomości podawane przez niemiecką prasę gadzinową i przez megafony na ulicach i placach w Polsce – nie zbierały tłumów [...]. Każdy szukał odpowiedzi i informacji ze strony czynnika polskiego". Rzeczywiście, początkowo do niemieckiej propagandy katyńskiej podchodzono ze sporą rezerwą, jednakże z upływem czasu i w miarę potwierdzania się potwornych wiadomości z Kozich Gór przyjmowano warstwę informacyjną serwowaną przez niemiecką propagandę za wiarygodną, nie przyjmując niemieckich inspiracji i interpretacji. Wspomina o tym w jednej ze swoich prac Janusz Zawodny: „Byłem w Warszawie, kiedy ogłoszono wiadomość o odkryciu grobów. W Polsce wierzono powszechnie, że jest to mistyfikacja, robota Goebbelsa i próba wbicia klina między aliantów. Ale wkrótce w gazecie wydawanej przez Niemców zostały opublikowane zdjęcia i pierwsza lista z nazwiskami zamordowanych, a członkowie polskiej delegacji, która wróciła z Katynia, potwierdzili prawdziwość niemieckich komunikatów. Sprawa Katynia [...] nie wstrzymywała egzekucji i łapanek przeprowadzanych codziennie [...]. Patologiczna nienawiść Niemców do Polaków pochodzenia żydowskiego zaowocowała masakrą równie okrutną jak katyńska. 19 kwietnia Niemcy przystąpili do likwidowania warszawskiego getta. [...] Polacy nie chwycili niemieckiej przynęty, nie podjęli współpracy z okupantem".

Dwu równych wrogów

Faktem pozostawało jedno – Katyń uświadomił czynnikom kierującym Polską „prawdziwy stosunek Rosji wobec narodu polskiego". Zdano sobie sprawę z tego, że podstawowym narzędziem polityki komunistycznej jest podstęp. I o ile wcześniej sowiecka agentura w Polsce „maskowała się rzekomo jednolitą, patriotyczną postawą polską, usiłowała legitymować się walką o niepodległość", o tyle po odkryciu katyńskim dość szybko zmieniono taktykę, w efekcie czego stworzono „wokół PPR nowy konkurencyjny ośrodek, zrywający z państwem polskim, reprezentowanym przez rząd na wygnaniu i przez władze Polski Podziemnej. Od tego czasu wzmaga się również prowokacja komunistyczna czy to w działaniu przeciw [władzom] niemieckim dla wywołania represji [...] czy to współdziałanie z Gestapo przez dostarczanie Niemcom list Polaków z ruchu konspiracyjnego. Na ziemiach wschodnich rozpoczyna się w tym czasie akcja na skalę masową: sowiecki terror wsi i miasteczek, przymusowy pobór do partyzantki sowieckiej, mordowanie »obszarników« przez bandy dowodzone przez oficerów armii czerwonej. Polityka sowiecka – zniszczenia narodu polskiego i jego niezależności europejskiej spotkała się tu ze wschodnią nienawiścią i żądzą zemsty za ujawnienie jednej z najbardziej ponurych zbrodni wojennych w dziejach naszej cywilizacji – Katynia".

Niebezpieczeństwo stawało się coraz wyraźne i namacalne. W tym samym czasie ZSRS był przedstawiany w zachodnich mediach jako glorious Ally i wyraźnie było widać, że „dla utrzymania Rosji w obozie sprzymierzonych świat zachodni przemilczy każdą zbrodnię popełnioną przez komunizm". Mimo to Polacy nie podjęli i nie zaakceptowali niemieckiej propagandy katyńskiej usiłującej wbić klin między aliantów. We wspomnianym wyżej dokumencie złożonym na ręce ministra Banaczyka pisano, zimno oceniając sytuację w kraju: „W Polsce Niemcom nie udało się nic, absolutnie nic. Nie dała Quislinga, nie dała żołnierza, nie dała robotnika, nie dała sfolgowania akcji podziemnej [...]. Upowszechniła natomiast w społeczeństwie poczucie własnego interesu politycznego, zaktywizowała to społeczeństwo, które dostrzegło trudną rolę swojego Rządu [...] Z próby politycznej początków 1943 r. Naród Polski wbrew intencjom Goebbelsa wychodzi z podsumowanym bilansem: Katyń i Oświęcim – jednacy wrogowie".

„Dwaj katowie"

Według Trościanki Niemcy dość szybko pojęli, że propagandowa hucpa, jaką urządzili w Kozich Górach, spaliła na panewce. Reakcja na to była charakterystyczna i typowa zarazem: zwiększenie terroru. „Zbrodnia więc katyńska [...] pociągnęła za sobą następne, zarówno po stronie sowieckiej, jak i niemieckiej. Ukoronowaniem i ostatecznym upustem masowej żądzy zabijania było powstanie warszawskie, nad którym pochyliły się twarze czerwone i twarze brunatne". Całość kończy się wierszem opublikowanym w konspiracji w 1943 r. we Lwowie w zbiorze „Wierne płomienie". W omawianym tekście wiersz jest przedstawiony jako anonimowy, w rzeczywistości zaś jego autorką była Jadwiga Gamska-Łempicka.

Kończąc zacytujmy fragmenty tego utworu:

W dalekiej stronie, w lesie zielonym
smoleńskim
Otwarła ziemia usta milczące, ziemie
rozdarła serce –
Słuchajcie nieba, morza i lądy
Bije godzina, nadchodzą sądy, ostatnia
dziejów wznosi się karta,
Rola umarłych na sąd otwarta...
W dalekiej stronie, w lesie zielonym
smoleńskim
Ziemia zadrżała, ziemia wydała, ziemia
truchleje i jęczy.
I stanęli oko w oko przeciw sobie
Dwaj zbrodniarze przy otwartym grobie
Wydobyli biedne truchła z trupich
gniazd,
Policzyli, odmierzyli: dziesięć warstw.
Otworzyła czarna ziemia nieme usta.
I pobledli dwaj katowie jako chusty.
Krzyczą w czarne, trupie oczy,
w grobów dna:
– Nie ja! – Nie ja! – Nie ja!
W dalekiej stronie, w lesie zielonym
smoleńskim
Polskie mogiły, polskie mundury, polskie
krzyże na nieżywych piersiach.
[...]
W dalekiej stronie, w lesie zielonym
smoleńskim
Na losów wagę mordercy kładą polskie
szlify oficerskie
[...]
Matko dla naszych zabitych chłopców –
Język twój prawy i treść prawdziwa.
Tych co umarli odrodzisz żywa.
Mów, ziemio śmierci! Bóg ciebie wzywa!
W dalekiej stronie, w lesie zielonym
smoleńskim
Leżą w czarnej ziemi zdradzeni polscy
jeńcy.

eprasa.pl 2b95f03724

PIĘKNA WYSPA W CIENIU SMOKA



ELŻBIETA BRZOZOWSKA

PIĘKNA WYSPA – ILHA FORMOSA – CZYLI TAJWAN, JEST OBECNIE BODAJ NAJGORĘTSZĄ WYSPĄ NA ŚWIECIE I BYNAJMNIEJ NIE CHODZI TU O ZALETY KLIMATU, ALE O TEMPERATURĘ RELACJI MIĘDZYNARODOWYCH

Dramaty i napięcia wydają się wpisane w losy tego niewielkiego państwa – samodzielne funkcjonowanie Republiki Chińskiej na Tajwanie to wszak pokłosie wygranej przez komunistów Mao Zedonga wojny domowej w Chinach i proklamowania przez niego 1 października 1949 r. Chińskiej Republiki Ludowej. Do tych katastrofalnych dla samych Chińczyków i reszty świata wydarzeń być może by nie doszło, gdyby nie krótkowzroczność Zachodu. Warto więc przypomnieć, jak się rzeczy miały.

Kiedy Cesarstwo Wielkiej Japonii kapitulowało, Republika Chińska była w iście opłakanym stanie: Mandżuria pod okupacją sowiecką, Kolej Wschodniochińska i bazy morskie w Port Artur i Dalianie przekazane w kolonialną sowiecką dzierżawę, a cała reszta potężnie zniszczona. Wszystko to przedstawiało nie lada wyzwanie dla prezydenta Czang Kaj-szeka, zwłaszcza że w kierunku owych kontrolowanych przez Sowietów stref przemieszczali się komuniści Mao Zedonga, odmawiając wykonywania rozkazów rządu. Jak mawia chińskie przysłowie,– nie ma miejsca dla dwóch smoków w jednej wiosce – wojna domowa była zatem przesądzona.

Amerykanie zdawali sobie sprawę z napięć, ale chyba nie z nieuchronności konfliktu, więc parli do rokowań, które miały zapobiec wznowieniu bratobójczych walk i które faktycznie zaczęły się 28 sierpnia 1945 r. Brał w nich udział sam Mao Zedong (oraz światowo wypadający na jego tle Zhou Enlai), ale nie zbliżyło to rywali do porozumienia o włos. Sił Kuomintangu nie dopuszczano do Mandżurii (jedynego naprawdę uprzemysłowionego regionu kraju), a odgrywający nader ważną rolę Sowieci nie byli stroną rokowań, zaś komunikacja z nimi przypominała rozmowę ze ścianą. W tej sytuacji amerykański ambasador w Chinach Patrick J. Hurley w listopadzie 1945 r. demonstracyjnie



FOT. EAST NEWS

Mao Zedong przemawiający na masowym wiecu w Yan'an, około 1944 r.

eprasa.pl 2b95f03724

złożył urząd, wypowiadając znamienne i prorocze słowa: „Niepodległość Chin, dla której walczyliśmy, nie została jeszcze osiągnięta. Dopóki tak się nie stanie, nasze zwycięstwo nie będzie rzeczywiste". 10 stycznia 1946 r. ogłoszono triumfalnie zawieszenie broni w Chinach.

Absolutnie nie zahamowało to masowego napływu oddziałów Mao do Mandżurii, gdzie Sowieci otworzyli dla nich kilkanaście ośrodków szkoleniowych, przekazywali setki samolotów i czołgów, tysiące dział, granatników i moździerzy, flotyllę rzeki Sungari i setki tysięcy karabinów – słowem masę uzbrojenia przejętego po Japończykach oraz 2 tys. wyładowanych bronią wagonów, które przybyły z okupowanej przez Sowietów północnej części Korei, gdzie skupiał się japoński przemysł zbrojeniowy. Prócz uzbrojenia przekazano też „materiał ludzki" – tysiące jeńców japońskich (w tym 8 tys. personelu medycznego) wcielono przymusowo do oddziałów Mao, a 500 tys. wspierało je niewolniczą pracą w obozach (wszystko to zostało skrupulatnie wypomniane towarzyszom chińskim po tym, jak drogi Moskwy i Pekinu rozeszły się ostatecznie).

Dyplomacja naiwna i ślepa

W takich to warunkach musiały sobie radzić oddziały Kuomintangu. Co więcej, ich walka nie byłaby bez szans, gdyby nie amerykański mediator gen. George Marshall, który jak mało kto uosabiał naiwność w obliczu „komunistycznej obłudy" (określenie Czang Kaj-szeka). Kiedy bowiem po wycofaniu się z Mandżurii trzonu armii sowieckiej wkraczające tam oddziały rządowe napotkały zaciekły opór świeżo dozbrojonych komunistów, mimo ciężkich walk mogły – dzięki zaprawionym w bojach weteranom i doświadczonym dowódcom jak gen. Du Yuming – zmiażdżyć rebelię. Tę jedyną taką okazję przekreślił telegram oburzonego gen. Marshalla, który 31 maja 1946 r. zażądał od prezydenta Czang Kaj-szeka „natychmiastowego wydania rozkazu wstrzymującego natarcie, ataki lub pościgi dokonywane przez wojska rządowe". Trudno chyba wyobrazić sobie rozgoryczenie, jakie musiał czuć adresat telegramu. Autorzy biografii „Mao", Jung Chang i Jon Halliday, nie pozostawiają wątpliwości: „Dyktat Marshalla był zapewne najważniejszą decyzją, która wpłynęła na wynik wojny domowej. Czerwoni, którzy pamiętali ten okres, od Lin Biao do weteranów armii, prywatnie



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Czang Kaj-szek, ok. 1943 r.

przyznawali, że rozejm był fatalnym błędem Chianga. Gdyby kontynuował atak, udałoby mu się co najmniej uniemożliwić czerwonym założenie dużej i bezpiecznej bazy przy sowieckiej granicy, z liniami kolejowymi do Rosji, które umożliwiały sprowadzanie ciężkiej broni".

Jakby tego było mało, w sierpniu 1946 r. zapadła decyzja USA o nałożeniu embarga na sprzedaż broni i amunicji do Chin. Komunistom to oczywiście nie zaszkodziło w najmniejszej mierze. Mediacje poniosły ostateczną klęskę, komuniści ogłosili powszechną mobilizację, a Zhou Enlai opuścił Komitet Trzech. Co ciekawe, nie zmieniło to nastawienia gen. Marshalla, który aż do wyjazdu w styczniu 1947 r. sondował szanse zawarcia porozumienia z komunistami. Tymczasem w zrujnowanym kraju, przy szalejącej inflacji i nałożonych przez USA sankcjach, Kuomintang wyznaczył wybory na listopad 1947 r., licząc, że do tego czasu jakimś cudem zdławi komunistyczny opór – choć wydawał na cele wojskowe ok. 70 proc. budżetu, szanse na to były niewielkie. Po wyborach powszechnych (posłów z regionów ogarniętych walkami po prostu mianowano) 18 kwietnia 1948 r. parlament ogłosił Czang Kaj-szeka demokratycznie wyłonionym prezydentem. Miesiąc wcześniej gen. Marshall – w owym czasie już sekretarz stanu – na konferencji prasowej oznajmił, że Stany Zjednoczone zmienią politykę wobec Chin dopiero wtedy, gdy rząd dopuści do współrządzenia komunistów. Dla obserwatorów śledzących wcielanie w Europie doktryny powstrzymywania komunizmu musiało to być niepojęte i szokujące doświadczenie.

Odwrót na wyspy

Tymczasem problemy Kuomintangu narastały, a wydarzenia przyspieszyły – w listopadzie 1948 r. skapitulowały Mukden i cała Mandżuria, w styczniu 1949 r. Czang Kaj-szek złożył dymisję. I tak przy obojętności gros ludności komuniści zmiażdżyli Chiny Narodowe (i to nie działaniami partyzanckimi, jak często się to przedstawia, ale regularną wojną prowadzoną przy użyciu ciężkiego sprzętu).

Można zaryzykować stwierdzenie, że chińska wojna domowa była największą amerykańską porażką dyplomatyczną XX w. W jej efekcie władzę nad chińskim kolosem przejęli komuniści z Mao Zedongiem na czele, a Azja stała się tym kontynentem, na którym zimnowojenne starcia przybierały postać gorących i wykrwawiających konfliktów.

W rozmiarach nadciągającej katastrofy Stany Zjednoczone zorientowały się dopiero, gdy upadł stołeczny Nankin, a oddziały Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej przekroczyły rzekę Jangcy. Departament Stanu wydał wtedy białą księgę, w której stwierdzono, że „złowieszczy wynik wojny domowej leżał poza kontrolą rządu Stanów Zjednoczonych".

1 października 1949 r. Mao Zedong proklamuje w Pekinie powstanie Chińskiej Republiki Ludowej, 10 grudnia Czang Kaj-szek odlatuje na Tajwan, gdzie wcześniej ewakuuje 300 tys. najlepszych wojsk, 2 mln uchodźców, flotę, lotnictwo i zapasy złota. Honorowo stwierdza: „Biorę na siebie całkowitą winę za utratę kontynentu w walce przeciwko komunistom". Zaczyna się nowy etap – Republika Chińska jest ograniczona do wyspy Tajwan, archipelagu Peskadorów, Kinmen oraz Mazu i leży w cieniu wrogiego kolosa, który rości sobie prawo do jej terenów.

Wolta Amerykanów

W ciągu pierwszych lat Republiki Chińskiej na Tajwanie stale oczekiwano ataku ze strony ChRL, jednak wojna w Korei pomieszała geopolityczne puzzle »

eprasa.pl 2b95f03724

» i administracja Trumana zaczęła widzieć interes w osłanianiu wyspy. Pouczającą lekcję o stosunku do podzielonego kraju dali sami chińscy jeńcy pojmani w Korei przez wojska ONZ – spośród 20 tys., którym dano prawo wyboru, gdzie mają być odesłani, 14 350 wybrało Tajwan (smutną resztę po powrocie do Chin ludowych czekały obozy). Wiedza o tym, jak wygląda komunistyczny raj, była też żywa na Tajwanie, dlatego ataki na wyspy Kinmen i Mazu w latach 1955–1958 były heroicznie odpierane przez tajwańskich żołnierzy świadomych, o co walczą.

Podczas gdy ludność ChRL marła milionami wskutek szaleńczych pomysłów Wielkiego Sternika, Tajwan rozwijał się gospodarczo w zawrotnym tempie. Choć na płaszczyźnie politycznej utrzymywano stan wyjątkowy i rządy autorytarne, produkcja szybowała. Brian Crozier podaje, że jeśli przyjąć, iż produkcja z 1952 r. równa się 100, to w 1974 r. wynosiła ona 783 dla sektora państwowego i 3950 dla prywatnego – i to mimo znacznych obciążeń wydatkami na obronność i utrzymywaniem 600 tys. ludzi pod bronią.

Tymczasem polityka Henry'ego Kissingera zapowiadała kolejne gorzkie doświadczenia dla Tajwanu. Kiedy świat obiegła zapowiedź wizyty prezydenta Nixona w Pekinie, rozmaitym entuzjastycznym eksklamacjom w typie Edgara Snowa odpowiedziało gorzkie zdanie wypowiedziane 15 czerwca 1971 r. przez Czang Kaj-szeka przed krajową Radą Bezpieczeństwa: „Jesteśmy ostatnimi na świecie ludźmi, którzy wciąż wierzą w antykomunizm, ale jest nam to obojętne". Trudno za to było przyjąć z obojętnością domino, które ruszyło po nawiązaniu stosunków między Waszyngtonem i Pekinem. 25 października 1971 r. ONZ wycofało uznanie dla Republiki Chińskiej i przekazało jej miejsce w Radzie Bezpieczeństwa ONZ Chińskiej Republice Ludowej. George Bush, wówczas ambasador USA przy ONZ, zanotował w autobiografii, że odczuwał tego dnia „nie tylko gorycz, ale i niesmak wobec sceny, która się przed nami rozgrywała. Jedno z państw, które się przyczyniło do powstania Organizacji Narodów Zjednoczonych – Republika Chińska – zostało wykluczone ze wspólnoty międzynarodowej i teraz Zgromadzenie Ogólne święciło to wydarzenie. Jeżeli był to »Parlament Ludzkości i Federacji Światowej«, to nasz świat popadł w gorsze tarapaty, niż myślałem".

Na razie tylko straszą...

Po kilku latach (w styczniu 1979 r.) USA zlikwidowały swoją placówkę dyplomatyczną w Tajpej i nawiązały pełne stosunki dyplomatyczne z ChRL. Pod wpływem nacisków Pekinu podobnie postąpiło wiele rządów. W efekcie dziś stosunki dyplomatyczne z Republiką Chińską utrzymuje zaledwie 14 państw (Belize, Eswatini, Gwatemala, Haiti, Honduras, Nauru, Palau, Paragwaj, Saint Kitts i Nevis, Saint Lucia, Saint Vincent i Grenadyny, Tuvalu, Watykan oraz Wyspy Marshalla).

Czy odbiera to coś niezależności Tajwanu? Absolutnie nie. Czy utrudnia mu funkcjonowanie na arenie międzynarodowej? Bez wątpienia tak. Czy Tajwańczycy śledzą uważnie reakcje świata na agresję Rosji na Ukrainę? Zdecydowanie tak, tym bardziej że Chińska Republika Ludowa właśnie wydała pierwszą od 22 lat białą księgę poświęconą „Kwestii Tajwanu i zjednoczenia Chin w nowej erze" (Nowa era to przywództwo Xi Jinpinga, pozostałe dwie – z 1993 i 2000 r. opublikowano bowiem za rządów Jiang Zemina). Jak to w Chinach, nawet data nie jest przypadkowa – 22.08.2022 to obfitość symbolizujących wspólnotę dwójek i ósemka mająca zwiastować pomyślny rozwój, dużo ciekawsza jest jednak treść dokumentu. Cóż tu znajdujemy? Na wstępie oskarżenia pod adresem rządzącej na Tajwanie nieugięcie niepodległościowej Demokratycznej Partii Postępu o „zdwajanie wysiłków w celu podzielenia kraju". Zapowiedzi „gotowości stworzenia rozległej przestrzeni dla pokojowego zjednoczenia" towarzyszy twarde ostrzeżenie: „Nie pozostawimy miejsca na jakąkolwiek formę działalności separatystycznej". Przywódcy DPP mogą zatem liczyć na kontakt z chińskim wymiarem sprawiedliwości ludowej. Samo zjednoczenie ma się dokonać środkami pokojowymi, jednak i tu władze ChRL podkreślają (i to dwukrotnie), że „nie odrzucają użycia siły i przyznają sobie prawo podjęcia wszelkich niezbędnych środków" w drodze do tegoż celu. Ostrze tej zapowiedzi jest wymierzone w próbujące się mieszać „zewnętrzne siły i elementy separatystyczne". W żadnym razie nie w „chińskich braci na Tajwanie", chyba że... patrz punkt o separatystach.

A jak będzie się żyło Tajwańczykom po zjednoczeniu? Wspaniale. Będzie jak w Hongkongu, gdzie „praktyka zasady »jeden kraj, dwa systemy« odniósł spektakularny sukces", a po okresie „niepokojów wywołanych przez antychińskich podżegaczy z i z poza regionu [...] przywrócono porządek i dobrobyt" [pisownia oryginalna]. I tu drobny acz znaczący szczegół – pominięcie: o ile w poprzednich dokumentach Pekin deklarował, że po chwalebnym zjednoczeniu „nie wyśle na Tajwan oddziałów ani personelu administracyjnego", w najnowszej białej księdze niczego takiego nie znajdziemy. W duchu szczerości. Szczerość zresztą jest, widać, nową wartością chińskiej dyplomacji, gdyż ambasador ChRL we Francji, ku konfuzji swoich rozmówców, w dwóch wywiadach zapowiedział niedawno, że po zjednoczeniu Pekin będzie musiał „zreedukować" Tajwańczyków, gdyż tamtejsze władze „skutecznie zindoktrynowały i zatruły" ludność swoją antychińską polityką, więc „trzeba ją zreedukować, by wyeliminować separatystyczne myślenie i secesjonistyczne teorie". Można w tym nieledwie usłyszeć hasło 留島不留人 – „zatrzymać wyspę, ale nie ludność".

Jeśli tak przedstawia się scenariusz, który władze ChRL ogłaszają publicznie, jak wyglądają plany kreślone w zaciszu pekińskich gabinetów? I czy mając te zapowiedzi czarno na białym, świat będzie mądrzejszy niż w czasach, gdy chińscy komuniści walczyli o władzę?



Mao Zedong proklamuje powstanie Chińskiej Republiki Ludowej, 1 października 1949 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA



eprasa.pl 2b95f03724

CZY JEST MOŻLIWE, ŻE W ODLEGŁYM, ZAMKNIĘTYM, POŁOŻNYM DALEKO ZA KRĘGIEM POLARNYM MIEŚCIE PRZYPADKOWO WYRZUCONY NIEDOPAŁEK PAPIEROSA DOPROWADZIŁ DO NAJWIĘKSZEJ W HISTORII ŚWIATA KATASTROFY? CZY TO NIEDBALSTWO OCALIŁO ŚWIAT PRZED III WOJNĄ ŚWIATOWĄ? A MOŻE DOSZŁO DO BOSKIEJ INTERWENCJI?



Eksplozja w składzie amunicji radzieckiej Floty Północnej na obrzeżach Siewieromorska (Murmańska), 1984 r.

KATASTROFA W SIEWIEROMORSKU



MAREK SKALSKI

W październiku 1982 r. odszedł z tego świata Leonid Iljicz Breżniew, który twardą ręką rządził Związkiem Sowieckim przez blisko dwie dekady. Jego następcą został Jurij Andropow. Zasłużony aparatczyk wiele lat cierpliwie wspinał się po szczeblach sowieckiej biurokratycznej machiny. Zanim zajął gabinet sekretarza generalnego KPZR na moskiewskim Kremlu, pełnił funkcję szefa KGB, wszechwładnej tajnej policji i choćby z racji tej pozycji wiedział dużo więcej niż przeciętny działacz partii komunistycznej w ZSRS.

Przez dziesiątki lat Rosjan i obywateli innych narodowości wchodzących w skład Sowietów karmiono legendami o militarnej i ekonomicznej potędze ich socjalistycznej ojczyzny. Według tych opowieści miało być oczywiste, że wkrótce cały świat dobrowolnie odda się pod opiekę Wielkiego Brata, a światowy komunizm zapewni pokój i dobrobyt ludzkości we wszystkich zakamarkach ziemskiego globu.

Faktem jest jednak, że Jurij Andropow miał na bieżąco dostęp do tajnych raportów KGB i GRU, dlatego nie był skłonny wierzyć w te bajeczki. Jeszcze w latach 70. XX w. poziom życia społeczeństw w krajach demokratycznych w porównaniu z warunkami bytowania obywateli ZSRS i państw satelickich zaczął bardzo szybko rosnąć i u progu lat 80. nikt już nie mógł mieć wątpliwości, gdzie żyje się łatwiej i dostatniej.

W dodatku jesienią 1980 r. władzę w Białym Domu objął energiczny polityk republikański, były hollywoodzki aktor Ronald Reagan. Nowy lokator White House wiedział, że czas działa na jego korzyść i luka technologiczna między ZSRS i USA będzie stale się poszerzać. Dlatego Reagan zdecydował się na przyspieszenie wyścigu zbrojeń, ogłosił Moskwę stolicą imperium zła i odpalił program „Gwiezdne Wojny". Znękany i ledwo dychający wschodni kolos nie mógł wytrzymać morderczego tempa wyścigu zbrojeniowego i prędzej czy później musiałby upaść pod naporem inwestycyjnego wysiłku.

Dlatego Andropow w maju 1981 r. przekonał Breżniewa do uruchomienia specjalnego programu RyAN, tzw. Rakietowego Ataku Nuklearnego – doktryny, która faktycznie stawiała armie wchodzące w skład Paktu Warszawskiego w stan permanentnej gotowości bojowej.

Andropow był dobrym strategiem i doskonale wiedział, że jako przywódca atomowego mocarstwa musi coś zrobić, bo inaczej jego dni jako władcy Kremla będą policzone. W dodatku osobista tragedia wpłynęła na przyspieszenie decyzji. Wiosną 1983 r. lekarze poinformowali go, że choruje na raka wątroby. Syn syberyjskiego handlarza diamentami zmarł jeszcze w tym samym roku w trakcie gorączkowych przygotowań do globalnego starcia.

FOT. DOMENA PUBLICZNA (3X)

eprasa.pl 2b95f03724

„Zamknięte miasto"

ZATO, czyli Zakrytyje administratiwno-teritorialne obrazowania, to tzw. zamknięte miasta. Były to ośrodki zbrojeniowe, tajne laboratoria naukowe pracujące dla armii czy militarne ośrodki, na terenie których przechowywano choćby broń masowego rażenia. Ich mieszkańcy – choć poziom życia był tam zwykle wyższy niż przeciętnie w Bolszewii – byli praktycznie odcięci od świata zewnętrznego. Bez specjalnej przepustki nie mogli wyjeżdżać, nikogo też nie mogli przyjąć.


Jurij Andropow

Jednym z takich miast był Siewieromorsk – położona na Półwyspie Kolskim nad Morzem Barentsa nieopodal Murmańska tajna baza morska Floty Północnej. W basenach portowych Siewieromorska cumowały m.in. okręty podwodne wyposażone w rakiety balistyczne, których głowice uzbrojone były w ładunki nuklearne. Nieopodal na wybrzeżu znajdowały się gigantyczne składy amunicji: torped, min czy w końcu nowoczesnych rakiet ziemia-powietrze. Wszystko to sprawiało, że w latach 80. XX w. Siewieromorsk był potężną fortecą i znakomitym punktem wypadowym do ataku na siły wroga.

Trzeba pamiętać, że w ewentualnym konflikcie z USA i siłami NATO rola Floty Północnej byłaby kluczowa. Po planowanym ataku konwencjonalnym na państwa Europy Zachodniej z pewnością na odsiecz ruszyłaby flota desantowa z portów amerykańskich, której rolą i celem byłaby pomoc zaatakowanym demokracjom Zachodu. Na północnym Atlantyku musiałoby dojść do potężnego boju, który zadecydowałby o losach naszego kontynentu na kolejne dziesięciolecia. Łodzie podwodne, które wypłynęłyby z portu w Siewieromorsku, raziłyby rakietami balistycznymi cele w USA i Kanadzie. Wiosną 1984 r. Andropow wprawdzie już nie żył, ale jego równie niedołężny następca nie zmieniał planów wyznaczonych przez poprzednika.

Piekło w Zatoce Kolskiej

Pomiędzy 13 i 18 maja 1984 r. wydarzyło się jednak coś, co sprawiło, że w jednej chwili plany te stały się nieaktualne. O tym, co się tak naprawdę stało, wiemy wciąż bardzo niewiele. Władze Związku Sowieckiego, a potem Rosji do dziś nie odtajniły szczegółów śledztwa. Jednak bliskość położenia granicy z Norwegią i Finlandią sprawiła, że Sowieci nie zdołali ukryć prawdy.

13 maja w porcie doszło do gigantycznej detonacji, nad miastem rozbłysnął ogromny grzyb z dymu i ognia, przypominający efekt odpalenia ładunku nuklearnego. W następnych godzinach niebo nad polarnym miastem rozdzierały co i rusz potężne eksplozje – to wybuchały kolejne torpedy zgromadzone w magazynach portowych. Wkrótce straszliwy, niemożliwy do opanowania pożar objął część okrętów wojennych. W ostatniej chwili okręty podwodne uzbrojone w nuklearne głowice zdołały opuścić redę portową i wyjść w morze.

Mieszkańców miasta ogarnęła panika. Z późniejszych relacji wynika, że ludzie byli przekonani, iż nastąpił atak atomowy, i przerażeni uciekali z zamkniętego miasta. Na podstawie danych zebranych z satelitarnych relacji przebywających w rejonie zdarzenia podróżnych, a także innych źródeł, wynika, że w serii potężnych eksplozji zniszczone zostały ogromne ilości amunicji składowanej w głównym magazynie sowieckiej Floty Północnej. Według doniesień w katastrofie zginęło ok. 300 osób, głównie marynarzy i strażaków, którzy usiłowali opanować pożar. Poziom strat zniszczonych w eksplozjach pocisków i amunicji był tak wysoki, że przez następne pół roku sowiecka flota nie liczyła się jako realna siła bojowa. Eksplozje miały miejsce przez kilka kolejnych dni, aż do 17 maja.


Leonid Breżniew

Straszliwy bilans zniszczenia

Według ostrożnych, szacunkowych danych w trakcie zdarzenia zostało zniszczonych 580 z 900 znajdujących się w posiadaniu floty rakiet ziemia-powietrze SA-N-1 i SA-N-3 oraz prawie 320 z 400 zdolnych do przenoszenia ładunków nuklearnych pocisków SS-N-3 i SS-N-12. Flota Północna praktycznie przestała istnieć i choć Sowieci uczynili wiele, by ją przywrócić do zdolności bojowej, to w praktyce nigdy już nie osiągnęła pełnej gotowości. Niecały rok później władzę na Kremlu objął człowiek z innego pokolenia, 53-letni Michaił Gorbaczow, który skierował ZSRS na ścieżki pieriestrojki. Nikt wtedy nie myślał o wojnie. Straszliwa wizja nuklearnej katastrofy, która przez kilka lat wisiała nad światem, rozpłynęła się we mgle, jak dymy po siewieromorskich pożarach.

Co jednak było prawdziwą przyczyną tej katastrofy? Tego być może nie dowiemy się nigdy. Akta śledztwa Rosjan pozostają utajnione. Można się tylko domyślać, co tak straszliwego stało się 13 maja 1984 r., jeśli do dziś władcy Kremla nie chcą uchylić choćby rąbka tajemnicy. Cytowane przez amerykańską NASA sowieckie źródła podawały, że przyczyną eksplozji miało być oświetlenie składów wiązką promieni radaru pozahoryzontalnego (tzw. OTH). Jednak być może przyczyna była bardziej prozaiczna – do katastrofy doszło przez zaprószenie ognia od nieostrożnie wyrzuconego niedopałka papierosa przez jednego z robotników portowych.

Objawienia fatimskie

I choć mało kto zdawał sobie z tego sprawę, to po 13 maja 1984 r. mieszkańcy świata mogli oddychać z ulgą. Widmo nuklearnej zagłady, która jeszcze dzień wcześniej była całkowicie realna, nagle się rozpłynęło. Ale czy ta data była przypadkowa? Wiele osób twierdzi, że nie...

13 maja 1917 r. trójka dzieci z malutkiej wioski Fatima była świadkiem objawień maryjnych. W następnych dniach zdarzenia się powtarzały. Wiele lat później papież Jan Paweł II, zdając sobie sprawę z sytuacji międzynarodowej na świecie, postanowił dokonać zawierzenia całej Rosji Niepokalanemu Sercu Maryi, zgodnie z jej życzeniem wyrażonym w 1917 r. w Fatimie. Po raz pierwszy dokonał tego w 1982 r., ale – jak poinformowała go siostra Łucja Dos Santos, fatimska wizjonerka – zawierzenie to nie zostało zaakceptowane przez Niebo, gdyż nie dochowano formy, jakiej życzyła sobie Maryja. W święto Zwiastowania Maryi, 25 marca 1984 r., Jan Paweł II dokonał ponownie zawierzenia Rosji, ściśle trzymając się wytycznych wskazanych w objawieniach fatimskich. I to zawierzenie, jak stwierdziła siostra Łucja, zostało przyjęte. A więc czy ten akt ocalił ludzkość od atomowej zagłady?

eprasa.pl 2b95f03724

ZGINĄŁ, BO NIE PODEPTAŁ RÓŻAŃCA



4 LIPCA 1942 r. W NIEMIECKIM OBOZIE KONCENTRACYJNYM AUSCHWITZ-BIRKENAU ZOSTAŁ ZAMORDOWANY BŁOGOSŁAWIONY KS. JÓZEF KOWALSKI, SALEZJANIN POCHODZĄCY SPOD RZESZOWA

FOT. ZE ZBIORÓW AUTORA



JAROMIR KWIATKOWSKI

Rankiem 4 lipca stojący przy bloku nr 2 zbiornik z fekaliami był wyjątkowo ciężki. Do jego dźwigania kapo Hans Lugen (zniemczony Polak Błażejewski) wyznaczył aż czterech więźniów. Po pewnym czasie wyróżniający się okrucieństwem kapo Józef Mitas zaczepił znajomego ks. Józefa Kowalskiego – Stefana Boratyńskiego. Wskazał mu unurzane w fekaliach ciało, leżące nieopodal bloku karnej kompanii: – Gnojku, twój przyjaciel jest załatwiony. Załatwiliśmy go z rapportführerem Palitzschem. Boratyński stwierdził, że są to zwłoki i numer obozowy ks. Józefa.

Zanim jednak do tego doszło, w ostatni dzień maja 1942 r. do Auschwitz dotarła wiadomość, że 60 kapłanów – wśród nich ks. Józef Kowalski – zostanie przetransportowanych do Dachau, gdzie – jak sądzono – są większe możliwości przetrwania.

Podepcz to!

2 czerwca plany te zostały przekreślone, przynajmniej w odniesieniu do ks. Józefa. – Stoimy nadzy w łaźni obozowej – wspominał współwięzień, ks. Konrad Szweda. – Przychodzi oficer raportowy – Palitzsch. Pada komenda „baczność". Dowódca raportowy przechodzi obok więźniów. Widzi, że ks. Józef Kowalski trzyma coś w zaciśniętej garści. „Co masz w ręku?" – pyta Palitzsch. Ks. Kowalski milczy. Dowódca uderza silnie w jego rękę, na ziemię wypada różaniec. „Podepcz to!" – krzyczy rozwścieczony oficer. Ks. Kowalski tego nie czyni. Dowódca Palitzsch, zrażony stanowczą postawą ks. Kowalskiego, wyciąga go z naszego transportu. Zrobiło to na nas głębokie wrażenie. Wiedzieliśmy, że za różaniec czeka go karna kompania i surowe kary.

Ks. Józef zapewne miał świadomość, że odmową wykonania rozkazu Gerharda Palitzscha, jednego z najbardziej okrutnych esesmanów w Auschwitz, podpisuje na siebie wyrok śmierci i że może być kolejną ofiarą krwawego oświęcimskiego kata. Ks. Zygmunt Ruszczak starał się pocieszać współbrata, że z tym wycofaniem go z transportu do Dachau to pewnie jakieś nieporozumienie. Ks. Józef odpowiedział: – Zygmuś, ja wiem, że pójdę stąd tam! – i wskazał na niebo.

Nie został zamordowany od razu. Perfidia oprawców polegała na tym, że przenieśli ks. Józefa do karnej kompanii, która mieściła się wtedy w bloku nr 2 w Brzezince (Birkenau), by tym łatwiej znęcać się nad nim i go poniżać. Nie brakowało tam esesmanów i kapo – sadystów bijących oraz mordujących głodnych i wycieńczonych więźniów. Polscy

eprasa.pl 2b95f03724

więźniowie zostali m.in. zmuszeni do kopania rowu odwadniającego, zwanego „królewskim".

Po ucieczce ok. 50 więźniów oprawcy zemścili się na Polakach – rozstrzelali tych, których udało się złapać, następnego dnia kolejnych 20, a ok. 320, wśród których był ks. Kowalski, skierowali do komory gazowej. Z nieznanych powodów kilku więźniów, wśród nich ks. Józef, zostało wycofanych z kolumny idącej już na zagazowanie.

Modlitwa na beczce

Ks. Józef Kowalski, choć chwilowo ocalił życie, był najbardziej dręczonym więźniem karnej kompanii. Kapo, którzy wiedzieli, że jest księdzem, przy każdej okazji znęcali się nad nim. 3 lipca 1942 r. podczas kopania rowu prześcigali się w okrucieństwie wobec kapłana, nie dając mu spokoju nawet podczas przerwy obiadowej. Dla rozrywki zrzucili go z nasypu na dno głębokiego, bagnistego dołu. Po chwili wyciągnęli go, od stóp do głowy ubrudzonego cuchnącym szlamem. Przy akompaniamencie szyderstw zapędzili ks. Kowalskiego kijami do beczki.

Kapo Sepp drwił: – Duszyczki ci uciekają, wskakuj czym prędzej na beczkę, by udzielić owieczkom ostatniego błogosławieństwa na drogę do nieba. Bez twojego drogowskazu i bez twojej przepustki ich nie przyjmą.

Ks. Kowalski wspiął się na beczkę, uklęknął i powoli, spokojnym głosem odmawiał „Ojcze nasz", „Zdrowaś Maryjo", „Pod Twoją obronę" i „Witaj Królowo".

– Takiej modlitwy świat jeszcze nie słyszał! Tak nie modlono się nawet w katakumbach – wyszeptał Tadeusz Kokesz, młody student z Jasła [zostanie rozstrzelany 25 czerwca 1943 r. – przyp. J.K.], przycupnąwszy obok Józefa Kreta.

Po modlitwie kapo Langenhagen zepchnął kapłana z beczki, bił i kopał, a w końcu odesłał do więźniów rozpoczynających pracę po przerwie obiadowej.

Józef Kret, który podczas powrotu na obozowy blok szedł w jednej piątce z ks. Kowalskim, niepokoił się o zdrowie kapłana; ujął jego dłoń, spytał, jak się czuje. – Jestem spokojny – powtórzył kilka razy ks. Józef. Nagle uderzył się w pierś: – Jestem spokojny, a poza tym jestem silny i nieprędko mnie złamią.

Zbity i zmaltretowany, chociaż duchowo się nie załamał, musiał być fizycznie bardzo osłabiony, skoro – jak opowiadał współwięzień Bolesław Marusa – po powrocie do obozu zapisał się do lekarza.

Ostatnia porcja chleba

Ostatnie godziny życia, po wieczornym apelu, ks. Kowalski spędził na jednej pryczy z Zygmuntem Kolankowskim, historykiem prawa, późniejszym profesorem, organizatorem Archiwum Polskiej Akademii Nauk w Warszawie i jego wieloletnim dyrektorem (zmarłym w 1998 r.). Najpierw modlił się na pryczy sam, a potem powiedział do współtowarzysza: – Klęknij i módl się ze mną za tych, którzy nas prześladują.

Ponurą ciszę panującą w baraku przerwało wejście Józefa Mitasa. Więźniowie struchleli, wiedzieli bowiem, że przychodzi po to, by zabrać tych, dla których nie będzie już powrotu. Wyczekiwanie trwało długo. Nagle Mitas zatrzymał się przed pryczą, na której ks. Kowalski, jak zwykle, odmawiał różaniec. Nie zapytał go o nazwisko, tylko rzekł: – Proszę wstać i iść za mną!

– Oddał mi chleb, który otrzymał przy kolacji, i powiedział: „Zygmuś, weź ten chleb, mnie już nie będzie potrzebny" – wspominał po latach Kolankowski. – Zjadłem go natychmiast, tak byłem głodny. Schodząc zaś z pryczy, bo spaliśmy na górnej kondygnacji, powiedział głośno do wszystkich: „Módlcie się za mnie i za moich prześladowców". Już go więcej nie widzieliśmy.

Oprawcy Gerhard Palitzsch i Józef Mitas najpierw katowali swoją ofiarę. Następnie w okrutny sposób utopili w dużej beczce z fekaliami, stojącej pod daszkiem opartym o ścianę bloku nr 2. To wszystko stało się w nocy z 3 na 4 lipca 1942 r. Odnalezione 4 lipca rano ciało kapłana męczennika zostało spalone w krematorium.

W chwili śmierci ks. Józef Kowalski miał zaledwie 31 lat.

Płacz i modlitwa

Według relacji przebywającego akurat w Siedliskach, rodzinnej wsi ks. Kowalskiego, kleryka Józefa Hołyńskiego, młodszego kolegi przyszłego Błogosławionego, listonosz przyniósł rodzicom zamordowanego kapłana urzędowy telegram o śmierci syna 19 lipca 1942 r. ok. godz. 15.00. Na jego widok matka, Zofia Kowalska, zapytała, co dobrego przynosi. – Ano, nic dobrego, nic dobrego, bo przynoszę wam smutny telegram powiadamiający was, że ks. Józef nie żyje – poinformował listonosz. Po tych słowach mamie kapłana zrobiło się słabo i dopiero po zażyciu kropli uspokajających przyszła do siebie.

Potwierdziła to Maria Tłuczek, siostrzenica Błogosławionego: – Dom dziadków był zaraz przy drodze, listonosz podał nawet telegram przez okno. Babcia, kiedy go przeczytała, zaczęła strasznie płakać, a później położyła się krzyżem na ziemi i też płakała. A kiedy wypłakała pierwszy żal, zwołała wszystkich i zaczęli się modlić.

Inna siostrzenica Błogosławionego, nieżyjąca już Zofia Kołwa, wspominała w 1999 r., niedługo przed beatyfikacją wujka: – Kiedy wiadomość o telegramie dotarła do naszego domu w Budziwoju, mama, szlochając, natychmiast poszła do Siedlisk. Pamiętam, jak biegłam za nią z butelką kropli nasercowych, które dał mi tato. W miarę, jak zbliżałyśmy się do domu dziadków, słyszałyśmy coraz wyraźniej jęk rozpaczy babki i ciotki Stanisławy, krewnych i sąsiadów. Ta ogromna boleść stopniowo przeszła w żarliwą i gorącą modlitwę w intencji zamordowanego.

20 lipca 1942 r. proboszcz parafii w Lubeni, ks. Franciszek Łuszczki, odprawił mszę św. za duszę kapłana męczennika.

13 czerwca 1999 r. papież Jan Paweł II beatyfikował w Warszawie kapłana z Siedlisk w gronie 108 polskich męczenników II wojny światowej.

Autor artykułu jest autorem książki: „Miał być i jest świętym. Błogosławiony ksiądz Józef Kowalski (1911–1942)"



eprasa.pl 2b95f03724

Chciał być świętym

Józef Kowalski przyszedł na świat 13 marca 1911 r. w Siedliskach k. Rzeszowa, w rodzinie chłopskiej, jako siódme z dziewięciorga dzieci Wojciecha Kowalskiego i Zofii z Borowców. Dzieci państwa Kowalskich były chorowite, aż piątka umarła w niemowlęctwie. Józuś (tak o nim mówiono w domu) również był wątły i drobny. Jak sam odnotował w swoich zapiskach, przez pierwsze dwa lata „długo, ciężko i beznadziejnie" chorował. Zdrowie zawdzięczał Matce Bożej z cudownego obrazu czczonego w sanktuarium w odległym od Siedlisk o kilkanaście kilometrów Borku Starym. Jej to ofiarowali „na pół żywego, na pół umarłego" syna rodzice. Ich radość z powodu uzdrowienia dziecka nie trwała długo. Wkrótce bowiem okazało się, że Józuś ma wadę wymowy spowodowaną przyrośnięciem języka do dolnej szczęki. Do jej usunięcia potrzebna była interwencja chirurga. Zakończoną pomyślnie operację przeprowadził lekarz w pobliskim Tyczynie.



Jednym z „kamieni milowych" na drodze życiowej ks. Józefa, które uzdolniły go do późniejszego przyjęcia męczeństwa, była atmosfera domu rodzinnego. Decydujący wpływ na wychowanie chłopca mieli rodzice, a zwłaszcza matka, kobieta prosta, mądra i pobożna. Nieżyjąca już Zofia Kołwa, siostrzenica Błogosławionego, w 1999 r. na łamach „Niedzieli Południowej" tak wspominała atmosferę panującą u Kowalskich: „Dom dziadków, w którym wychowywał się bł. ks. Józef Kowalski, wyróżniał się wielkością i wewnętrznym wystrojem ze wspaniałymi, świętymi obrazami na ścianach. Promieniował czystością, spokojem, pracą i modlitwą. Jako dziecku dawał mi poczucie bezpieczeństwa. Wszędzie panował wzorowy porządek. Dziadkowie byli przykładnymi gospodarzami i życzliwymi ludźmi. Z perspektywy lat moją babkę wspominam wyjątkowo. Umiała czytać i pisać, co nie było tak powszechne w latach 30. Zajmowała się prowadzeniem domu otwartego na potrzeby ludzkie. Służyła wszystkim potrzebującym pomocą materialną, dobrym słowem, a przede wszystkim gorącą modlitwą".

Józuś skończył cztery klasy Szkoły Ludowej w Siedliskach, po czym rodzice – za radą krewnego z rodziny matki, kleryka Jana Domino, salezjanina – w 1922 r. posłali go do gimnazjum klasycznego przy Zakładzie Salezjańskim im. Św. Jana Bosko w Oświęcimiu. 11-letni chłopiec był tam najmniejszy i najmłodszy. Początki w tej szkole nie należały do łatwych. Jak wspominała inna siostrzenica, Maria Tłuczek: „W szkole w Oświęcimiu siedział i płakał pod murem, bo nie miał mleka, a mleko bardzo lubił". Późniejsza, wykraczająca ponad wiek dojrzałość Józefa Kowalskiego w moim przekonaniu miała źródło właśnie w okresie nauki w oświęcimskim gimnazjum, gdzie przyszły Błogosławiony przeszedł tzw. szkołę przyspieszonego dojrzewania. Ta szkoła zdeterminowała również jego drogę życiową – w 1927 r. młody Józef wstąpił do salezjańskiego nowicjatu w Czerwińsku nad Wisłą. Później wrócił tam jeszcze w latach 1931–1933 na tzw. asystencję, czyli praktykę pedagogiczno-wychowawczą, którą musiał odbyć każdy salezjański kleryk (tablicę upamiętniającą lata spędzone przez Józefa Kowalskiego w Czerwińsku odsłonił 3 lipca br. prof. Jan Żaryn).

Od najmłodszych lat Józef marzył o świętości. Jak wspominała Maria Tłuczek, „jako dziecko kładł na krześle czy taborecie jakiś dywanik, ubierał się w babcinią zapaskę i tak »odprawiał« msze". Jako 19-letni kleryk na zakończenie rekolekcji zapisał w notesie, będącym jego duchowym dzienniczkiem, tekst modlitwy zawierającej zdanie – program życiowy: „Ja mam być i muszę być świętym". Na odwrocie tej samej kartki własną krwią wykonał znak krzyża, a pod nim umieścił napis: „Cierpieć i być wzgardzonym". Jak pokaże przyszłość, udało mu się zrealizować oba pragnienia: i cierpienia, i świętości.

29 maja 1938 r. otrzymał święcenia kapłańskie w Krakowie. Pracował jako sekretarz krakowskiego księdza inspektora (prowincjała), pomagał też w pobliskiej salezjańskiej parafii na Dębnikach (wtedy zapewne zetknął się z młodziutkim Karolem Wojtyłą, który mieszkał na terenie tej parafii). Został aresztowany wraz ze współbraćmi 23 maja 1941 r. A 26 czerwca został przewieziony do obozu koncentracyjnego Auschwitz.

W postawie ks. Józefa najbardziej porusza mnie jego żelazna konsekwencja w dążeniu do świętości. „Wykuwał" tę osobistą świętość codziennym, mozolnym wysiłkiem w pracy nad sobą. A kiedy przyszedł czas obozowej próby, potwierdził ją nie tylko męczeńską śmiercią. Obóz zagłady stał się dla niego miejscem dawania świadectwa wiary i ofiarnej posługi duszpasterskiej. Współwięźniowie podkreślali jego pełną uśmiechu dobroć i gotowość służenia tym, z którymi dzielił obozowy los. Stał się dla nich przyjacielem, niósł wsparcie i pocieszenie. Wykazał się także wielką odwagą. Z narażeniem życia potajemnie odprawiał msze św. i przewodniczył modlitwom. Spowiadał współwięźniów, roznosił komunię św. po obozowych blokach. Jestem przekonany, że Towarzystwo Salezjańskie wydało wielkiego świętego, którego życie warto bliżej poznać.

FOT. ZE ZBIORÓW AUTORA

asa.pl 2b95f03724

TRZECIA POŁOWA

PIŁKARSKIE STADIONY BYŁY WIELOKROTNIE MIEJSCEM POLITYCZNYCH MANIFESTACJI. NIE INACZEJ DZIAŁO SIĘ RÓWNIEŻ W PRL. NAJGŁOŚNIEJSZYM TEGO RODZAJU PRZYPADKIEM BYŁO Z PEWNOŚCIĄ SPOTKANIE LECHII GDAŃSK Z JUVENTUSEM TURYN POD KONIEC WRZEŚNIA 1983 r.



GRZEGORZ MAJCHRZAK

Biuro Badań Historycznych IPN

Lechia Gdańsk była w okresie PRL klubem wyjątkowym. Jej kibice często angażowali się w działania o charakterze opozycyjnym. Wynikało to z faktu, że wielu działaczy opozycyjnych Trójmiasta (zwłaszcza Ruchu Młodej Polski czy Wolnych Związków Zawodowych, a później m.in. Federacji Młodzieży Walczącej) było jej fanami. Nic zatem dziwnego, że jej mecze – czy to rozgrywane u siebie, czy też na wyjazdach – wielokrotnie stawały się okazją do okazywania poglądów politycznych. »

FOT. WOJTEK LASKI/EAST NEWS



Lech Wałęsa na trybunach podczas meczu pomiędzy Lechią Gdańsk a Juventusem Turyn, 28 września 1983 r., Gdańsk

» Już w 1971 r. w Poznaniu, podczas meczu z Lechem o awans do II ligi (odpowiednika dzisiejszej I ligi), gdańszczanie manifestowali swój antykomunizm. Nie inaczej było w kolejnych latach, w tym po wprowadzeniu stanu wojennego.

W czerwcu 1983 r. gdański klub, który grał wówczas na zapleczu I ligi, niespodziewanie wywalczył Puchar Polski, pokonując m.in. takich ówczesnych potentatów, jak Widzew Łódź czy Śląsk Wrocław. Triumf ten oznaczał, że Lechia zagra w europejskich rozgrywkach, a konkretnie w Pucharze Zdobywców Pucharów (dzisiaj triumfator Pucharu Polski, o ile oczywiście uda mu się przebrnąć kilkustopniowe eliminacje, gra w Lidze Europy lub Lidze Konfederacji). Los sprawił, że gdański klub wylosował jednego z najsilniejszych możliwych rywali, czyli Juventus Turyn (m.in. w sezonie 1982/1983 finalistę Pucharu Mistrzów, w którym grało pięciu mistrzów świata z 1982 r., a także dwaj świetni stranieri – Francuz Michel Platini i Zbigniew Boniek). Była to więc rywalizacja Dawida z Goliatem, przy czym ten pierwszy był – tym razem – bez szans. Sprawę awansu przesądziło już pierwsze spotkanie, rozegrane we Włoszech, które Juventus wysoko wygrał – 7 : 0. W tej sytuacji rewanż w Polsce był już formalnością. Tak na marginesie na mecz do Turynu władze PRL wypuściły jedynie 80 osób, z których – według danych Służby Bezpieczeństwa – do kraju wróciła (mimo ostrej selekcji) zaledwie połowa... Trudno się jednak temu dziwić w atmosferze beznadziei czasu stanu wojennego.

Podsłuchiwanie Wałęsy

Tymczasem komuniści – w ramach walki z Solidarnością – postanowili uderzyć w jej niekwestionowanego przywódcę Lecha Wałęsę. Wykorzystano w tym celu tzw. rozmowę braci. Została ona nagrana we wrześniu 1982 r., w trakcie internowania Wałęsy w Arłamowie. Wówczas to przyjechał do niego brat Stanisław, który pod pretekstem urodzin przewodniczącego związku zamierzał nagrać z nim krótki wywiad. Bracia przy alkoholu (wódce zmieszanej z szampanem) świętowali urodziny Lecha i prowadzili dyskusję o życiu. Została ona potajemnie nagrana przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa i po poddaniu „obróbce" w Biurze Studiów MSW (elitarnej jednostce MSW utworzonej w stanie wojennym do zwalczania Solidarności), a następnie w studiach Telewizji Polskiej, wyemitowana (w TVP i Polskim Radio) w dniu 27 września 1983 r., pod tytułem „Pieniądze". Wcześniej – co najmniej dwukrotnie – kolportowano „stenogram" rozmowy, stopniowo rozszerzając krąg jego odbiorców. Cel tej operacji był oczywisty – kompromitacja Lecha Wałęsy. Rzeczywiście wypowiedzi przewodniczącego Solidarności o Kościele, hierarchii kościelnej czy pieniądzach mogły szokować. Problem w tym, że mało kto w nie uwierzył.

Wałęsa na meczu

Dzień później (28 września) w Gdańsku odbywał się rewanż Lechii z Juventusem. Mimo wysokiej porażki gdańszczan mecz był wielkim wydarzeniem. Kibice zasiedli nie tylko na trybunach stadionu przy ul. Traugutta 29, lecz zapełnili również okoliczne drzewa i balustrady. Do dziś zresztą nie wiadomo, ilu ich było – biletów sprzedano ponad 30 tys. (z czego 25 tys. rozprowadzono w formie zorganizowanej w zakładach pracy, a jedynie 5 tys. w wolnej sprzedaży). Jednak w relacji „Głosu Wybrzeża" mowa o niespełna 40 tys. widzów, a w ocenie Komitetu Wojewódzkiego PZPR o ponad 40 tys. Szczególnie ważny okazał się jednak jeden z nich – przewodniczący zdelegalizowanej przez władze PRL w październiku 1982 r. Solidarności Wałęsa. Znalazł się tam z inicjatywy środowiska byłych działaczy gdańskiego RMP (m.in. braci: Arkadiusza, Sławomira i Mirosława Rybickich oraz Andrzeja Kowalczysa), którzy zamierzali zorganizować manifestację na jego cześć. Ani milicja, ani bezpieka nie przeszkadzały mu w dotarciu na mecz. I to mimo że SB była zorientowana w zamiarach trójmiejskiej opozycji. Jak bowiem stwierdzano w jednym ze sporządzonych dwa dni przed spotkaniem rewanżowym dokumentów: „Z posiadanych wiadomości agenturalnych wiemy, iż ta impreza sportowa może być wykorzystana do celów politycznych przez ośrodki opozycyjne. W kręgu zainteresowań dziennikarzy zagranicznych będzie także L[ech] Wałęsa, który zapowiedział przybycie na ten mecz". Paradoksalnie najtrudniejsze okazało się przekonanie przewodniczącego Solidarności, który był przeciwny całemu pomysłowi.

Za „dostarczenie" Wałęsy na trybuny odpowiadali bracia Rybiccy. Zadaniem Piotra Adamowicza, Mariana Kosznickiego, Sławomira Weinara oraz Kowalczysa było postaranie się, aby kiedy przybędzie na trybuny, znalazło się dla niego miejsce w gronie zwolenników zdelegalizowanego związku czy – szerzej – opozycji. Adamowicz zadbał również o nagłośnienie planowanej demonstracji – poinformował o niej amerykańskie stacje telewizyjne NBC i CBS. Już w czasie pierwszej połowy zaangażowani w „sprawę Wałęsy" działacze opozycji podjęli próby wzniesienia solidarnościowych okrzyków. Jednak bez powodzenia. Sytuacja ta zmieniła się diametralnie w przerwie meczu, kiedy poinformowani o całej akcji dziennikarze amerykańscy ruszyli w kierunku miejsca zajmowanego przez przewodniczącego Solidarności.

DEMONSTRACJA TRWAŁA PONAD 15 MINUT I BYŁA DRUGĄ NAJWIĘKSZĄ MANIFESTACJĄ SOLIDARNOŚCIOWĄ OD GRUDNIA 1981 r. LECHU STAŁ, UŚMIECHAŁ SIĘ. POKAZYWAŁ WIKTORIĘ, PALIŁ PAPIEROSY. NIE SKANDOWAŁ Z RESZTĄ STADIONU

W efekcie przez całą przerwę, a także na początku drugiej połowy spotkania cały stadion skandował: „Solidarność, Solidarność!" i „Lechu, Lechu!". Jak wspominał potem Sławomir Rybicki: „Zaczęliśmy skandować »Lechu, Lechu!«, a razem z nami najbliższe otoczenie. Z każdą sekundą to się nakręcało i obejmowało coraz szersze kręgi trybun. W końcu krzyczał cały stadion. Demonstracja trwała ponad 15 minut i była drugą największą,

eprasa.pl 2b95f03724

po tej z 1 maja 1982 r., manifestacją solidarnościową od grudnia 1981 r. Lechu stał, uśmiechał się. Pokazywał wiktorię, palił papierosy. Nie skandował z resztą stadionu".

Relacje z manifestacji

Świadkami tej manifestacji politycznej byli – mimo transmisji telewizyjnej – jedynie zgromadzeni na trybunach i w okolicy stadionu gdańskiej Lechii. Widzom TVP zaserwowano planszę z napisem: „Przepraszamy za usterki". Okrzyków poparcia dla Wałęsy i Solidarności nie usłyszeli oczywiście też słuchacze Polskiego Radia. Mimo to ta manifestacja poparcia dla podziemnego związku i jej przewodniczącego odbiła się (za pośrednictwem mediów zachodnich, a także podziemnej prasy) szerokim echem nie tylko w Polsce, lecz również za granicą. Jak relacjonowała np. francuska agencja AFP, przewodniczący Solidarności był „wyraźnie zadowolony z tego spontanicznego przyjęcia", tym bardziej że „jest celem zaciekłej kampanii oczerniania". Dodawano też, że Lech Wałęsa „z uśmiechem na ustach odpowiedział tłumowi, również pokazując znak zwycięstwa". Z kolei w krótkiej relacji Agencji Reutera pisano m.in.: „W pewnej chwili wstał i podniósł ręce w znaku zwycięstwa. Zapytany o kampanię dyskredytowania go i związku stwierdził: »Odpowiedzi udzielono dzisiaj na stadionie Lechii«". Najszerzej wydarzenia z Gdańska opisywała amerykańska agencja prasowa UPI, która relacjonowała również wydarzenia, jakie miały miejsce po zakończeniu spotkania: „Po meczu Wałęsa stwierdził, że gdańszczanie wydali swój werdykt na temat programu TV. »Taka jest dla nich odpowiedź. Ludzie, którzy mnie znają, nie uwierzą. Oni chcieli mnie obsmarować i skłócić z Kościołem«".

Milicyjne demonstracje siły

Akcja trójmiejskiej opozycji udała się, mimo działań prowadzonych w związku z meczem przez MO i SB. Dla zabezpieczenia samego meczu użyto dużych sił i środków. Do Gdańska ściągnięto posiłki z Rejonowych Urzędów Spraw Wewnętrznych w Tczewie, Starogardzie Gdańskim, Pruszczu Gdańskim, Kartuzach, Kościerzynie, Wejherowie oraz z Komendy Miejskiej w Sopocie. W sumie oznaczało to, że na spotkaniu Lechia–Juventus było dodatkowych 1512 „widzów", a także dwa wozy BRDM (opancerzone transportery rozpoznawcze), 9 wozów BTR-60 (radzieckich transporterów opancerzonych), 10 armatek wodnych i 5 więźniarek. Ponadto, jak wynika z założeń akcji, milicjantom mieli pomagać funkcjonariusze Straży Ochrony Kolei, Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej, wojsko, a nawet „aktyw pracowniczy" Polskich Kolei Państwowych. Jednym z podstawowych zadań tych służb było zabezpieczenie dworca PKP w celu „niedopuszczenia do zakłóceń porządku publicznego oraz dewastacji mienia" na trasie od Smętowa Granicznego do Wejherowa. Z kolei na samych trybunach oraz na koronie stadionu Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Gdańsku ulokował tzw. pluton specjalny, czyli 200-osobową grupę funkcjonariuszy odpowiedzialną za obserwację zachowań kibiców, dokumentowanie ich, a także ustalanie sprawców zakłóceń porządku publicznego. Rejestracji nieprawidłowych zachowań kibiców (m.in. wrogich okrzyków, transparentów) dokonywać miał z kolei ściśle współpracujący – wręcz świadczący usługi na potrzeby WUSW – Gdański Ośrodek TVP. Pluton specjalny i telewizja wsparte zostały siecią punktów obserwacyjno-meldunkowych.

Ponadto – w celu „prawidłowego zabezpieczenia ładu i porządku publicznego [...] i niedopuszczenia do prób zorganizowania nielegalnej manifestacji politycznej" – cały Gdańsk podzielono na siedem sektorów. Każdy z nich był zabezpieczany przez funkcjonariuszy. I tak np. w sektorze pierwszym, który obejmował rejon pomnika Poległych Stoczniowców przy bramie nr 2 Stoczni Gdańskiej, została rozmieszczona kompania sił zwartych, czyli Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej (ZOMO). Jej zadaniem było podejmowanie działań filtrujących lub blokujących w celu uniemożliwienia zorganizowania demonstracji. Z kolei w rejon piąty, bezpośrednio przylegający do stadionu, skierowano dwie kompanie sił zwartych oraz przewodników z psami w celu niedopuszczenia na stadion osób nietrzeźwych, „eliminowania transparentów o wrogiej treści" i niebezpiecznych przedmiotów, a w szóstym, czyli wewnątrz stadionu, ale poza trybunami, dyslokowano dwie kompanie ZOMO jako „demonstrację siły". Nie zapomniano też o zapewnieniu ochrony trybuny honorowej – w tym celu na stadion wysłano pluton specjalny, 12-osobową grupę operacyjną WUSW w Gdańsku oraz pluton dzielnicowych. Oprócz tego Służba Bezpieczeństwa prowadziła działania operacyjne. Jednym z nich było dokumentowanie „pobytu, zachowania i zainteresowań" dziennikarzy zachodnich przebywających w związku z meczem na terenie Trójmiasta.

I w końcu piłka...

Tymczasem nie mniej ciekawe wydarzenia rozgrywały się na boisku. Gdański Dawid walczył pięknie i dzielnie. Zanosiło się nawet na niespodziankę, a przez kilkanaście minut wręcz na sensację. Nie zapowiadał tego początek meczu, gdyż Juventus Turyn już w 18. minucie objął prowadzenie. Zawodnicy Lechii Gdańsk nie załamali się jednak i dzielnie walczyli, doprowadzając w 51. minucie do remisu (gola strzelił Marek Kowalczyk), a 12 minut później (po karnym egzekwowanym przez Jerzego Kruszczyńskiego) objęli nawet prowadzenie. Niestety włoski klub wyrównał 14 minut później, a w 83. minucie wyszedł na prowadzenie, którego nie oddał już do końca spotkania. Paradoksalnie katem gdańskiego zespołu okazał się Polak – grający w barwach włoskiego klubu Boniek. Jak po latach komentował jeden z trenerów gdańskiego klubu Józef Gładysz: „Kibice pożegnali nas burzą oklasków, nikt nie miał pretensji. Pokazaliśmy charakter, walkę, stworzyliśmy widowisko, za które nie musieliśmy się wstydzić". Tego dnia zresztą nie sam wynik był najważniejszy, lecz to, co się działo w trakcie meczu i po jego zakończeniu.

Zarówno w trakcie spotkania, jak i po nim na trybunach panował spokój, również na ulicach Gdańska nie doszło do żadnych zamieszek. A właściwa Solidarności pokojowa manifestacja poparcia dla jej przywódcy, którego władze usiłowały zniszczyć propagandowo, przeszła do historii, w odróżnieniu od wyniku dwumeczu, o którym pisze się i mówi zdecydowanie mniej. Nie była to oczywiście ostatnia antykomunistyczna manifestacja gdańskich kibiców. Fani biało-zielonych do 1990 r. regularnie i aktywnie, zarówno na trybunach stadionów, jak i na ulicach Trójmiasta, wyrażali swoje poparcie dla podziemnej Solidarności. Ale to już całkiem inna – choć nie mniej ciekawa – historia.

eprasa.pl 2b95f03724



„HISTORIA JEST NASZYM BUDULCEM I ŁĄCZY POKOLENIA". „GRA SZYFRÓW" – INAUGURACJA PROJEKTU EDUKACYJNEGO IPN

W ŚRODĘ, 14 WRZEŚNIA, PRZED SIEDZIBĄ SEJMU ODBYŁO SIĘ UROCZYSTE ROZPOCZĘCIE KOLEJNEGO ETAPU PROJEKTU GAMINGOWEGO INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ „GRA SZYFRÓW". W INAUGURACJI MOBILNEJ EDYCJI CYKLU WZIĘLI UDZIAŁ MARSZAŁEK SEJMU ELŻBIETA WITEK ORAZ PREZES IPN KAROL NAWROCKI, A TAKŻE SZEF KANCELARII SEJMU AGNIESZKA KACZMARSKA WRAZ Z ZASTĘPCĄ CHRISTIANEM MŁYNARKIEM

Przez 27 lat uczyłam historii i wiem, że niektórzy uczniowie narzekali, że historia bywa nudna. Jak ją uatrakcyjnić, jak podejść do ucznia, żeby zechciał się zainteresować historią? Historia nas łączy, jest naszym budulcem, mówi o naszej świadomości narodowej, łączy pokolenia i jest naprawdę bardzo ważna. Powinniśmy znać swoją historię, która jest niezwykle bogata. I tutaj w sukurs przychodzą nowoczesne technologie. Kiedyś zainteresowało się uczniów najczęściej jakąś ciekawostką. Uczeń ją podłapywał, szukał w książkach, podręcznikach, zapamiętywał. Dzisiaj Instytut Pamięci Narodowej pokazuje nam, jak można połączyć historię z nowoczesnymi technologiami i jak w nowoczesny sposób można nauczać historii, jak nią zainteresować ucznia – zaznaczyła marszałek Sejmu Elżbieta Witek.

Marszałek Sejmu przypomniała też postać płk. Jana Kowalewskiego, polskiego kryptologa, który złamał sowieckie szyfry podczas wojny w 1920 r. – Zwykle, gdy opowiada się o wojnie, wspomina się żołnierzy, sprzęt, amunicję. Rzadko mówi się o tych, których nie widać na froncie, którzy nie walczą na froncie, a ich orężem jest intelekt. Większość z nas wie o Enigmie, natomiast właśnie że płk Kowalewski odszyfrował meldunki bolszewickie podczas wojny mało kto słyszał – powiedziała.

Następnie głos zabrał prezes IPN Karol Nawrocki, który zaznaczył, że w Instytucie powstało Biuro Nowych Technologii. – By przekładać najnowszą historię Polski na język technologii i gier fabularnych. IPN to też Instytut Przyszłości Narodowej. Na fundamencie historii budujemy świadomość historyczną kolejnych pokoleń Polaków. Nie może nas więc zabraknąć w przestrzeniach, w których jest młodzież. Tam, gdzie jest młodzież, gdzie są odbiorcy oferty historycznej, jest także Instytut Pamięci Narodowej i „Gra szyfrów"– powiedział prezes Nawrocki. Podkreślił przy tym, że IPN wychodzi z ofertą edukacyjną do całej Polski, a mobilny projekt odwiedzi wiele miejscowości w kraju.

Gra została udostępniona w Sejmie na stanowiskach komputerowych z możliwością wykorzystania okularów VR Oculus. Wydarzeniu towarzyszył też piknik edukacyjny.

„Gra szyfrów" to projekt przygotowany jako gra FPP (first person perspective), składająca się z czterech misji. Opisują one przebieg wojny polsko-bolszewickiej oraz wpływ polskiej kryptologii na jej zwycięski finał. Każdy z graczy może złamać bolszewickie szyfry i zniszczyć sowiecki pociąg pancerny. Dziesiątki młodych osób wciela się w autentyczne postacie żołnierzy wojny polsko-bolszewickiej z 1920 r., uruchamia urządzenia komunikacyjne sprzed 100 lat i ratuje Europę przed komunistycznym zniewoleniem. Grę można już bezpłatnie pobrać ze strony Ministerstwa Edukacji i Nauki lub z platformy Steam.

FOT. RAFAŁ ZAMBRZYCKI/KANCELARIA SEJMU

eprasa.pl 2b95f03724

PAMIĘĆ O OFIARACH ZBRODNI W PONARACH.

OBCHODY Z UDZIAŁEM WICEMARSZAŁEK SEJMU

W PONARACH POD WILNEM NA LITWIE, W PONIEDZIAŁEK, 26 WRZEŚNIA, ODBYŁY SIĘ UROCZYSTOŚCI W KWATERZE POLSKIEJ, UPAMIĘTNIAJĄCE POLAKÓW BESTIALSKO ZAMORDOWANYCH W MASOWYCH EGZEKUCJACH W PONARSKIM LESIE W LATACH 1941–1944 PODCZAS NIEMIECKIEJ OKUPACJI. W RAMACH OBCHODÓW MIAŁY MIEJSCE PRZEMÓWIENIA, APEL PAMIĘCI ORAZ POLOWA MSZA ŚW. W UROCZYSTOŚCIACH UCZESTNICZYŁA WICEMARSZAŁEK SEJMU MAŁGORZATA GOSIEWSKA. OBECNI BYLI RÓWNIEŻ M.IN. PRZEDSTAWICIELE URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW I OSÓB REPRESJONOWANYCH, WŁADZ PAŃSTWOWYCH I SAMORZĄDOWYCH, KOMBATANCI, ORGANIZACJE POLONIJNE, A TAKŻE HARCERZE I MŁODZIEŻ Z POLSKICH SZKÓŁ

Jesteśmy tutaj, by dać świadectwo prawdzie i nazywać rzecz po imieniu, mówiąc o akcie ludobójstwa popełnionym na Polakach i Żydach – powiedziała Małgorzata Gosiewska. Wskazała, że pytania o to, jak mogło dojść do zbrodni w Ponarach, pojawiają się również w kontekście obecnych wydarzeń na Ukrainie. – Bucza, Irpień, Hostomel czy Izium, czyli współczesne ludobójstwo Władimira Putina. Na oczach całego świata odbywa się mord na narodzie ukraińskim – tortury, gwałty, kastracje, uprowadzenia dzieci i deportacje – mówiła.

Jak podkreśliła Małgorzata Gosiewska, zbrodnie w Ponarach i na Ukrainie to konsekwencja „chorych ideologii". – W czasie II wojny światowej były nimi faszyzm, nazizm i komunizm, teraz jest nim rosyjski neoimperializm. Działania obecnego rosyjskiego agresora są identyczne jak wtedy niemieckiego. Dlatego stojąc przy grobach naszych Rodaków i pamiętając o ofierze, jaką ponieśli za to tylko, że byli Polakami i Żydami, musimy głośno wołać: NIE dla ludobójstwa, NIE dla zbrodni wojennych, NIE dla wojny! Ale musimy się też domagać należnego zadośćuczynienia za poniesione straty i krzywdy. Tak wobec Niemiec, jak i, mam nadzieję w najbliższej przyszłości, wobec Rosji – dodała.

Podczas II wojny światowej las w podwileńskich Ponarach był miejscem masowych mordów stanowiących największą zbrodnię dokonaną głównie na ludności żydowskiej i polskiej na terenach Wileńszczyzny. Blisko 100 tys. obywateli II RP zostało zamordowanych w latach 1941–1944 przez Niemców oraz kolaborujące z nimi litewskie formacje. Według szacunków życie straciło ok. 70 tys. Żydów, ale też ok. 20 tys. Polaków, wśród których byli m.in. żołnierze Armii Krajowej Okręgu Wileńskiego, członkowie podziemia niepodległościowego, przedstawiciele inteligencji wileńskiej oraz młodzież z konspiracyjnego Związku Wolnych Polaków.

W trakcie wizyty na Litwie, w przededniu uroczystości w Kwaterze Polskiej w Ponarach, na cmentarzu na Rossie w Wilnie wicemarszałek Gosiewska, wraz z ambasador RP na Litwie Urszulą Doroszewską, złożyła wieniec przy Mauzoleum Matki i Serca Syna, gdzie spoczywają prochy matki Józefa Piłsudskiego oraz serce Marszałka.

Tekst powstał we współpracy z Kancelarią Sejmu/24/0722/F



FOT. VALDEMAR POVEIKO/KANCELARIA SEJMU



Jacek Malczewski, Portret Karola Lanckorońskiego

7 WRZEŚNIA OBCHODZILIŚMY 20. ROCZNICĘ ŚMIERCI PROF. KAROLINY LANCKORONŃSKIEJ, 8 PAŹDZIERNIKA KOLEJNĄ ROCZNICĘ ODEJŚCIA DO WIECZNOŚCI JACKA MALCZEWSKIEGO, A NA POCZĄTKU LISTOPADA URODZINY KAROLA LANCKORONŃSKIEGO. CAŁĄ TRÓJKĘ ŁĄCZYŁY PATRIOTYZM, UMIŁOWANIE PIĘKNA I HOŁDOWANIE TYM SAMYM IDEAŁOM

ARTYSTA, MECENAS I POETA



JERZY MIZIOŁEK

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie co dzień... a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie...
Juliusz Słowacki, „Hymn (Smutno mi, Boże...)"

Tymi słowami swego ulubionego poety zamyka Karolina Lanckorońska (1898–2002) dramatyczne i do głębi przejmujące „Wspomnienia wojenne". Autor „Kordiana" powraca w tym dziele wielokrotnie, m.in. w relacji o krakowskim pogrzebie por. Lecha Stelmachowskiego, jednego z obrońców Helu, i we wspomnieniu z czasów długiego więzienia w obozie koncentracyjnym w Ravensbrück. W pierwszym przypadku przyszedł prof. Lanckorońskiej na myśl wiersz „Pogrzeb kapitana Meyznera", z którego przywołała w. 49–54, m.in. z tymi słowami: „A Ty, Boże! [...] / Zapal przynajmniej na śmierć naszą – słońce!"; w drugim – na widok szybującego bociana – wypowiada cztery słowa z cytowanego już „Hymnu": „Żem je znał kiedyś [na polskim ugorze, / Smutno mi, Boże!"].

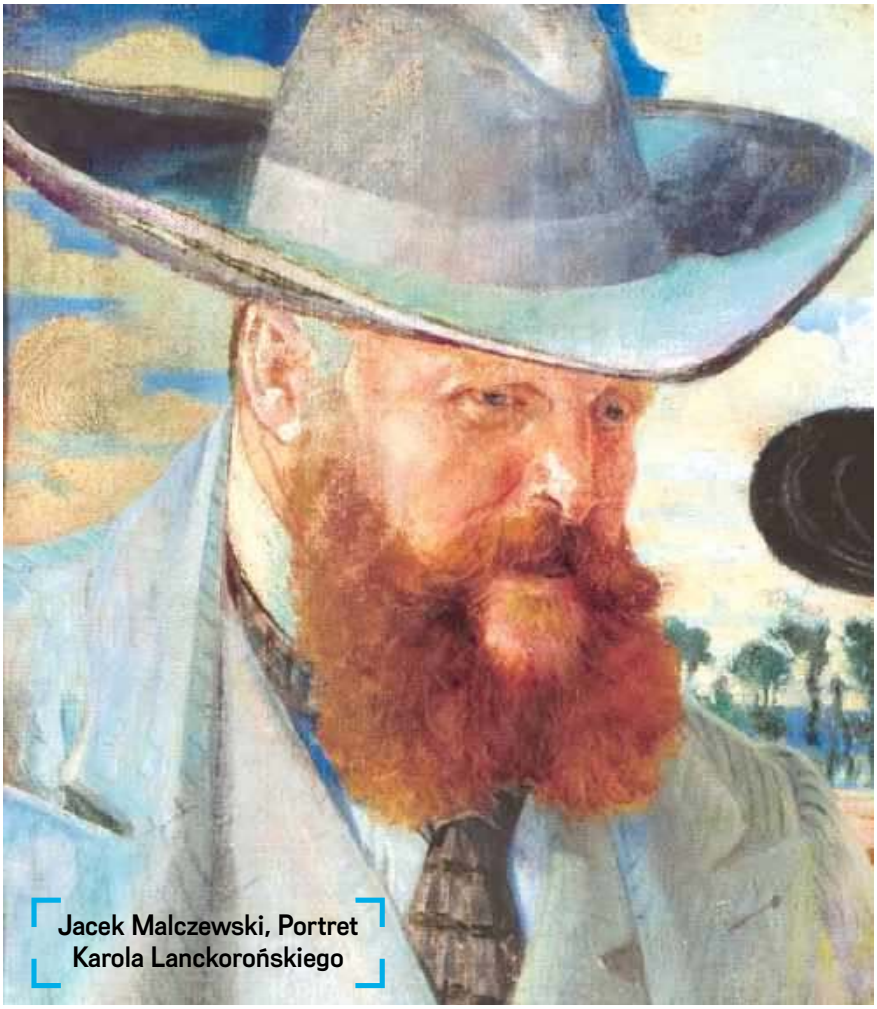
Wiele jest innych dowodów na to, że Karolina Lanckorońska uwielbiała poezję Słowackiego przez całe, przeszło stuletnie życie. „W domu rodzinnym – pisze jej uczeń prof. Lech Kalinowski – z ojcem rozmawiała po francusku, z matką, o której rzadko i niechętnie opowiadała, po niemiecku. Języka polskiego uczyła się sama nocą. Przy świecy czytała Słowackiego, którego wyżej ceniła niż Mickiewicza. Przeczytany tekst przyswajała sobie na pamięć". Tego poetę przywoływała też w częstych rozmowach ze mną, gdy od stycznia do lipca 1982 r. mieszkałem w kierowanym przez nią Polskim Instytucie Historycznym w Rzymie. Być może to właśnie Słowacki, w którego domowym kulcie wyrastał Jacek Malczewski (1854–1929), zbliżył hrabiankę Lanckorońską do malarza. Nie ma o tym mowy w jej pięknym eseju „Pan Jacek", który – wraz z 70 listami artysty do hrabiego Karola Lanckorońskiego (1848–1933) – opowiada o tym, jak ważnym miejscem była dla Malczewskiego rezydencja Lanckorońskich w Rozdole. Zaświadcza o tym również jego 21 rysunków przechowy-



Karolina i Karol Lanckorońscy

FOT. ZE ZBIORÓW AUTORA

eprasa.pl 2b95f03724



Jacek Malczewski, Portret Karola Lanckorońskiego

wanych obecnie w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie. O wiele więcej „rysunkowych opowieści" Malczewskiego z Rozdołu znajduje się – w wyniku pamiętnej donacji prof. Lanckorońskiej w 1994 r. – w zbiorach Zamku Królewskiego na Wawelu.

Artysta i jego mecenas

W jednej z opinii o Karolu Lanckorońskim czytamy: „Żonaty najpierw z hr. Kińską, a po jej śmierci z hr. Lichnowską, siostrą ambasadora niemieckiego w Londynie z czasów pierwszej wojny światowej, zżył się na pozór całkowicie z światem dworu i bardzo ekskluzywnej arystokracji austriackiej. Dom jego miał – pod wpływem żony – charakter raczej niemiecki. Mimo to dzieci wychował na gorących i ofiarnych patriotów polskich. Podczas I wojny światowej oddał z własnej inicjatywy swoją rezydencję w Lainz na szpital dla żołnierzy i oficerów polskich, a córka jego [Karolina] pełniła tam służbę pielęgniarki. [...] Widać z tego, że pod złotem szamerowaną powłoką ochmistrza habsburskiego dworu biło zawsze serce polskie, szczerze kraj swój miłujące".

O tym miłowaniu tego, co polskie przez hrabiego, świadczą również jego serdeczny stosunek do Malczewskiego, zabiegi o odzyskanie, a potem konserwację Wawelu, wspieranie Uniwersytetu Jagiellońskiego, jak i jego profesorów – Mariana Sokołowskiego, pierwszego polskiego profesora historii sztuki, i Piotra Bieńkowskiego, wybitnego archeologa klasycznego. Pierwszego i drugiego z wymienionych zabrał w 1884 r. do miast Pamfilii i Pizydii na wyprawę archeologiczną (obecnie w Turcji), która prowadziła przez Itakę, Ateny i Rodos. Wyprawa ta w ogromnym stopniu ukształtowała wizję świata w twórczości Malczewskiego i przyniosła nadto dziesiątki znakomitych rysunków, które są swoistą kroniką tej podróży. Monumentalna, dwutomowa publikacja pt. „Miasta Pamfilii i Pizydii", będąca głównym jej rezultatem, wydana została nie tylko w językach niemieckim, francuskim, lecz także w polskim, jak i inne jego książki.

Jeden z obrazów Jacka Malczewskiego ukazuje Lanckorońskiego studiującego stosy książek w swoim gabinecie w Rozdole. Dzieło to, znajdujące się obecnie w zbiorach Wawelu, znakomicie ilustruje słowa cytowanego już Alfreda Wysockiego o hrabim Karolu: „Wysoki, okazały, z bujną blond brodą, wyglądał raczej na uczonego profesora". Ten prawdziwy olbrzym przerastał Malczewskiego o bez mała pół metra, co widać na licznych rysunkach naszego malarza wykonanych w Rozdole; na jednym z nich, obecnie na Wawelu, Lanckoroński niesie Jacka „na barana", co jest oczywistym odniesieniem do przyjacielskiej troski mecenasa o dobrostan finansowy mało praktycznego w życiowych poczynaniach artysty. Warto tu wspomnieć również o imponującym portrecie Karola Lanckorońskiego i jego żony, Małgorzaty z Lichnowskich, przechowywanym w Galerii Miejskiej we Lwowie – Malczewski wykonał go w Rozdole w 1905 r.

O rezydencji w Rozdole i jego skarbach pięknie pisze Karolina Lanckorońska w swych „Szkicach wspomnień". Wypada tu – czerpiąc z nich – dodać, że w Rozdole znajdowała się ogromna, licząca 70 tys. tomów biblioteka i wielka, zawierająca 80 tys. zdjęć fototeka z zakresu architektury i sztuk plastycznych. Wiemy z całkowitą pewnością, że Malczewski korzystał z nich wielokrotnie, o czym zaświadczają jego własne rysunki.

„Mój dom rodzinny w Rozdole – pisze we wspomnianych »Szkicach« prof. Lanckorońska – ślicznie na wzgórzu położony, słoneczny, stał w dużym parku wśród prastarych drzew, ale piękny nie był". Mimo to zarówno dla niej, jak i jej rodzeństwa – starszego brata Antoniego i młodszej siostry Adelajdy – pobyt w Rozdole był niecierpliwie, przez siedem miesięcy, oczekiwany. Zjeżdżali tu w czerwcu i pozostawali do połowy listopada, obchodząc uroczyście na początku tego jesiennego miesiąca dzień św. Karola – imieniny hrabiego i jego ukochanej córki. „Nie wiem – czytamy w »Szkicach« – kiedy poznałam pana Jacka, bo dla mnie, jak daleko moja pamięć sięga, Pan Jacek był zawsze".

Również z listów Malczewskiego wynika, że w Rozdole bywał bardzo często, uwielbiał to miejsce i niekiedy nie mógł się doczekać, kiedy się w nim znajdzie. W liście z 22 maja 1887 r. czytamy: „Przez całe lato siedzieć będę w Krakowie i pracować wytrwale [...]. Nie odmawiam »

eprasa.pl 2b95f03724

» sobie jednak tej przyjemności abym do Rozdołu nie przyjechał". W podobnej tonacji dnia 13 lipca 1890 r.: „Co tydzień Panie Hrabio list ze sprawozdaniem wysyłać będę, zatem wiedzieć Pan będzie gdzie mnie szukać [...] gdyby Pan Hr jechał do Rozdołu i chciał mnie zabrać". W liście z 3 września 1900 r. czytamy: „Dziękuję z całego serca Panu za dobroć Jego – jaką tchnie list Pana – starać się będę przybyć do Rozdołu między 15 października a 20 listopada". Najbardziej może poruszający w omawianej tu materii jest list artysty – niestety nieprecyzyjnie datowany: 14 września [1895?] – wysłany z miejscowości Wielgie (w okolicach Zwolenia). Malczewski mieszkał w tej wsi od 13. do 17. roku życia i, jak wiadomo z jego wspomnień spisanych w 1882 r., kochał to miejsce, tak jak Rozdół. Gdy wrócił po latach do Wielgie, na wspomnienia z dzieciństwa nałożyły się te z rezydencji Lanckorońskich: „Tak samo jesień po cichu zapada w Rozdole [...], chodzę samotny, dziwię się że głosu Pana nie słyszę i obecności Jego nie czuję przy sobie".

Rozdół i Rzym w rysunkach Malczewskiego

Zanim przejdziemy do rysunków wykonanych w Rozdole, warto jeszcze przywołać opowieść o wyprawie Lanckorońskiego z Malczewskim do Italii. Warto uczynić to tym bardziej, że Muzeum Narodowe w Warszawie posiada szkicownik z podróży Malczewskiego do tego kraju w 1890 r. z ponad 40 rysunkami. „Ojciec – pisze Karolina Lanckorońska – kiedyś chciał pokazać Malczewskiemu Rzym. Zaprosił więc artystę na podróż do Włoch. Zatrzymali się po drodze w Sienie. Tam, w hotelu, rankiem, gdy ojciec jeszcze smacznie spał, wszedł do pokoju pan Jacek i obudził go mówiąc: »Muszę wracać do domu i to zaraz«. Ojciec, przerażony, zapytał, co się stało... »U nas już gęsi wychodzą. Wracam«. »Ależ nie zna pan jeszcze Rzymu! Jutro mamy tam być«. »Nie mogę. Wracam«. Pojechał. Ojciec do końca nie wyszedł ze zdziwienia". Nieco inaczej relacjonuje tę opowieść Wojciech Kossak: „Hrabia Lanckoroński kochał Jacka, jak wszyscy co go bliżej znali, i wszystko mu przebaczał. Nie były to co prawda żadne przestępstwa trudne do przebaczenia, ale dziwactwa. Zawiózł go kiedyś do Rzymu, którego Jacek nie znał. Jacek nie wyszedł z hotelu i nie zobaczył nic, literalnie nic, wyjechał twierdząc, że



FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Jacek Malczewski, „Karol Lanckoroński, Ludwik Chotyniecki i Malczewski żegnają odjeżdżających gości"

ciekawsze dla niego są gęsi na pierwszej polskiej łące".

Wspomniany szkicownik z Italii z 1890 r. w zbiorach pokazuje, że jednak Malczewski widział wiele, m.in. w Sienie i Arezzo, i że dotarł także do Tivoli. Wiemy, że we Włoszech był cztery razy i podróż, po której pamiątką jest szkicownik, została opłacona przez hrabiego Lanckorońskiego – odbyła się w jego towarzystwie.

Pomimo ich urody, rysunki włoskie zdają się nie dorównywać tym z Rozdołu; są bardziej szkicowe, bo wykonywane zapewne w pośpiechu z natłoku wrażeń. Rysunki z galicyjskiej rezydencji Lanckorońskich tchną uwielbieniem dla miejsca i ludzi, których artysta dobrze znał; są owocem pracy człowieka zrelaksowanego, wręcz szczęśliwego i tryskającego poczuciem humoru. Niezwykle interesujący jest np. zabawny szkic ukazujący Kazimierza de Vaux i Leona de Vaux podtrzymujących Malczewskiego. Czy opiera się przed pójściem na obiad, czy udaniem na wycieczkę konną? Panowie de Vaux, znacznie bardziej rośli niż nasz artysta, to synowie siostry hrabiego Karola. Na kolejnym rysunku widzimy pana Jacka w zabawie z Töpferem, powstańcem styczniowym (co go bez wątpienia zbliżało do malarza), o pseudonimie Stalmistrz; w Rozdole pełnił on ważną funkcję masztalerza. Na dwóch szkicach tenże masztalerz zamienia się w centaura, który najpierw odczytuje telegram zawiadamiający o przyjeździe artysty, a następnie wita go, przybywającego jako Pegaz. Jakże piękne, pełne ekspresji i radosne jest to powitanie; prawdziwa egzaltacja uczuć po przybyciu do miejsca szczęśliwego, wyrażona językiem all'antica, jakby podświadomie inspirowanym wyprawą archeologiczną w 1884 r.

Swoje rysunki i szkice z 1889 r. okrył Malczewski zwiewnym płaszczem nostalgii i wpisał w dyskretną aurę dowcipu. W jednym z nich, zatytułowanym „Karol Lanckoroński, Ludwik Chotyniecki i Malczewski żegnają odjeżdżających gości", wszyscy ustawieni są na cokołach, a więc odgrywają jednocześnie rolę posągów; na pierwszym planie widoczna jest ogromna postać właściciela Rozdołu. Z tego samego roku pochodzi kolejny rysunek ukazujący „Wyprawę na przejażdżkę w Rozdole", w której udział biorą m.in. hrabia Lanckoroński, Marian Sokołowski i sam artysta.

eprasa.pl 2b95f03724

Liczne spośród szkiców Malczewskiego to sceny z jeźdźcami, prawdziwe galopady, m.in. amazonek, w które pod ołówkiem artysty wcieliły się panie z towarzystwa Lanckorońskich. Jeśli można sądzić, m.in. na podstawie rysunku „Jeźdźcy", również nasz malarz był całkiem dobrym kawalerzystą. Rysunki Jacka Malczewskiego z Rozdołu, te warszawskie, ale przede wszystkim wawelskie, są jedyną w swoim rodzaju kroniką z dziejów wielkopańskiej rezydencji, po której dziś pozostało tylko literackie i artystyczne wspomnienie i – jak można sądzić z fotografii oraz opowieści świadków – „strzęp dawnej świetności".

Słowo szczerej wdzięczności i pożegnanie

W liście skierowanym do hrabiego w dniu 29 lipca 1918 r. nasz malarz w takich oto słowach otwiera swe serce: „Chciałem pisać do JWPana bardzo długo i szeroko – o jednej tylko rzeczy – to jest o mojej wiecznej wdzięczności. Jak od chwili kiedy JWPanu byłem przedstawiony – drogi Pan zawsze dla mnie był doradcą – przyjacielem dobroczyńcą i bratem nieledwie. Ale nie chcę nudzić JWPana tem mojem gadulstwem chciałem tylko – by ten list zachowany był w archiwach domu Lanckorońskich – by potomkowie JWPana wiedzieli jaki Pan dla mnie dobry i dobroczynny – i o tem że ja wdzięczność moją dla niego – chowam do grobu i po za grób".

Przetrwał nie tylko ten list, lecz i 69 innych, a także bezcenne szkice i rysunki z Rozdołu, w którym pobyty, jak i wspólne wyprawy z Karolem Lanckorońskim – do Grecji i Turcji, a potem do Italii – w ogromnym stopniu ukształtowały poetykę twórczości Malczewskiego. Pobrzmiewa w niej nuta, niekiedy przejmująco i bez mała monumentalnie, poezji Juliusza Słowackiego. Czy odnajdzie się kiedyś list zaświadczający, że nasz malarz rozprawiał o geniuszu romantyzmu z Karoliną Lanckorońską?

W mowie na otwarcie roku akademickiego Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie w 1912 r. Malczewski powiedział: „Sztuka jest modlitwą naszą", a gdy pięć lat wcześniej zostawał profesorem tej uczelni pytany przez studentów, jak malować Polskę, odpowiadał: „Malujcie tak, żeby zmartwychwstała". Przez lata



Jacek Malczewski, „Święty Franciszek", autoportret

pod wpływem Słowackiego, ojca i swego mentora – Adolfa Dygasińskiego – rozpamiętywał martyrologię narodu polskiego. W znanej książce Kazimierza Wyki „Thanatos i Polska" czytamy: „Było [to – pogrzeb Jacka Malczewskiego] dwa lata po wspaniałym, krakowskim pogrzebie Juliusza Słowackiego [...]. Te dwie narodowe manifestacje, jak przystało na pamięć młodego krakowianina, tuż obok siebie w tej pamięci się ułożyły. Kto szuka jakiejś wyższej koincydencji wydarzeń w kulturze narodowej, ten owego sąsiedztwa Juliusza Słowackiego i Jacka Malczewskiego nie uzna za przypadek".

W jesieni życia Karolina Lanckorońska nie tylko często przywoływała imię ukochanego poety, lecz z łatwością, jak sonety Michała Anioła, potrafiła z pamięci cytować jego poezję, a szczególnie „Hymn", którego wersy posłużyły nam za motto. Wiosną 1982 r., gdy przyszło jej się godzić ze śmiercią ks. prałata Meysztowicza, przyjaciela, współtwórcy Polskiego Instytutu Historycznego w Rzymie, pewnego wieczoru, z mistyczną nutą w głosie wyszeptała:

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli Twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie
Patrzący – marli.
Nim się przed moją nicością ukorzę,
Smutno mi, Boże!



Jacek Malczewski, „Wizja Ezechiela (Wizja ożywienia wysuszonych kości)"

FOT. ZE ZBIORÓW AUTORA

eprasa.pl 2b95f03724

ZAPOMNIANA ODBUDOWA

W 75. ROCZNICĘ POWSTANIA RADY PRYMASOWSKIEJ ODBUDOWY KOŚCIOŁÓW WARSZAWY









Bazylika archikatedralna św. Jana Chrzciciela. Nawa główna przed 1939 r. i stan obecny oraz widok na zniszczoną i odbudowaną katedrę po wojnie. Obok na zdj. Jan Zachwatowicz (1900–1983)



WEDŁUG DANYCH Z 1946 r. Z 64 RZYMSKOKATOLICKICH KOŚCIOŁÓW W WARSZAWIE Z POŻOGI WOJENNEJ OCALAŁO TYLKO 9



TOMASZ MARKIEWICZ

Z 55 świątyń na lewym brzegu Wisły pozostało 5, a na prawym brzegu z 9 – zaledwie 4. Reszta uległa całkowitemu albo częściowemu zniszczeniu. Najbardziej ucierpiały, zwłaszcza podczas powstania warszawskiego, świątynie na Starym Mieście, które było zburzone w 90 proc. Ogrom zniszczeń kościołów na Starym i Nowym Mieście był tak wielki, że początkowo władze kościelne sceptycznie odnosiły się do pomysłu ich odbudowy. I pewnie by ich nie zrekonstruowano, gdyby nie determinacja Jana Zachwatowicza – architekta, konserwatora i szefa Wydziału Architektury Zabytkowej Biura Odbudowy Stolicy (BOS). Jak przypomniał biograf Zachwatowicza, varsavianista Jerzy S. Majewski, w 1946 r. jego bohater rozmawiał z ówczesnym biskupem sufraganem warszawskim Wacławem Majewskim. W zapiskach Zachwatowicza zachowała się relacja z tego spotkania. Biskup podszedł do sprawy z dużą rezerwą. Przekonywał, że rozmawiać można co najwyżej o przywróceniu katedry, ponieważ w wyludnionej Warszawie rekonstrukcja innych świątyń nie ma sensu. Tymczasem Zachwatowicz optował za odbudową wszystkich kościołów w rejonie zabytkowym. Brak porozumienia z biskupem Majewskim sprawił, że skontaktował się on z prymasem Polski kard. Augustem Hlondem. Kardynał poparł dążenie Zachwatowicza do rekonstrukcji zniszczonych świątyń. Podczas ich licznych spotkań powstała myśl o utworzeniu Rady Prymasowskiej Odbudowy Kościołów Warszawy, co nastąpiło w kwietniu 1947 r. (a więc 75 lat temu, w 1957 r. prymas kard. Stefan Wyszyński przemianował ją na Radę Prymasowską Budowy Kościołów War-

FOT. MPW; SERGEY-73/SHUTTERSTOCK.COM SHUTTERSTOCK.COM; NAC

eprasa.pl 2b95f03724

szawy). Wkrótce potem przystąpiono do pierwszych prac budowlanych. Odgruzowano XVII-wieczny podominikański kościół pw. św. Jacka przy ul. Freta. Ale do jego wzniesienia trzeba było znaleźć gospodarza. Zachwatowicz namówił prymasa Hlonda, aby zgodził się na powrót dominikanów na Nowe Miasto (skąd wygnały ich represje zaborcy rosyjskiego po 1864 r.). Dominikanie objęli kościół w lecie 1947 r., ale odbudowa trwała aż do 1959 r. Podobną inicjatywę podjął Zachwatowicz w przypadku sąsiedniego kościoła paulinów pw. Świętego Ducha po drugiej stronie ul. Freta. Przekonał generała zakonu na Jasnej Górze w Częstochowie, że choć kościół od XIX w. nie należał do zgromadzenia, to nadal warszawiacy uważają go za świątynię tego zgromadzenia. Paulini wrócili na Freta i podnieśli z gruzów poważnie zniszczony w 1944 r. kościół. Prace trwały w latach 1949–1954. Z gruzów podniesiono także katedrę św. Jana, którą Niemcy wysadzili w powietrze w czasie powstania warszawskiego. Jej rekonstrukcji w stylu gotyckim, w latach 1948–1956, osobiście z troską patronował prymas Stefan Wyszyński. Do 1957 r. odbudowano sąsiedni kościół jezuitów pw. Matki Bożej Łaskawej przy ul. Świętojańskiej. Natomiast do rekonstrukcji dawnego kościoła augustianów pw. św. Marcina przy ul. Piwnej Wydział Architektury Zabytkowej BOS przystąpił sam, ponieważ kuria broniła się przed objęciem kolejnego kościoła. Konserwatorzy postanowili urządzić w nim Muzeum Sztuki Sakralnej, ale – jak wspominał Zachwatowicz – szybko interweniował Urząd ds. Wyznań, przekonując, że dawne obiekty sakralne nie mogą być użytkowane na inne cele. Ostatecznie kościół objęły siostry franciszkanki i do 1962 r. zakończyły jego rekonstrukcję.





Kościół św. Aleksandra na pl. Trzech Krzyży

Wnętrza jednak są nowoczesne, wojenne losy świątyni i Starego Miasta upamiętnia spalony w połowie krzyż Chrystusa.

Odbudowa świątyń nie dotyczyła tylko Starego i Nowego Miasta. Kościół pw. św. Aleksandra na pl. Trzech Krzyży wzniesiono, ale w wersji z pierwszej połowy XIX w., gdy architekt Piotr Aigner zbudował go w formie miniatury rzymskiego Panteonu. Nie odtworzono bryły z końca XIX w. w wydaniu architekta Józefa Piusa Dziekońskiego w stylu neorenesansowym z ogromną kopułą i dwiema strzelistymi wieżami. O formę odbudowy (ukończonej w 1952 r.) toczył się nawet spór między władzami kościelnymi, parafią a Zachwatowiczem, jednak ostatecznie wygrała koncepcja Zachwatowicza małej świątyni w wersji z 1826 r. Długo, bo do końca lat 70., trwało odtworzenie kościoła pw. Apostołów św. Piotra i Pawła na Koszykach przy ul. Emilii Plater, który ostatecznie powstał w innej formie niż był przed wojną.

Rekonstrukcja warszawskich kościołów wciąż trwa. W połowie lat 90. został odbudowany na placu Teatralnym kościół pw. św. Andrzeja (dawniej panien kanoniczek), mieszczący obecnie duszpasterstwo środowisk twórczych. W dość poważnie zniszczonym w powstaniu warszawskim kościele pw. Wszystkich Świętych na placu Grzybowskim, budowanym do 1965 r., trwa restauracja wież i rekonstrukcja zabytkowych wnętrz tej jeszcze do niedawna największej świątyni w Warszawie (dopóki nie zbudowano Świątyni Opatrzności Bożej w Wilanowie).

Rekonstrukcja niemal wszystkich stołecznych kościołów zniszczonych podczas II wojny światowej stanowi dowód, że była możliwa prywatna odbudowa Warszawy dzięki wielkiemu wysiłkowi i zapałowi dziesiątek tysięcy parafian, którzy poświęcali na prace budowlane i porządkowe przez wiele lat każdą wolną chwilę i oszczędności. Szkoda, że w wiszących w wielu kościołach gablotach z opisem historii danego obiektu rzadko się wspomina o tym wieloletnim finansowym oraz zwyczajnie fizycznym wkładzie i zaangażowaniu wiernych. Warto zatem przypomnieć to już nieco zapomniane odtwarzanie stolicy w 75. rocznicę powstania Rady Prymasowskiej Odbudowy Kościołów Warszawy. W końcu tak dziś cieszące nasze oczy kościoły Starówki nie od razu zrekonstruowano.

Bazylika Świętego Krzyża na Krakowskim Przedmieściu, widok na świątynię po 1945 r. oraz współcześnie





FOT. MAREKUSZ/SHUTTERSTOCK.COM; SANGA PARK/SHUTTERSTOCK.COM, MPW (2X)

eprasa.pl 2b95f03724

PATRIOTYZM – ZBĘDNY CIĘŻAR CZY EKWIPUNEK?



Z **MICHAŁEM SENKIEM**, dyrektorem Centrum Myśli Jana Pawła II, rozmawia Agata Madaj

Od blisko pół roku Centrum Myśli Jana Pawła II zaprasza na cykl debat „Dwa kolory – między buntem a posłuszeństwem", poświęconych współczesnym postawom patriotycznym. Wśród bohaterów ostatniej debaty, obok Prymasa Wyszyńskiego, pojawił się Witold Gombrowicz ze swoją wizją polskości jako obciążeniem, opresją. Jak to jest: nie jesteśmy wszyscy zmęczeni tematyką patriotyczną?

Michał Senk: Kiedy myślę o Gombrowiczu, to zdecydowanie częściej myślę jednak o jego teoriach dotyczących formy, m.in. o tym sławetnym już upupieniu. Zastanawiam się, czy szkolne lekcje historii przez niektórych nie były traktowane jako takie upupienie. My jesteśmy tymi, którzy próbują ten stan odczarować. Coraz częściej, gdy mówi się o patriotyzmie, podkreśla się, że kraj, który kochamy, to nie tylko ten, o który walczymy, ale też ten kraj, za którego błędy się wstydzimy. Tę Gombrowiczowską perspektywę można tutaj odwrócić, pokazując, że jeżeli się wstydzimy, bo coś nas boli, dostrzegamy jakiś brak, to nie chodzi tylko o to, żeby to naświetlić, podkreślić wady, ale może właśnie zaznaczyć, jakie jest nasze pole do wspólnego działania. Nie ukrywam, że bliski mi jest w tym sensie Gombrowicz ze swoją nieoczywistością w tej debacie. Ale jednocześnie po drugiej stronie pokazujemy Wyszyńskiego z bardzo mocnym programem dotyczącym nawet takich obszarów jak trzeźwość obywateli czy – szerzej – kondycja życia społecznego. Jeśli zwrócimy uwagę na jednostkę, na osobę, a później na silną rodzinę oraz na rolę kultury, tradycji, religii w budowie narodu, to uzyskujemy szerokie, łączące różne podejścia spojrzenie.

A co z koncepcją synczyzny z „Trans-Atlantyku", która powstała w opozycji do ojczyzny?

Stawiamy pytanie, czy to, co otrzymujemy jako tradycja, to jest bagaż, ciężar, coś, co nas przytłacza, i co zrobić,

FOT. MARTA ANKIERSZTEJN

eprasa.pl 2b95f0

by trochę go zrzucić z ramion po to, żeby móc pójść do przodu. A może jednak jest to jakiś ekwipunek, który pozwala nam przetrwać w czasach próby? Naszym odbiorcom pozostawiamy pytanie, jak oni oceniają Gombrowiczowską polskość, oczywiście pamiętając o tym, że mamy do czynienia z autorem, który bawi się językiem, formą, i to też jest piękne, bo pozwala ponazywać wiele zjawisk. Sposób, w jaki o czymś mówimy, jest też sposobem, w jaki o czymś myślimy, tworzymy to, generujemy. I chyba taki dyskurs jest nam dziś potrzebny, gdy pewne hasła patriotyczne trochę tracą na wartości.

W jaki sposób udało się zrealizować zamierzenie, żeby w debatach wyjść od wydarzeń historycznych i odnieść je do współczesnych postaw?

Symbole na pewno są bardzo potrzebne, żeby w ogóle lepiej zrozumieć, co nas gdzieś pobudza, żeby wskazać na ważne elementy. Dla mojego pokolenie ogromne znaczenie miały słowa Jana Pawła II, że każdy powinien mieć swoje Westerplatte, za którymi stał mocny, czytelny symbol niezłomnej obrony. Gdy rozmawiamy dziś z młodymi ludźmi, okazuje się, że ten symbol przestał być zrozumiały, bo Westerplatte nie stanowi obecnie już tak ikonicznego obrazu. Dlatego oprócz poszanowania tych przeszłych symboli musimy się zastanowić, jakie nowe, czytelne znaki współcześnie chcemy budować i czy to musi być coś materialnego. Przykładem takiego nowego znaku może być 24 lutego 2022 r., który zaczął się kojarzyć z hasłem „solidarność", przypisanym wcześniej jednoznacznie do Sierpnia '80. Nie wiem, czy ten symbol się zakorzeni, ale wydaje się, że 24 lutego 2022 r. zapisał się w pamięci nie tylko w kontekście solidarności względem Ukraińców, lecz w ogóle jako fala, w której Polacy doświadczyli pewnej życzliwości także między sobą i wspólnego działania. Myślę, że to jest szalenie istotne, żebyśmy te kropki umieli połączyć.

Jak sytuacja za naszą wschodnią granicą wpłynęła na temperaturę debat? Dr Jarosław Kuisz z „Kultury Liberalnej" zauważył, że wybuch wojny na Ukrainie spowodował relatywizację konfliktów i sprawił, że różnice poglądów zajmują właściwe miejsce. Na to, co nas łączy, zwracał uwagę także prof. Jerzy Eisler z IPN. Czy rzeczywiście wojna wpłynęła na to, jak dziś ze sobą rozmawiamy?

Jakie miejsce kultura dialogu zajmuje w Centrum Myśli Jana Pawła II?

Zacznę od tego, że bardzo się cieszę, iż zło jest nazywane złem. Strona rosyjska długo próbowała używać takich eufemizmów jak „operacja specjalna", „aneksja" i jest to bardzo podobne do tego, co mieliśmy podczas II wojny światowej. Można coś nazwać „Anschlussem", można nazwać jakimś „parciem na Wschód", po to, żeby unikać jasnego nazywania zbrodni zbrodnią. Jestem dumny, że właśnie Polska, ale i Europa nie dały się zwieść, że mamy do czynienia wyłącznie z kwestią wewnętrznego sporu danego kraju, tylko w końcu wojna została nazwana wojną. Tego zabrakło wcześniej. Po 2014 r. byłem kilkakrotnie na Ukrainie, szkoląc ratowników medycznych. Wtedy też trwała wojna, ale cały czas było to na poziomie języka nienazwane, chociaż przecież tak samo, nawet jeśli na mniejszą skalę, ginęli ludzie, nie tylko żołnierze, lecz także ludność cywilna. To samo zafałszowanie językowe tyczy się pseudoreferendów. Tytuł naszej ostatniej debaty nawiązujący do słów hymnu: „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę, będziem Polakami..." przywołuje w mojej głowie wszystkie ukraińskie „rzeki", przez które przeszli uchodźcy i dotarli do Polski. Czy to nie jest również pewna symbolika? Nie chodzi o to, że Ukraińcy stali się Polakami, ale z pewnością stanowimy teraz inną wspólnotę dusz w Polsce i to nie jest kwestia tylko chwilowa. Wyniki badań pokazują, że wielu Ukraińców rozważa pozostanie. Wspieramy dążenia do ich samodzielności i o tej nowej wspólnocie w Polsce też musimy rozmawiać, bo to jest jakiś ewenement, jeśli chodzi o nasze doświadczenia i dlatego jako Centrum o to właśnie stawiamy pytania. Kultura dialogu, wspólne poszukiwanie odpowiedzi jest nam szczególnie bliskie.

Ważną częścią projektu „Dwa kolory – między buntem a posłuszeństwem" jest edukacja – odbywają się badania na temat patriotyzmu, powstają konspekty lekcji i wystawa. Autorzy projektu namawiają młodzież, by poszukała obok siebie „bohaterów codzienności", którzy kierują się dobrem ojczyzny w swoich codziennych wyborach, w swojej pracy. Czy spotkanie z takimi osobami zmienia myślenie młodzieży o patriotyzmie? I czy szkoła jest winna temu, że dla przeciętnego nastolatka temat „miłości ojczyzny" to raczej nuda?

Szkoła w ogóle nie powinna bać się emocji związanych z historią. Mam na myśli zarówno kontekst nowego przedmiotu historia i teraźniejszość, jak i pewną skłonność młodych ludzi właśnie do takiego emocjonalnego podejścia. Nie ukrywam, że dla mnie zarówno lektura „Krzyżaków", jak i postaci z powstania warszawskiego, m.in. Maria Stypułkowska-Chojecka, które stały mi się szczególnie bliskie, dzięki temu, że byłem w harcerstwie i mogłem je poznać osobiście, wiązały się z przeżywaniem niesamowitej dumy z minionych wydarzeń. I nawet jeśli między XV a XX w. była przepaść, to były to te wysepki, na których można było budować pewne zainteresowanie historią i poszerzać wiedzę. Jeśli ktoś kocha starożytny Egipt czy Rzym, to pozwólmy temu młodemu człowiekowi właśnie w taki sposób doświadczać historii i pokażmy, że podobne procesy zachodziły również czy to w innej części świata, czy w innym czasie. Bo historia się zmienia, zmieniają się granice państw, ale natura człowieka nie zmienia się aż tak bardzo. Szkoła z jednej strony powinna uczyć rozumowania przyczynowo-skutkowego, a z drugiej pokazywać, że pozostają pewne pytania, że prace historyków są pewną interpretacją faktów.

Czy możemy się spodziewać, że w okolicach 11 listopada nauczyciele zostaną wyposażeni przez Centrum Myśli Jana Pawła II w pakiet edukacyjny, z którego będą mogli skorzystać, by inaczej rozmawiać z uczniami o rocznicach, które od lat obchodzone są w szkołach w podobny sposób?

Na pewno nauczyciele zostaną wyposażeni w pewien pretekst do rozmowy. Wystawa w formule ready to print (do samodzielnego wydruku przez szkoły i instytucje), którą przygotowujemy, pokazuje – sięgając po nowoczesną, trochę komiksową estetykę – ważne momenty w historii, takie jak Konstytucja 3 maja, którą mogliśmy się cieszyć krótko i która w dużej mierze została niezrealizowana ze względu na rozbiory, ale pokazuje też wspomnianych współczesnych patriotów. W rękach dobrego nauczyciela wystawa może być cennym narzędziem, ale tego nauczyciela nie zastąpi, nie zastąpi dialogu. Potrzebujemy krytycznego myślenia, które może być realizowane tylko w grupie, w której spotykają się różne poglądy. My ten dialog w Centrum będziemy kontynuować, sięgając po różne formy i środki.

eprasa.pl 2b95f03724



RAFAŁ ŁATKA

Biuro Badań Historycznych IPN

W KRĘGU KLIO

Wydawnictwo Bellona z nową, ciekawą ofertą historyczną







- Simon Sebag Montefiore, „Romanowowie 1613–1918", przekł. Tomasz Fiedorek, Władysław Jeżewski, Warszawa 2022, Bellona
- Grzegorz Kucharczyk, „Hohenzollernowie. Władcy Prus", Warszawa 2022, Bellona
- Martyn Rady, „Habsburgowie", przekł. Maciej Antosiewicz, Warszawa 2022, Bellona



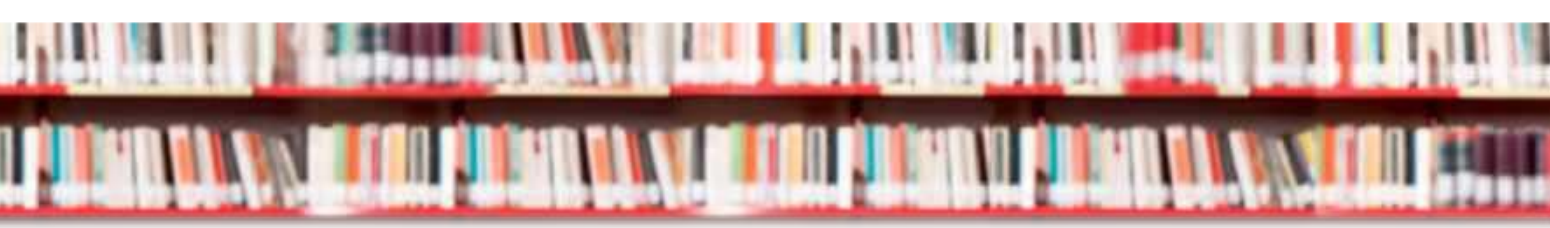
Kamil Janicki, Rafał Kuzak, Dariusz Kaliński, Aleksandra Zaprutko-Janicka, „Przedwojenna Polska w liczbach", Warszawa 2022, Bellona

Wydawnictwo Bellona jest znane chyba wszystkim miłośnikom historii w Polsce. Przez całe lata wydało ono wiele cennych pozycji dotyczących dziejów naszej ojczyzny oraz historii powszechnej. Były to zarówno opracowania polskich autorów, jak i tłumaczenia prac badaczy zagranicznych. Najbardziej znaną serią wydawniczą tej oficyny są „Historyczne bitwy", opisujące najważniejsze starcia zbrojne od starożytności do współczesności. W ostatnich latach aktywność Bellony w kręgu Klio nieco spadła, oferta była uboższa niż wcześniej. Sądząc jednakże po opracowaniach wydanych w 2022 r., nadchodzi w tym zakresie znacznie lepsza koniunktura. Chciałbym zwrócić uwagę Czytelników na najciekawsze w moim przekonaniu tytuły, które niedawno się tam ukazały i które z pewnością warto nabyć.

Jestem przekonany, że szczególnie seria trzech książek poświęconych bardzo znaczącym europejskim dynastiom: Romanowowów, Habsburgów i Hohenzollernów przypadnie czytającym do gustu. Wynika to z właściwego doboru autorów tych opracowań oraz starannie przygotowanych przekładów (co w wielu wydawnictwach niestety nie jest standardem). Obok tematyki można zauważyć inne cechy wspólne publikacji Simona Sebaga Montefiorego, Grzegorza Kucharczyka i Martyna Rady'ego. Każda z nich nie ogranicza się do opisania historii politycznej wymienionych rodów, ale zawarta jest w nich znacznie szersza refleksja. Obejmuje życie codzienne, wkład w kulturę i sztukę, a nawet opis kreowania mitów związanych z dziejami poszczególnych dynastii.

Najciekawszą z wymienionych pozycji wydaje się książka dotycząca Romanowowów. Wynika to z bardzo plastycznego stylu narracji, stopnia szczegółowości ustaleń oraz głębokości ujęcia tematu przez Montefiorego. Jego opracowanie detalicznie odtwarza relacje personalne panujące w tej rosyjskiej rodzinie, pokazuje w interesujący sposób „kuchnię władzy", a także wpływ poszczególnych decyzji na ludność państwa carów. Brytyjski historyk wykorzystał w swojej pracy olbrzymią liczbę dokumentów źródłowych, dotarł do materiałów archiwalnych dotychczas niewykorzystanych i sprawnie opisał ponad 300 lat rosyjskiej historii.

Równie interesująca jest książka prof. Kucharczyka o Hohenzollernach. Poznański badacz specjalizujący się



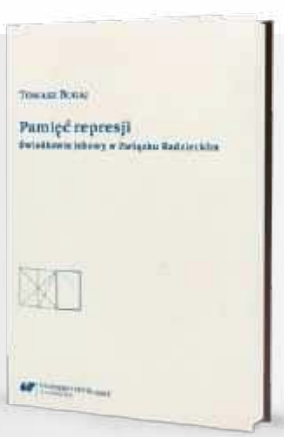
eprasa.pl 2b95f03724

w XIX w. i dziejach Niemiec szczegółowo opisał ciekawą drogę do władzy dynastii brandenburskiej. Umiejętnie ocenił wkład w budowę najpierw Prus, a następnie II Rzeszy Niemieckiej przez ród, który u swoich początków nie miał poważniejszego znaczenia. Wiele miejsca (i słusznie) poświęcił konfliktom rodzinnym, a także relacjom Hohenzollernów z szeroko rozumianą I Rzecząpospolitą. W tym drugim aspekcie trafnie zauważył, że późniejsza potęga rodu wynikała w zasadniczej mierze z umiejętności wykorzystywania słabości polskiego państwa. Rzecz jasna Kucharczyk opisał również, w jaki sposób Fryderyk Wilhelm, zwany wielkim elektorem, i jego następcy zbudowali zdyscyplinowaną armię oraz sprawny aparat administracyjny. Ważnym uzupełnieniem są zamieszczone na końcu książki wskazówki bibliograficzne, zawierające odniesienia do cennych prac mogących pogłębić wiedzę Czytelników na temat rozmaitych aspektów historii brandenburskiego domu.

Stosunkowo najmniej pogłębione i szczegółowe jest opracowanie Martyna Rady'ego. Najmniej ciekawe są pierwsze rozdziały pracy poświęcone początkom rodu habsburskiego. Narracja jest chaotyczna i mało przemyślana. Kolejne partie książki są już jednak znacznie ciekawsze, dotyczy to szczególnie rozważań o Karolu V – twórcy potęgi tej dynastii. Szczególnie warte lektury są fragmenty opisujące kolejne mariaże i układy dynastyczne, gdyż to one miały największe znaczenie w budowie imperium Habsburgów, które zajmowało bez mała połowę Europy. Równie wiele uwagi Rady poświęcił opisowi dziejów rodu w XIX i XX w., ze szczególnym uwzględnieniem Franciszka Józefa I i zbudowanego przez niego systemu politycznego. Widać pewną sympatię autora do cesarza, ale na szczęście nie przekłada się ona na obiektywizm oceniania posunięć tego monarchy. Wydaje się jednak, że schyłek imperium habsburskiego powinien zostać znacznie szerzej opisany. Bardzo mało tu rozważań dotykających I wojny światowej, która doprowadziła do utraty władzy przez dynastię Habsburgów.

Przyglądając się ofercie wydawniczej Bellony, warto zakupić uzupełnione wydanie książki „Przedwojenna Polska w liczbach". Czwórka autorów tego opracowania dokonała zabiegu, który tylko pozornie jest prosty, tzn. za pomocą liczb przedstawiła, jak wyglądała polska rzeczywistość społeczno-polityczna w latach 1918–1939. Tego typu ujęcie jest oryginalne, gdyż wcześniej żaden z polskich historyków nie przyjął tego rodzaju metody, a jest ona cenna, bo przyniosła ciekawe wyniki. Najważniejszym osiągnięciem tej książki jest zaprezentowanie dziejów II RP w syntetyczny, przekrojowy, a równocześnie całościowy sposób. Wydaje się, że takie podejście jest szczególnie cenne dla studentów, którzy mogą łatwo nabyć podstawową wiedzę na temat realiów odrodzonego po I wojnie światowej polskiego państwa. Warte podkreślenia jest to, że książka zawiera informacje na temat życia społecznego, politycznego, kulturalnego, a także dobrze przybliża niełatwą codzienność obywateli II RP.

Spośród nowości wydawniczych Bellony warto zwrócić uwagę również na nowe wydania klasycznych dzieł Richarda Pipesa o historii Rosji. W tym roku ukazały się już „Rosja carów" i „Czerwone imperium. Powstanie Związku Sowieckiego", zaś w zapowiedziach wydawniczych znalazła się „Rosja bolszewików", czyli najlepsze chyba opracowanie tej problematyki.



Tomasz Bugaj, „Pamięć represji. Świadkowie Jehowy w Związku Radzieckim", Katowice 2021, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego

Badania nad pamięcią stale się rozwijają w polskiej refleksji naukowej. Jeszcze kilka lat temu tego rodzaju problematyką zajmowało się zaledwie kilku badaczy i to licząc specjalistów z wielu dziedzin nauki. Dzisiaj jest pod tym względem znacznie lepiej – zarówno z uwagi na szerokość zainteresowań badawczych, jak i liczbę historyków, socjologów czy politologów, którzy są w stanie w interesujący sposób przedstawić niepodejmowane wcześniej zagadnienia. Najlepszym pod tym względem przykładem jest książka Tomasza Bugaja, który pochylił się nad pamięcią represji sowieckich na świadkach Jehowy zamieszkujących Związek Radziecki. Wśród najważniejszych wniosków, jakie płyną z książki „Pamięć represji", należy wskazać przede wszystkim na kluczową konstatację, że to żarliwa religijność pozwoliła przetrwać świadkom Jehowy okrutne sowieckie represje. Inaczej niż w przypadku wielu innych wyznań ich wiara umacniała się w czasie deportacji i podczas późniejszego pobytu w łagrach. Nie łamało jej także okrucieństwo współwięźniów, którzy potrafili dla przyjemności znęcać się nad przedstawicielami tego wyznania. Oprócz przedstawienia, niejednokrotnie w sposób dość szczegółowy, konkretnych przejawów antyreligijnej działalności aparatu sowieckiego państwa, za niezwykle interesujące uważam omówienie nowej codzienności zesłańców. Recenzowana książka umiejętnie łączy refleksję historyczną opartą na zebranych świadectwach z analizą wierzeń religijnych, które miały kluczowe znaczenie dla przebiegu opisywanych wydarzeń. Bugaj był w stanie rzetelnie ocenić, jak głęboko światopogląd świadków Jehowy wpłynął na ich postawy, i wyciągnął z tego interesujące wnioski badawcze. Wyraźnie widać życzliwe zrozumienie badacza dla opisywanej wspólnoty, która jednakże nie wyprowadzała go poza naukowe ramy badań. Sądząc po wynikach, jakie osiągnął, była to z pewnością najlepsza dostępna metoda – i przyniosła ciekawe efekty.

REKLAMA



9/0222/F

eprasa.pl 2b95f03724

Rafał Łatka rozmawia z...

...KS. DR. JAROSŁAWEM WĄSOWICZEM, autorem książki „Defensor Ecclesiae. Arcybiskup Antoni Baraniak (1904–1977). Salezjańskie koleje życia i posługi metropolity poznańskiego”



Księże doktorze, postać abp. Antoniego Baraniaka jest coraz bardziej rozpoznawalna wśród Polaków, do czego przyczyniają się również historycy eksplorujący jego biografię. Jakie nowe wątki porusza ksiądz książka?

Ks. dr Jarosław Wąsowicz: Abp Baraniak doczekał się już wielu opracowań. Jego salezjańska biografia jest kolejnym, ale pokazującym go z zupełnie innej perspektywy badawczej. Jest również, jak się wydaje, obrazem systematyzującym dotychczasową wiedzę na temat życia i działalności metropolity poznańskiego, przede wszystkim zaś wprowadza do obiegu naukowego zupełnie nowe ustalenia, zwłaszcza związane z jego salezjańskim okresem życia oraz relacjami, jakie utrzymywał ze zgromadzeniem po przyjęciu sakry biskupiej. Pokazuje bardzo wyraźnie wpływ, jaki na decyzje abp. Baraniaka, kiedy stanął już na czele archidiecezji poznańskiej, miała jego formacja salezjańska. Z tych wszystkich powodów niniejsze opracowanie wydaje się dziś najpełniejszą biografią niezłomnego hierarchy.

Jak bardzo wpłynął abp Baraniak na los Kościoła w Polsce?

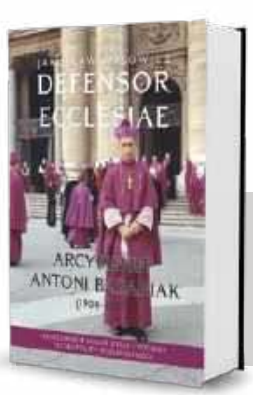
Należał do najważniejszych postaci w polskim episkopacie w XX w. Wielu historyków, zajmujących się badaniami nad dziejami Kościoła w PRL, podziela opinię, że niezłomna postawa sufragana gnieźnieńskiego w czasie, kiedy więziony był na Rakowieckiej w Warszawie, wpłynęła na to, że komuniści ponieśli klęskę w starciu obliczonym na skompromitowanie prymasa kard. Wyszyńskiego – nie udało się wytoczyć mu planowanego procesu pokazowego. Kiedy w latach 1953–1956 przyszły metropolita poznański cierpiał za wiarę, kard. Wyszyński, przebywając wówczas w odosobnieniu, potrafił to cierpienie swojego sufragana i wielu innych ludzi Kościoła przekuć w charyzmatyczne zwycięstwo nad systemem zła poprzez zaplanowanie duchowego odrodzenia narodu w ramach 1000-lecia chrztu Polski i gorliwą modlitwę.

Jak ważne w jego sylwetce duchowej były wartości salezjańskie?

Nie sposób zrozumieć postawy abp. Antoniego Baraniaka, jego życiowych wyborów i kierunków podejmowanych inicjatyw, aktywności w kierowaniu najstarszą archidiecezją w Polsce, bez pochylenia się nad środowiskiem, które go ukształtowało. Z rodzinnego domu wyniósł formację religijną i patriotyczną, konsekwencję i upór w dążeniu do celu, niezwykłą wręcz pracowitość – te cechy charakteru pogłębił w zgromadzeniu salezjańskim. Był z nim bezpośrednio związany na pierwszych czterech etapach historii salezjanów na ziemiach polskich. Ze zgromadzeniem salezjańskim związał się w 1917 r., rozpoczynając naukę w szkole w Oświęcimiu, natomiast w 1920 r. wstąpił do nowicjatu i pozostał salezjaninem do momentu przyjęcia sakry biskupiej w 1951 r. Został doskonale przygotowany przez zgromadzenie do pełnienia odpowiedzialnych zadań w Kościele zarówno w kwestii formacji intelektualnej, jak i duchowo-ascetycznej, poprzez takie, a nie inne decyzje przełożonych względem jego osoby. Był człowiekiem bardzo dobrze wykształconym, posiadał dwa doktoraty, biegle znał języki łaciński, włoski, francuski i niemiecki, swobodnie w tych językach przemawiał, prowadził korespondencję czy też publikował. Poprzez studia w Rzymie zdobył szerokie kontakty, zwłaszcza z salezjanami, dosłownie z całego świata. Poza tym miał okazję poznać się ze wszystkimi tymi przedstawicielami polskiego duchowieństwa diecezjalnego i zakonnego odbywającymi równolegle studia, którzy w późniejszych latach odegrali ważną rolę na wielu płaszczyznach życia kościelnego w Polsce. Z kolei jako młody kapłan pełniący funkcję sekretarza, a również kapelana, prymasów Augusta Hlonda i Stefana Wyszyńskiego, znalazł się w centrum najważniejszych wydarzeń z życia Kościoła w Polsce, w trzech zupełnie różnych kontekstach historycznych: w kraju odradzającym się po wielu latach niewoli, w doświadczeniu okupacyjnym i w zupełnie skrajnie nieprzychylnej Kościołowi powojennej rzeczywistości.

Czy są jeszcze wątki w biografii bohaterskiego biskupa, które wymagają zbadania?

W przyszłości warto bardziej szczegółowo zająć się posługą metropolity na terenie archidiecezji poznańskiej, porządkując tym samym dotychczasowe ustalenia i uzupełniając je o wątki mniej dotychczas rozwinięte w naukowych opracowaniach mu poświęconych. Ten okres życia i działalności abp. Baraniaka, może się okazać atrakcyjnym obszarem badawczym nie tylko dla historyków, lecz również teologów, wreszcie politologów czy socjologów.



Ks. dr Jarosław Wąsowicz, „Defensor Ecclesiae. Arcybiskup Antoni Baraniak (1904–1977). Salezjańskie koleje życia i posługi metropolity poznańskiego”, IPN, Warszawa 2022

FOT. KAROL PORWICH/EAST NEWS

Said na Kaukazie



ELŻBIETA BRZOZOWSKA

Gdyby zrobić ankietę z pytaniem, czy Rosja to mocarstwo kolonialne, możliwe, że rezultat jej okazałby się zaskakujący.

Tak dalece w powszechnym wyobrażeniu kolonializm wiąże się z zamorskimi posiadłościami mocarstw zachodnioeuropejskich, że myśl odruchowo biegnie ścieżką geograficzną, z dala od charakteru zaprowadzanych na podbitych ziemiach rządów i przyświecających im celów. A przecież Rosja niewątpliwie była mocarstwem kolonialnym, choć w odróżnieniu od Anglii czy Francji nie dość, że na całym przedsięwzięciu nie zarabiała, to do niego dopłacała – ot, taki talent administracyjny. I o tych właśnie celach oraz naturze rosyjskiego kolonializmu w zderzeniu z tożsamością górali kaukaskich pisze Austin Jersild w swej świetnej pracy. Opisuje, jak aspirująca do miana oświeconej, nowoczesnej monarchii Rosja chciała, by jej podboje kojarzyły się nie z twierdzami typu Groznyj, ale placówkami europejskiej kultury, wyprowadzającymi miejscową ludność ze stanu dzikości. Misję swą Imperium widziało w niesieniu własnej wersji postępu zacofanym ludom „okrain" i troskliwym wyzwalaniu ich od barbarzyńskich naleciałości islamu. I tu pora, by wspomnieć o Gruzji, której położenie w „rowie tektonicznym wzdłuż wielkich uskoków cywilizacji chrześcijaństwa i islamu" było źródłem wrogości wobec muzułmańskich sąsiadów. Warto tu przypomnieć za Jersildem o studiowanym z zapałem przez rosyjskich kolonizatorów francuskim micie kabylskim, czyli kolonialnej opowieści o berberyjskich autochtonach, którzy dzielnie opierali się arabskim najeźdźcom i ich religii, a w swych niedostępnych górskich szańcach przechowywali wspaniałe dziedzictwo rzymskiej Afryki.

Nader pożyteczne jest posłowie Jersilda, wykazujące dobitnie, że epoka sowiecka odziedziczyła po tej carskiej politykę zmienną i pełną sprzeczności – tu represje i wysiedlenia, tam promowanie lokalnych kultur i literatury. Jednak tym, co przyswoiła najlepiej, była tradycja brutalnych pacyfikacji i deportacji.

Potężną wartością polskiego wydania są z kolei teksty Jerzego Rohozińskiego – tłumacza oraz doskonałego znawcy Rosji i Kaukazu, który we wstępie objaśnia pożytki z „wydestylowanej" przez Jersilda na potrzeby tej książki kategorii orientalizmu i wspomina nieobecne wątki polskie, zaś w posłowiu wyprowadza refleksję o destabilizującej naturze Rosji, a data, jaka pod tym tekstem widnieje – 24 lutego 2022 r. – staje się gorzkim memento. ■



Austin Jersild, „Orientalizm po rosyjsku. Górale Kaukazu Północnego i pogranicze gruzińskie, 1845–1917", tłum. Jerzy Rohoziński, Państwowy Instytut Wydawniczy 2022

Zmiany, zmiany



GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

Historia zmian polskich granic na przestrzeni dziejów to temat bardzo rozległy, zawierający w sobie wiele wątków i szczegółowych zagadnień. Niejeden dorosły ma problem ze zrozumieniem wszelkich zawiłości związanych z tym procesem, a co dopiero młody, nieznający szerokiego kontekstu historycznego człowiek. A to właśnie w jego głowie pojawiają się pytania, na które czasem trudno znaleźć prostą i łatwą odpowiedź.

Najnowsza publikacja Muzeum Historii Polski – książka Mariusza Kliszewskiego „Polskie ziemie. Historia o tym, jak nasza ojczyzna zmieniała kształt"– pomoże młodym i dociekliwym czytelnikom znaleźć rozwiązania nurtujących ich zagadnień.

Opowieść o polskich ziemiach zaczyna się od czasów Mieszka I, a kończy opisem powojennego kształtu Polski. Pomiędzy poznajemy najważniejsze postaci polskich dziejów i wydarzenia, które miały wpływ na zmiany granic państwowych, chociażby takie jak: rozbicie dzielnicowe Polski, unia polsko-litewska, rozbiory czy odzyskanie niepodległości w 1918 r. Każdy znaczący etap ilustrowany jest odpowiednią mapą z przystępną legendą. Obok map umieszczono podsumowanie zatytułowane „W krótkich słowach", zbierające kluczowe informacje. Co ważne, przy każdej mapie znajduje się wzmianka o tym, kto w danym momencie historycznym był naszym sąsiadem. Dociekliwy czytelnik może sprawdzić, z kim sąsiadowaliśmy najczęściej, a z kim rzadziej. W książce nie brakuje ilustracji źródłowych, ciekawostek i anegdot. Znalazło się tu także miejsce na komentarze i wyjaśnienia najważniejszych pojęć. To, co istotne, jest w tekście podkreślone kolorami. Język opowieści jest odpowiedni dla młodego odbiorcy. Wielokrotnie pojawia się w nim dialog postaci historycznych, co wprowadza ożywienie do tych nieco skomplikowanych treści.

Książka Kliszewskiego to pierwsza pozycja z serii, która powstała jako wynik konkursu literackiego „40 pokoleń". Z założenia miała ona być propozycją do wspólnej rodzinnej lektury. Nie bez powodu więc wyglądem przypomina album – format ten pozwala na wspólne jej oglądanie i czytanie. To na pewno dobra propozycja na wprowadzenie dziecka w problem zmian geopolitycznych i na późniejszą rozmowę o tym, dlaczego zmieniają się granice państw i kto lub co może mieć na to wpływ. ■



Mariusz W. Kliszewski, „Polskie ziemie. Historia o tym, jak nasza ojczyzna zmieniała kształt", Muzeum Historii Polski, 2022, wiek 6+

eprasa.pl 2b95f03724

PIUS XII I ŻYDZI W ŚWIETLE WATYKAŃSKICH ARCHIWÓW



OTO NA POLSKIM RYNKU WYDAWNICZYM POJAWIŁA SIĘ PIERWSZA KSIĄŻKA OPARTA O ODTAJNIONE W 2020 r. ARCHIWA WATYKAŃSKIE Z CZASÓW II WOJNY ŚWIATOWEJ



PAWEŁ SKIBIŃSKI

Fakt udostępnienia do badań historyków materiałów z Tajnego Archiwum Watykańskiego z okresu pontyfikatu Piusa XII, co nastąpiło w lutym 2020 r., z pewnością otworzył przed badaczami XX w. zupełnie nowe możliwości. Dostęp do tych materiałów umożliwił m.in. powstanie nowej publikacji, która obecnie trafiła także do rąk polskiego czytelnika, na temat stosunku Piusa XII do II wojny światowej, a w szczególności do zagłady ludności żydowskiej. Rzecz została napisana przez prominentnego watykańskiego archiwistę – pochodzącego z Belgii Johana Ickxa, a więc jedną z najbardziej kompetentnych osób, jeśli chodzi o znajomość XX-wiecznych archiwaliów papieskich. Belgijski archiwista pełnił bowiem przez wiele lat funkcję kierownika Archiwów Historycznych Watykańskiego Sekretariatu Stanu.

Tematyka książki Ickxa jest niezwykle istotna, zarówno z moralnego, jak i naukowego punktu widzenia, dotyczy bowiem kwestii postawy nie tylko samego Ojca Świętego, lecz i całego Kościoła katolickiego wobec II wojny światowej, wobec działań Niemiec hitlerowskich oraz wobec zagłady Żydów, dokonanej przez Hitlera i jego sojuszników. Opracowanie belgijskiego archiwisty wpisuje się więc w żywą polemikę podtrzymywaną od kilku już dekad przede wszystkim przez dwa środowiska historyczne – badaczy zagłady Żydów, którzy zazwyczaj zajmują stanowisko krytyczne (niekiedy wręcz napastliwe) względem Piusa XII, oraz badaczy dziejów najnowszych Kościoła katolickiego, wśród których można znaleźć zarówno krytyków, jak i apologetów papieża.

Siła czarnej legendy

Trzeba dodać, że w swej książce Ickx zajmuje bez wątpienia stanowisko życzliwe wobec Ojca Świętego. We wstępie do „Biura…" zaznacza on, że nie konfrontuje się jedynie z opiniami – mniej lub bardziej obiektywnych kolegów po fachu – ale także z utrwalonymi przez pół wieku konsekwencjami skierowanej przeciwko Piusowi XII kampanii dyfamacyjnej zainicjowanej jeszcze w pierwszej połowie lat 60. XX w. przez sowieckie służby specjalne. Kampanii, której symbolem stała się powstała z inspiracji sowieckich szpiegów sztuka teatralna znanego lewicowego pisarza Rolfa Hochhutha pt. „Namiestnik". Sztuka ta rzekomo miała przecież wykorzystywać watykański materiał archiwalny. Dodajmy, że skutki tej kłamliwej kampanii były podtrzymywane i wykorzystywane w ciągu kolejnych dekad także przez inne środowiska, niekoniecznie związane z komunistyczną Moskwą. Ickx nawet twierdzi, że ta kampania wyznaczyła powszechnie obowiązujący sposób myślenia kolejnych pokoleń na temat osoby Piusa XII i jego stosunku do II wojny światowej.

Johan Ickx stara się odpowiedzieć na to dziedzictwo kłamstwa, wprowadzając do obiegu naukowego, ale i publicystycznego, nowe, odtajnione niedawno archiwalia. Autor jest w tej mierze – przypomnijmy jeszcze raz – niezwykle kompetentny, bowiem jako watykański archiwista miał dostęp do tego materiału archiwalnego od wielu lat – jest więc potencjalnie najlepszym bodaj znawcą jego zawartości i jego wypowiedzi mają poważny ciężar gatunkowy.

„Biuro…" zostało napisane w stylu raczej popularno-naukowym niż charakterystycznym dla akademickich rozważań. Książka zbliża się stylistycznie raczej do

FOT. MICHAEL PITCAIRN/STORIENAPOLI.IT

eprasa.pl 2b95f03724

reportażu historycznego, choć autor zdecydował się zachować w tekście podstawowy aparat krytyczny (przede wszystkim przypisy bibliograficzne). W poruszanej przezeń tematyce jest to bardzo ważne, bowiem nie można sobie pozwolić – w tym stanie napięcia polemicznego wokół poruszanych przez siebie kwestii – na zarzut gołosłowności. Nie jest to mój najbardziej ulubiony sposób narracji historycznej, ale wydaje się odpowiadać wrażliwości współczesnego czytelnika, zwłaszcza takiego, który nie jest specjalistą historykiem.

Kościół czasu wojny po nowemu

Sednem książki jest działalność tytułowego biura, a więc osobistego sekretariatu papieża Piusa XII. Opisywana jednak jest ona przez pryzmat całej serii luźno związanych ze sobą historii ludzkich – dziejów osób, takich jak ks. Jerzy Moskwa, jezuita obrządku wschodniego, działający podczas wojny na terenie okupacji sowieckiej i przesyłający informacje na temat katolików w ZSRS do Rzymu, który został zamordowany przez sowieckie władze w lipcu 1941 r.

Książka w znacznej mierze ma dotyczyć zagadnień nieoficjalnej watykańskiej sieci informacyjnej, która miała działać na terenie Niemiec, Włoch i krajów Europy Południowej. Jest to poważne novum, choć pewne zapowiedzi mieliśmy już np. w publikacjach w rodzaju „Kościół szpiegów" Marka Rieblinga (polskie wydanie – 2016 r.).

Wiele uwagi Ickx poświęca też realiom okupowanej Europy i stanowi wiedzy na ich temat Ojca Świętego oraz jego otoczenia. Najważniejszą kwestią jest oczywiście pomoc udzielana przez Watykan – a szerzej przez Kościół katolicki – Żydom, prześladowanym i eksterminowanym przez Niemców.

W swoich opowieściach Ickx broni papieża, ukazując wielokrotnie jego ogromną wrażliwość na los prześladowanych Żydów, a także wierność ideałom chrześcijańskim, których realizacja wpisana jest przecież w posłannictwo każdego następcy św. Piotra. Niekiedy ucieka się do konfrontowania postawy papieża z wrażliwością oraz opiniami innych duchownych i ludzi Kościoła, którzy prezentują „bardziej archaiczny", tzn. mniej życzliwy, stosunek do Żydów. W ten sposób autor „Biura..." nie ucieka od faktu, że nie wszyscy katolicy stanęli moralnie na wysokości zadania w tym tragicznym momencie dziejów świata, a także stara się podkreślić zasadnicze znaczenie i wymiar postawy samego Piusa XII – jak dowodzi Ickx – jednoznacznie wspierającego prześladowanych Żydów.

Belgijski archiwista nie ma ambicji dania uporządkowanego i spójnego wykładu na temat bardzo trudnych zagadnień poruszanych przezeń na kartach jego książki. Nie można więc powiedzieć, że po Ickxie nie przydałyby się bardziej spójne i wyczerpujące publikacje na temat losów Kościoła powszechnego podczas II wojny światowej i jego stosunku do eksterminacji Żydów przez niemieckich nazistów.

Realia na wschodzie Europy

Oczywiście nie jest to książka pozbawiona słabości. Niestety odciska się na jej treści fakt, że jej autor jest historykiem wychowanym w sercu Europy Zachodniej, a więc naturalnie mniej wiedzący o tym, co naprawdę działo się podczas II wojny światowej na wschód od granic III Rzeszy. Po bliższej lekturze książki Ickxa można mieć bowiem poważne wątpliwości, czy autor zna i rozumie w szczegółach niektóre aspekty realiów politycznych i kościelnych Polski oraz Europy Środkowej i Wschodniej.

Garść przykładów, które z pewnością nie wyczerpują listy tego rodzaju potknięć u Ickxa. Znajdujemy np. w jego tekście mylącą uwagę na temat ks. Zygmunta Kaczyńskiego – ministra rządu na uchodźstwie i ważnego polityka chrześcijańsko-demokratycznego, a przed wojną twórcy katolickiej agencji prasowej, który zostaje przez autora określony jako polski kapelan wojskowy.



Johan Ickx, „Biuro papieża. Pius XII i Żydzi", przekład Grażyna Majcher, Państwowy Instytut Wydawniczy 2022

Wspomniany już przeze mnie ks. Moskwa rozstrzelany został w lipcu 1941 r., autor jednak nie zwraca uwagi, że został on zamordowany przez Sowietów w chwili likwidacji więzień, zagrożonych ogarnięciem przez wkraczających na ziemie ukraińskie Niemców, a jest to oczywiste dla każdego Polaka elementarnie znającego realia pierwszej okupacji sowieckiej.

W innym miejscu mamy tyradę autora skierowaną przeciwko ks. Armando Lombardiemu jako antysemicie, która jednak nie uwzględnia w poważniejszym stopniu kluczowego faktu (zaznaczonego zresztą przez autora), że wygłoszona przez ks. Lombardiego opinia krytyczna wobec Żydów (a konkretnie ich wdzięczności za okazaną przez Kościół pomoc) została sformułowana na ponad rok przed rozpoczęciem Holokaustu przez władze niemieckie.

W jeszcze innym fragmencie mamy do czynienia z jednoznacznym potępieniem przez Ickxa tych spośród katolików, którzy przyjmowali pieniądze od ukrywających się u nich Żydów. Nie roztrząsa on jednak, czy pieniądze te miały pokryć niezbędne wydatki związane z pobytem rodzin żydowskich w chrześcijańskich domach, czy były rodzajem nieuprawnionego zarobku dla udzielających schronienia, a przecież – wszyscy zdajemy sobie sprawę – że moralnie są to dwie zasadniczo różne sytuacje.

Tego rodzaju niezręczności i uproszczenia, charakterystyczne dla wielu zachodnich historyków, mogą niekiedy irytować polskiego czytelnika, ale nie ulega wątpliwości, że mimo tych krytycznych uwag „Biuro..." na pewno przynajmniej z kilku powodów jest książką rzeczywiście istotną.

Po pierwsze, ze względu na swoją tematykę książka Ickxa wpisuje się w najbardziej aktualne polemiki historiograficzne wokół ważnych kwestii dotyczących oceny dziejów najnowszych Kościoła katolickiego, zagłady Żydów, II wojny światowej w ogóle i poważnie poszerza naszą wiedzę na ten temat. Po drugie, zwraca uwagę ze względu na osobę swego autora, którego postać gwarantuje dostęp do dotąd nieznanych szerokiej publiczności informacji. Po trzecie, wreszcie ze względu na dostępny dla szerokiego kręgu czytelników styl książki. Można więc tylko wyrazić wielkie zadowolenie, że została ona wydana przez Państwowy Instytut Wydawniczy.

eprasa.pl 2b95f03724

GÓRNA PÓŁKA

Na podbój Danii



ANTONI DUDEK

W końcu lat 60. zbudowano na terytorium Polski trzy ściśle tajne bazy wojskowe, których prawdziwe przeznaczenie znało zaledwie 12 oficerów Wojska Polskiego. Wszystkie zlokalizowano w północno-zachodniej części kraju: największą pod Białogardem, a dwie pozostałe w okolicach Trzemeszna Lubuskiego i Jastrowia. Dlaczego właśnie tam? Bo stamtąd polskie oddziały w ramach tzw. Frontu Nadmorskiego miały wyruszyć na podbój północnych Niemiec Zachodnich oraz Danii. A w bazach miano przechowywać przekazane przez sowieckich sojuszników głowice nuklearne, z pomocą których polscy żołnierze mieli zrealizować przygotowane na Kremlu plany.

Historia powstania tych baz to jeden z wielu wątków pionierskiej książki Jarosława Pałki o roli, jaką nasza armia miała odgrywać w Układzie Warszawskim. Na podstawie zachowanych w Polsce dokumentów z czasów PRL, a także wielu innych źródeł, odtworzył on kolejne, powstające już od początku lat 50. plany podboju Europy Zachodniej. Wyłania się z nich tyleż absurdalny, co apokaliptyczny obraz planowanego konfliktu. Absurdalny, bo sowieccy i polscy sztabowcy w kolejnych planach skracali coraz bardziej czas, jaki miał być potrzebny naszym wojskom na dotarcie do Kopenhagi czy Amsterdamu. O ile jeszcze za późnego Stalina były to trzy tygodnie, o tyle już w czasach Breżniewa ów blitzkrieg miał trwać zaledwie sześć dni. Apokaliptyczny zaś, bo z każdym kolejnym planem rosła liczba uderzeń jądrowych, jakich zamierzano dokonać, a zarazem jakich spodziewano się ze strony państw NATO.

Dla przykładu podczas gry wojennej o kryptonimie Szaniec '79 przewidywano, że na terytorium Polski dojdzie do ok. 400 ataków nuklearnych ze strony NATO, na co zamierzano odpowiedzieć o połowę mniejszą liczbą uderzeń, tyle że o większej sile rażenia. A jak szacowano straty w ludziach? W przypadku Polski na 3,5 mln ludzi, co wydaje się liczbą znacząco zaniżoną.

O ludziach, którzy to wszystko wymyślali, najwięcej chyba mówi przytoczona przez Pałkę relacja gen. Tadeusza Tuczapskiego, który wspomina, jak w połowie lat 80. zaproponował gen. Wojciechowi Jaruzelskiemu wyasygnowanie nadzwyczajnych środków na budowę „porządnego bunkra", w którym miało się znaleźć miejsce dla 100 mężczyzn „z prawdziwego zdarzenia" i 200 kobiet, aby „mogli odbudować naród polski". ■



Jarosław Pałka, „Polskie wojska operacyjne w Układzie Warszawskim", IPN, Warszawa 2022

POLSKIM OKIEM

Zapiski z Libanu



RYSZARD CZARNECKI

Jestem w tym pięknym – ale z historią dramatem pisanym – kraju po raz drugi. Spotykam się z politykami: ojciec „X" zginął w zamachu, dziadek „Y" zginął w zamachu, brat „Z" zginął w zamachu. Na tym tle polityka w Polsce to bezpieczny zawód.

Na libańskim terytorium funkcjonuje 12 obozów z palestyńskimi uchodźcami. Oficjalnie jest tam 475 tys. ludzi, jednak spis z 2019 r. wykazał liczbę niemal trzykrotnie mniejszą: 175 tys. Reszta? Pracuje często już... za granicą – w Katarze czy Arabii Saudyjskiej. A w obozach rządzą milicje radykalnego muzułmańskiego Hamasu.

W samym Libanie istotną siłą polityczną i społeczną jest ultraislamski Hezbollah. Ta „partia Boga" („partia Allaha") ma tu własną sieć w zasadzie darmowych szpitali i tanich aptek. Biedota muzułmańska wie, komu ma być wdzięczna. To ludzie właśnie Hezbollahu strzegą międzynarodowego lotniska w Bejrucie, a także opanowali straż graniczną kraju.

Liban jest jak Armenia: większość narodu mieszka poza granicami kraju. Poza nim żyje 14 mln Libańczyków, w samym Libanie jest ich 5 mln. Libańczycy to naród kupców, a dziś także inwestorów. W Afryce Zachodniej libańscy szyici zajęli się diamentami w Liberii i Sierra Leone oraz egzotycznym drewnem w Kamerunie i Gabonie, natomiast w Ghanie mają złoża ropy naftowej. Są też obecni w Ameryce Łacińskiej, zwłaszcza w Brazylii i Argentynie, ale też w Wenezueli i Urugwaju.

To państwo opiera się o konsensus religijny między chrześcijanami a muzułmanami, a ściślej w trójkącie, który często bywa Trójkątem Bermudzkim: wyznawcy Chrystusa–sunnici–szyici. Ciekawe, że najwięcej ateistów jest wśród... szyitów, wśród sunnitów są to pojedyncze osoby, wśród chrześcijan – zero. Może warunki pełzającej wojny religijnej powodują, że wśród chrześcijańskiej mniejszości wiara traktowana jest śmiertelnie [sic!] poważnie?

Dahye – to islamska dzielnica Bejrutu. Państwo w państwie. A przecież na tę ziemię pierwsi chrześcijanie przybyli w IV w. po Chrystusie. Sydon, Syr, Byblos, pustynie i góry – tam wszędzie byli. To dlatego przychodzą tu pielgrzymki z całego chrześcijańskiego świata. Zwłaszcza z Polski. W ostatnim roku przed pandemią takich pielgrzymek z Polski było tu 40, w 2022 r. przyjedzie z naszego kraju kolejnych 12 grup pielgrzymkowych – ludzi mających szacunek dla tradycji oraz korzeni swojej wiary i jej współwyznawców. ■

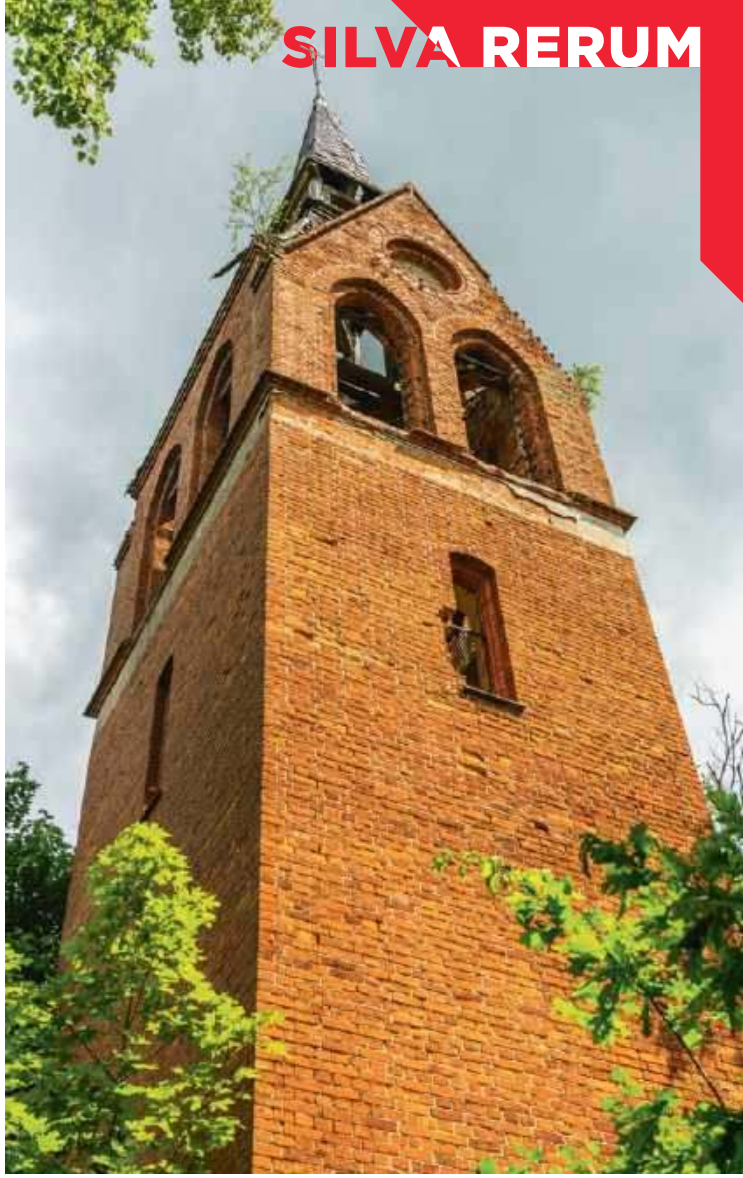
eprasa.pl 2b95f03724

RUINA MAŁEJ OJCZYZNY

MAZURY NIEZMIENNIE ZASKAKUJĄ. OD POMNIKA CHRZTU POLSKI DO RESZTEK KOŚCIOŁA OCALAŁEGO NA TERENIE DAWNEGO POLIGONU



ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI



Tego lata, przemierzając na rowerze mazurskie lasy, trafiłem do krainy Omulwi (od przepływającej tamtędy rzeki Omulew). Tuż przy brodzie umożliwiającym przedostanie się na drugi brzeg natknąłem się na niewielki pomnik z krucyfiksem upamiętniającym 1050. rocznicę chrztu Polski – w tym miejscu uczczoną okolicznościowym spływem kajakowym. Jak widać, oficjalne obchody uzupełniały również inicjatywy oddolne.

Znacznie ciekawsze znalezisko czekało na mnie kilometr dalej. Na terenie ptasiego rezerwatu Małga trafiłem na pozostałości wsi, od której ostoja wzięła swoją nazwę. Chociaż istniejące tu od czasów prawdopodobnie przedkrzyżackich sioło znane było również pod nazwą Ruda. To z kolei związane było z pozyskiwaniem i przetwarzaniem przez tutejszą ludność darniowych rud żelaza.

Wieś Małga na przestrzeni dziejów rozwijała się we właściwym dla siebie tempie, przeżywając wzloty i upadki. Pod koniec XVIII w. musiała się „przebranżowić" – na skutek importu taniego żelaza ze Szwecji miejscowa kuźnia straciła ekonomiczną rację bytu, a jej mieszkańcy (w 1885 r. było ich ok. 700) zajęli się głównie rolnictwem. Ponadto we wsi były karczma, kościół i szkoła, co – jak na położenie w głuszy – było nie lada osiągnięciem. Przed 1939 r. znajdowała się tam też siedziba urzędu obwodu administracyjnego i inne instytucje publiczne.

Do 1944 r. w Małdze jedynymi oznakami szalejącej od pięciu lat II wojny światowej były mniejsza liczba mężczyzn i od czasu do czasu przychodzące informacje o poległych. Jednak kolejny rok przyniósł dramatyczny i tragiczny zwrot. 20 stycznia zjawili się we wsi czerwonoarmiści i przystąpili do jej „wyzwalania" – podpalono zabudowania, zaczęto rabować, gwałcić i mordować. Ocaleli jedynie ci, którzy schronili się w sąsiedniej wsi i w okolicznych lasach.

Po wojnie mieszkańcy powoli dźwigali z ruin resztki swojej małej ojczyzny, jednak nie było im dane dokończyć dzieła. Na początku lat 50. ówczesne, zależne od ZSRS, władze PRL zdecydowały o utworzeniu na tym terenie poligonu wojskowego. W 1954 r. Małga wraz z okolicznymi wioskami zniknęły z powierzchni ziemi. Po 39 latach, w 1993 r., poligon Muszaki został zlikwidowany. Po dekadach obecności wojska pozostały okopy, kratery po wybuchach i niewypały, które długo trzeba było unieszkodliwiać.

Niemym świadkiem historii tej okolicy jest wznosząca się ponad okalające ją korony drzew, powoli niszczejąca, ceglana neogotycka wieża kościelna. Budowa kościoła ewangelickiego na tym terenie rozpoczęła się w 1900 r. Obecnie po świątyni zostało jedynie gruzowisko. Budowla, choć poraniona ostrzałem, przetrwała zagładę Małgi prawdopodobnie dzięki swojej wysokości – będąc najwyższym obiektem w okolicy, stanowiła doskonały punkt orientacyjny dla biorących udział w ćwiczeniach żołnierzy. Ich obecność w jej wnętrzu nietrudno zauważyć. Na cegłach żłobili oni nazwy miejscowości, skąd pochodzili, roczniki powołania i wszechobecny skrót WKU (od Wojskowej Komendy Uzupełnień).

W chaszczach wokół wieży można odszukać resztki zniszczonego cmentarza, ale ocalało tam mniej niż pięć nagrobków. Wszystkie napisy są niemieckojęzyczne, a ostatniego pochówku dokonano w 1953 r. Co ciekawe, jeden z grobów nie jest całkiem zapomniany – kamień w miejscu spoczynku Waltrouda (15 l.) i zapewne jego siostry Liesbet (6 l.) Macków jest ozdobiony granitową płytą z datami ich narodzin i śmierci (2 i 3 listopada 1945 r.), a na samej mogile leżą sztuczne kwiaty i stoi znicz.

WIĘCEJ ZDJĘĆ POD ADRESEM: wPolityce.pl/historia/617145-ruiny-malej-ojczyzny

eprasa.pl 2b95f03724

Stan wojenny w Szczecinie. Wyrok po latach



ARTUR KUBAJ

Animatorzy stanu wojennego w Szczecinie ani ferujący wyroki przeciw strajkującym nie ponieśli konsekwencji swoich ówczesnych działań.

Dopiero w 2013 r. zapadły wyroki skazujące wobec szefów szczecińskiej milicji odpowiedzialnych za wprowadzanie stanu wojennego. Komendanta wojewódzkiego MO oraz jego zastępcę ds. SB skazano na 2 lata pozbawienia wolności (z zawieszeniem na 3 lata) oraz kary grzywny w wysokości kilku tysięcy złotych. Sąd Rejonowy uznał, że ich decyzje o bezprawnym pozbawieniu wolności w pierwszych dniach stanu wojennego, będące zbrodniami komunistycznymi, stanowiły także zbrodnie przeciwko ludzkości. Warto bowiem przypomnieć, że przepisy dekretu o stanie wojennym zostały ogłoszone dopiero 18 grudnia 1981 r. Co najciekawsze jednak, w konsekwencji późniejszych wyroków Sądu Okręgowego i Sądu Najwyższego komendant nie poniósł żadnych konsekwencji prawnych, poza kosztami związanymi z prowadzeniem procesów. Konsekwencji nie poniosły również osoby oskarżające i orzekające o pozbawieniu wolności działaczy Solidarności za strajki z grudnia 1981 r.

Stocznia na czele

Ci działacze Związku, którym udało się uniknąć zatrzymania 13 grudnia, zorganizowali w Stoczni im. A. Warskiego międzyzakładowy komitet strajkowy. Organizacją protestu zajął się przybyły do stoczni w nocy Andrzej Milczanowski, wówczas radca prawny MKS i zakładowej Solidarności. Rano dołączył do niego wiceprzewodniczący ZR Mieczysław Ustasiak oraz szef stoczniowej Solidarności Stanisław Zabłocki wraz z członkami prezydium: Marią Chmielewską, Jerzym Corde i Grzegorzem Durskim. Na przewodniczącego MKS wybrano najwyższego rangą związkową w regionie Ustasiaka, a na jego zastępcę – Zabłockiego. Strajk generalny wyznaczono na godz. 6.00 dnia 14 grudnia, zarządzając niezwłoczne przystąpienie do strajku także tych zakładów, które decyzją władz zostały zmilitaryzowane. Komitet żądał spełnienia dwóch postulatów: uwolnienia wszystkich pozbawionych wolności działaczy Solidarności oraz niezwłocznego odwołania dekretu Rady Państwa PRL o stanie wojennym. W proteście uczestniczyli stoczniowcy z SSR „Gryfii" i SR „Parnica", robotnicy z ZCh „Police", Papierni „Skolwin", ZSE „Predom-Selfa", PŻM, szczecińskiego Portu, PBK, WPKM, FMB „Famabud", PP „Polmozbyt", PPUT „WUTEH", ZPO „Dana" oraz wielu mniejszych zakładów.

Stocznia Warskiego była głównym miejscem oporu społecznego na Pomorzu Zachodnim i jednym z najważniejszych ognisk strajkowych na terenie całego kraju, obok Gdańska, Wrocławia i Górnego Śląska. Realnym przywódcą tego protestu, „głównym ideologiem i inicjatorem destruktywnych poczynań regionu i KS Stoczni", jak pisano w raporcie SB, był Milczanowski. To on z jednej strony mobilizował strajkujących do protestu i przygotowywał zasadnicze dokumenty wydawane przez MKS, z drugiej zaś w chwilach zagrożenia wzywał w swych przemówieniach do zachowania rozwagi. W nocy z 13 na 14 grudnia Warski został otoczony przez ZOMO oraz pododdziały 12. Dywizji Zmechanizowanej, dowodzonej przez płk. Henryka Szumskiego. Od strony Odry okręty desantowe marynarki wojennej oświetlały reflektorami przyległe tereny. Pacyfikacja stoczni rozpoczęła się o północy z 14 na 15 grudnia, podczas obrad MKS. Przed wkroczeniem wojska i milicji na teren zakładu blokujący bramę stoczniowcy polewani byli zimną wodą przy panującym wówczas 10-stopniowym mrozie. W czasie pacyfikacji zatrzymano 30 osób, w tym 9 członków MKS.

Pierwsze procesy

Już 20 grudnia prokurator garnizonowy zakończył śledztwo, a po kolejnych trzech dniach wniósł akt oskarżenia przeciwko „Jedenastu" do Sądu Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy. Rozprawa sądowa rozpoczęła się jeszcze w grudniu, a wyrok skazujący ogłoszono 4 marca 1982 r. Bydgoski sąd uznał faktyczne przywództwo nad strajkiem Andrzeja Milczanowskiego i skazał go na 5 lat pozbawienia wolności (prokurator ppłk Zdzisław Iłowski żądał kary 11 lat więzienia). Mieczysława Ustasiaka skazano na 4 lata pozbawienia wolności, Tadeusza Lichotę na 3,5 roku, zaś Ryszarda Drewniaka, Witolda Karolewskiego i Stefana Niewiadomskiego na 1,5 roku pozbawie-



FOT. PAP/JERZY UNDRO

W nocy z 13 na 14 grudnia Stocznia Szczecińska im. Adolfa Warskiego otoczona została przez ZOMO oraz czołgi i transportery opancerzone. Szczecin, grudzień 1981 r.



FOT. ZBIORY PRYWATNE AUTORA

Spotkanie z 1984 r. sądzonych w procesie jedenastu za strajk w Stoczni Warskiego. Od lewej, stoją: Mieczysław Ustasiak, Wojciech Duklanowski, Ryszard Lendas, Jan Denisewicz, Witold Karolewski; siedzą: Stefan Niewiadomski, Tadeusz Lichota, Andrzej Milczanowski, Ewaryst Waligórski

nia wolności. Wobec Jana Denisewicza, Wojciecha Duklanowskiego, Krzysztofa Jagielskiego i Ryszarda Lendasa sąd umorzył postępowanie, a Ewarysta Waligórskiego uniewinniono.

18 grudnia aresztowano kolejnego członka MKS, Zdzisława Kacprzaka, a dzień później Jana Wójtowicza – obaj byli członkami prezydium Solidarności w Warskim. Po zakończeniu postępowania w trybie doraźnym 2 stycznia 1982 r. Sąd Wojewódzki wydał wyrok skazujący obu oskarżonych na 3 lata pozbawienia wolności. 2 miesiące później Adam Wiśniowiecki, odpowiadający w czasie strajku za służby porządkowe protestujących stoczniowców, został skazany na karę 1,5 roku pozbawienia wolności.

Pomimo pacyfikacji Stoczni Warskiego władzy nie udało się całkowicie przełamać oporu robotników, którzy w kolejnych dniach nadal odmawiali pracy. 16 grudnia w świetlicy stoczniowej zgromadziła się 100-osobowa grupa gotowa do ponownego podjęcia akcji strajkowej, a nad bramą stoczni zawisł transparent „Strajk generalny", jednak brak przywódcy i wystarczającej determinacji zdecydowały o fiasku tego przedsięwzięcia.

17 grudnia, w rocznicę wydarzeń grudniowych z 1970 r., pod bramą stoczni zgromadzili się szczecinianie składający wiązanki kwiatów pod tablicą upamiętniającą ofiary. Asystowały im zwiększone siły milicji i wojska, jednak do konfrontacji nie doszło. Następnego dnia na terenie stoczni odbył się przemarsz blisko 2 tys. pracowników z flagami narodowymi i sztandarami Solidarności, wznoszących okrzyki: „SB – gestapo!", „Mordercy!", „Zdrajcy!". Dyrekcja stoczni, nie mogąc sobie poradzić ze wstrzymującymi się od pracy stoczniowcami, ogłosiła dzień 19 grudnia (sobota) wolnym od pracy, po czym zawiesiła działalność zakładu na dwa tygodnie. W styczniu przystąpiono do procesu zwalniania robotników, a do końca sierpnia 1982 r. pracę w stoczni straciło około 1,5 tys. zatrudnionych.

Nie tylko Warski

Pacyfikacja Warskiego nie była jedynym przypadkiem użycia siły wobec pracowników szczecińskich zakładów pracy. Do najważniejszych miejsc oporu w mieście należały jeszcze: Gryfia, Polmozbyt i WUTEH. Na czele strajku w Gryfii, gdzie do protestu przyłączyło się 2,5 tys. stoczniowców, stał przewodniczący Solidarności, inżynier elektryk Józef Kalemba. 13 grudnia zawiązał się tam 12-osobowy komitet strajkowy, a stoczniowcy zdecydowali o niezwłocznym odsłonięciu nowo powstałego pomnika pamięci ofiar Grudnia '70 pod nazwą „O godność człowieka". 16 grudnia przeciwko stoczniowcom z Gryfii skierowano kilkuset funkcjonariuszy ZOMO, ORMO, SB i 5 okrętów desantowych. Po pacyfikacji w lutym 1982 r. bydgoski Sąd Wojskowy skazał Kalembę na karę 5 lat pozbawienia wolności (prokurator ppłk Hubert Kaczmarek żądał 7 lat), a drugiego z liderów tego strajku, Jerzego Sokołowskiego, na karę 3,5 roku pozbawienia wolności.

Manifestacja siły dokonała się także wobec pracowników dużo mniejszego zakładu, jakim był Polmozbyt, położony w dużym oddaleniu od obu stoczni. Ciężar prowadzenia strajku przyjął tam na siebie przewodniczący Solidarności Antoni Kadziak, inżynier budownictwa, kierownik ds. inwestycji. 14 grudnia pracownicy Polmozbytu zaprzestali wykonywania obowiązków, a Kadziak, zgodnie z instrukcją wewnętrzną Solidarności sprzed stanu wojennego, w imieniu protestującej załogi powiadomił kierownictwo zakładu o przejęciu tam władzy. Protest został spacyfikowany przez oddziały milicyjne i wojskowe w nocy z 15 na 16 grudnia. Przed opuszczeniem hal zakładowych pracownicy Polmozbytu odśpiewali Mazurka Dąbrowskiego, po czym rozeszli się do domów. Ku niezadowoleniu dyrekcji już 17 grudnia wznowiono strajk, jednak bez powoływania komitetu strajkowego. Sam Kadziak został zatrzymany w swoim mieszkaniu 18 grudnia, a 16 stycznia 1982 r. skazany przez Sąd Wojewódzki na karę 5 lat pozbawienia wolności (prokurator Janusz Grzegorczyk żądał 9 lat pozbawienia wolności). Jego współpracowników: Piotra Bąka, Ryszarda Dworzyńskiego, Ryszarda Konopińskiego, Józefa Kubacha i Andrzeja Ogibę skazano 3 miesiące później na kary od l,5 do 2,5 roku pozbawienia wolności.

W szczecińskim WUTEH-u liderem akcji protestacyjnej w 400-osobowym zakładzie transportowym był przewodniczący związku Piotr Jurczyk – autorytet załogi, który za proklamowanie, organizowanie i przewodzenie strajkowi skazany został na 3 lata pozbawienia wolności.

Warto przypomnieć, że wydawane wtedy orzeczenia sadów, dotyczące przecież czynów popełnianych jeszcze przed wejściem w życie odpowiednich przepisów, w oparciu o które skazywano protestujących, naruszały określoną już w prawie rzymskim zasadę nullum crimen sine lege. Kwestię tę podnosili już w pierwszych tygodniach stanu wojennego niektórzy z obrońców oskarżonych, np. znakomity mówca i obrońca w procesach politycznych Władysław Siła-Nowicki – zwracał on uwagę na brak podstawy prawnej dla orzekanych, gdy bronił strajkujących w Warskim przed sądem w Bydgoszczy.

Sędziowie i prokuratorzy biorący udział w takich procesach nie ponieśli jednak kary za te poważne naruszenia prawa, pomimo ich oczywistości i rozmiaru konsekwencji dla oskarżonych.

eprasa.pl 2b95f03724



Trumna z ciałem brytyjskiej królowej Elżbiety II, 19 września została złożona do grobu w kaplicy św. Jerzego na zamku w Windsorze

FOT. VICTORIA JONES/POOL/AFP

Chwała i moc Korony



MAREK JUREK

Gdy Elżbieta II wstępowała na tron, zapowiadano początek drugiej epoki elżbietańskiej i były po temu powody.

Wielka Brytania parę lat wcześniej wygrała wojnę światową, zorganizowała – w oparciu o ogłoszoną ze Stanami Zjednoczonymi Kartę Atlantycką – Organizację Narodów Zjednoczonych, w której Radzie Bezpieczeństwa zajęła stałe miejsce, na równi z USA i ZSRR. Premierem był zwycięzca Hitlera – Winston Churchill. Przepowiednia nowej epoki elżbietańskiej sprawdziła się jednak w zupełnie innym sensie. Podobnie jak czasy Elżbiety I – panowanie jej imienniczki cztery wieki później było czasem głębokich wstrząsów społecznych i zmian tożsamości narodowej. O ile bowiem to Henryk VIII zerwał z jednością Kościoła i rozpoczął prześladowania katolików, o tyle dopiero czasy elżbietańskie przyniosły prawdziwą, głęboką protestantyzację. Kościół nie kwestionował ważności święceń udzielanych za panowania króla-schizmatyka, zakwestionował te, które mają początek w aktach dokonywanych – z woli Elżbiety I – przez lorda-arcybiskupa Canterbury, Matthew Parkera.

Dwie Elżbiety

Jest oczywiście istotna różnica między obiema Elżbietami i ich panowaniami. Elżbieta I była promotorką zmian społecznych, które zachodziły za jej panowania, Elżbieta II za nimi biernie podążała. I nie chodzi w tym wypadku jedynie o absolutną władzę pierwszej Elżbiety i całkowicie ograniczoną drugiej. Chodzi również o ich nastawienie. W sensie osobistym niedawno zmarła królowa była zaprzeczeniem rewolucji kulturowej, która dokonywała się za jej czasów.

Jeszcze większa różnica widoczna była w planie międzynarodowym. To pod władzą ostatniej z Tudorów zaczęło się panowanie Anglii nad morzami i narodziła się jej światowa potęga. Elżbieta II oglądała rozpad Imperium Brytyjskiego i stopniowe słabnięcie Wielkiej Brytanii, ogrzewającej się – jako uprzywilejowany sojusznik – w blasku swej młodszej siostry, Ameryki. Królowa zresztą nie decydowała o kluczowych aktach swego panowania: dekolonizacji Afryki, wojnie w obronie Falklandów, wystąpieniu z Unii Europejskiej. Jeśli jednak ktoś chciałby powiedzieć, że się im biernie przyglądała – głęboko by się mylił. Jako suweren spędziła więcej czasu na rozmowach z kolejnymi premierami niż najwybitniejsi z jej poddanych. Przez cały czas pracowała: jako pierwszy ambasador i pierwsza matka swego narodu. Jej syn i wnuk w czasie wojen służyli w jednostkach bojowych. Reprezentowała państwo nie tylko wobec zagranicy i instytucji publicznych, lecz także wobec narodu. Reprezentowała w znaczeniu najzupełniej dosłownym, to znaczy czyniła widzialnym i obecnym.

Moc duchowa

Jej autorytet wzmacniało to, że monarchia pozostała kluczowym elementem kultury brytyjskiej, a jej historyczna rola

eprasa.pl 2b95f03724

polegała na tym, że to kulturowe znaczenie monarchii budowała. Narodowy charakter monarchii wręcz ucieleśniała rodzina królewska jako typowa rodzina angielskiej arystokracji: kontynuująca tradycje służby w instytucjach publicznych i w wojsku, zachowująca (najczęściej, choć nie zawsze – bez większego zaangażowania) elementarne przywiązanie do anglikanizmu, niestety podlegająca mniej lub bardziej ogólnemu rozluźnieniu obyczajów. Sama uparta kontynuacja tego sposobu życia podtrzymywała brytyjską odrębność narodową, wynikający z niej związek z własnym państwem, pamięć historii.

Lord-arcybiskup Canterbury, Geoffrey Fisher, który koronował Elżbietę II, twierdził – jak pisze biograf królowej Ben Pimlott – „że uszczuplenie ziemskiej władzy monarchii jeszcze poszerzyło wagę tej instytucji, wyposażając królową w »duchową moc« przewodzenia, inspirowania i jednoczenia". Anglikański dostojnik dotknął istoty rzeczy. Istota władzy monarchii od wieków nie zawierała się w rządzeniu, nawet gdy królowie rządzili. Stanisław Cat-Mackiewicz jako jeden z przejawów geniuszu monarchii wskazywał to, że władcy przekazywali rządy ludziom genialnym – Richelieu, Cavourowi, Bismarckowi, Churchillowi.

Zasada ustroju

Ten ostatni przykład można by traktować jako typową dla Cata retorykę. Jednak nie do końca. Król jest ciągle zwornikiem państwa, nadaje moc instytucjom, jest gwarantem zasad w ich działaniu. Nie trzeba było nowoczesnego ograniczania władzy monarszej, by sformułować zasadę, że król rządzić powinien „w swojej radzie (ministrów), z narodem reprezentowanym w zgromadzeniach swoich stanów". To wieki wiary, a nie monarchia parlamentarna, uczyniły z „docilitas", więc zdolności słuchania i uczenia się, pierwszą cnotę władzy. I istotnie, choć monarchię parlamentarną pozbawiono większości korzyści, które władza królewska może dać narodowi – jej istota chwilami ujawnia się bardzo mocno.

Znana jest geneza urzędu brytyjskiego premiera i zakresu jego władzy. Jerzy I, który objął tron po wygaśnięciu na królowej Annie protestanckiej linii Stuartów, nie mówił po angielsku, więc kierowanie rządem powierzał wybranemu ministrowi. Ów pierwszy minister był więc faktycznie (i pozostaje do dziś) wicekrólem, dysponentem politycznej władzy Korony. Stąd np. prawo pozwalające premierowi zwracać się do króla o rozwiązanie parlamentu, co zapewnia rządowi możliwość przeprowadzania wyborów w politycznie dogodnym terminie.

Opcja preferencyjna na rzecz ciągłości

Dla większości demokracji europejskich taka prerogatywa byłaby zgorszeniem. Jednak w brytyjskiej filozofii za istotę demokracji uchodzi nie zmiana rządu złego, lecz społeczna aprobata dla dobrego. Stąd „opcja preferencyjna" na rzecz ciągłości, przy zachowaniu realnych możliwości przejęcia władzy przez opozycję. Chwilowe zniesienie w poprzedniej dekadzie dawnej prerogatywy królewskiej (wykonywanej przez premiera) pokazuje dobrze, jak nawzajem w brytyjskim porządku politycznym krzyżują się tradycyjny parlamentaryzm, ukształtowany jeszcze przez monarchię stanową, z absolutyzmem nowoczesnej demokracji. Niemniej tradycja, rozumiana głęboko, jako ochrona instytucji ukształtowanych przez doświadczenie narodowe, pozostaje ciągle żywa i – jak widać – ciągle się broni.

Jerzy Stempowski napisał, że z II wojny światowej obronną ręką wyszły te monarchie, które były „czynnikiem legalności i ciągłości władzy", czyli przede wszystkim – praw narodu. Oczywiście opinia Stempowskiego zawiera liberalne uproszczenie. Wiktor Emanuel III obalił faszyzm (wcześniej akceptując jego demokratyczny mandat właśnie) i nie uchroniło to jego syna Huberta II przed obaleniem przez sfałszowane referendum. Niemniej idea ta dotyka istoty. W XX w. królowie, nawet na wygnaniu – jak królowa Juliana w czasie II wojny światowej albo cesarz Hajle Selasje podczas włoskiej agresji – potrafili być strażnikami niepodległości i praw swoich państw.

Dwa ciała króla

Evelyn Waugh uważał, że pierwszym obowiązkiem narodowym jest służyć orężnie swemu monarsze, gdy kraj znajdzie się w potrzebie, nie jest nim natomiast udział w głosowaniu i wyznaczenie królowi doradców, których chce sobie powołać. I istotnie, Waugh służył ochotniczo przez całą wojnę w siłach specjalnych, a na wybory nie chodził. Walcząc za króla, nie walczy się bowiem o jego projekty polityczne ani o jego osobistą władzę. Raczej za jego „ciało mistyczne", za monarchię, którą król reprezentuje. Katolicki poddany korony brytyjskiej jak Waugh mógł walczyć w obronie władcy, w którego żyłach płynie krew świętego Edwarda, Henryka V i Marii Stuart, w obronie jego dziedzictwa i przyszłości gwarantowanej przez jego następców, a nie w obronie demokracji, liberalizmu czy tym bardziej (co sprawiło mu szczególne cierpienie) sojuszu ze Stalinem.

MONARCHIA POZOSTAŁA KLUCZOWYM ELEMENTEM KULTURY BRYTYJSKIEJ, A JEJ HISTORYCZNA ROLA POLEGAŁA NA TYM, ŻE TO KULTUROWE ZNACZENIE MONARCHII BUDOWAŁA

Oczywiście król ma prawo do naszego życia, bo przyjmując namaszczenie, sam decyduje się oddać własne życie za lud. Bardzo często jest to „białe męczeństwo", życie poświęcone pracy, pełne rezygnacji z prywatności. Ale czasami potencjał realnego męczeństwa, zawarty w codziennym poświęceniu, niespodziewanie się aktualizuje. Tak jak w wypadku, by pozostać na gruncie angielskim, Marii Stuart czy jej wnuka, Karola I. Kardynał Newman, jeszcze przed nawróceniem, uważał go za męczennika sumienia. Sam zaś Karol przed egzekucją powiedział do syna, iż sumienie jest mu „droższe niż tysiące królestw".

eprasa.pl 2b95f03724

ROSJANKA W POLSCE



JOANNA PUCHALSKA

URODZIŁA SIĘ W WARSZAWIE. OJCIEC, CARSKI GENERAŁ I PROFESOR WOJSKOWEJ AKADEMII PRAWNEJ, KSIĄŻĘ SERGIUSZ DRUCKI, POTOMEK KNIAZIA IWANA RURYKOWICZA, PRZEBYWAŁ TU WTEDY SŁUŻBOWO



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Nadzieja i Maurycy O'Brien de Lacy z córkami, Grodno

Gdy Nadieżda miała cztery lata, rodzina przeniosła się do Petersburga. Z rewolucji 1905 r. zapamiętała widziany przez okno obrazek: marynarz uciekający po dachu przed żołnierzami i ostrzeliwujący się zza komina. Nie wiedziała, o co chodzi, podobnie jak nie pojmowała rozmów dorosłych o wojnie z Japonią.

Rodzice wysłali ją do elitarnego Instytutu Smolnego, najstarszego w Rosji zakładu naukowego dla dziewcząt. Ukończyła go i parę miesięcy później wybuchła I wojna światowa. Matka w tym czasie już nie żyła, ojca przeniesiono do Moskwy, gdzie został sędzią sądu wojskowego. 16-letnia panienka, jak wiele innych kobiet, zgłosiła się do pomocy w szpitalu. W listopadzie 1916 r. wyjechała na front. Pociąg sanitarny z 600 rannymi był ciężką szkołą dla młodziutkiej dziewczyny. Dała radę i dostała nawet medal św. Jerzego za odwagę – za to, że nie opuściła rannych pomimo ostrzału. Komendant pociągu miał trudne do wymówienia nazwisko: Maurycy O'Brien de Lacy i deklarował, że jest Polakiem. Jego rodzina, pochodzenia normandzko-irlandzkiego, była dobrze zadomowiona na Grodzieńszczyźnie. Ukończył rolnictwo w Rydze, był elegancki, miał miłą twarz i piękne ręce.

Podczas postoju w Odessie zaprosił ją na spacer. Porywająco opowiadał o swoim patriotyzmie, o represyjnej polityce władz carskich, zesłaniach, powstaniach i skonfiskowanych majątkach. Dotąd księżniczka Drucka nie była świadoma, że Polska była kiedyś odrębnym państwem i że Polacy marzą o niepodległości.

Gdy przyszła wieść o przewrocie, rewolucji, abdykacji cara i bliskim końcu wojny, wrócili do Moskwy. Ślub odbył się 12 listopada 1917 r. w cerkwi i w kościele.

Gdzie ty, Kajus, tam i ja, Kaja

Życie w ogarniętej rewolucją Rosji płynęło w atmosferze narastającego strachu przed terrorem Czeki i wśród coraz większych trudności z wyżywieniem. Maurycy rwał się, żeby jechać do Polski. Adzia, jak ją nazywał, nie chciała opuszczać ojczyzny. Ostatecznie za namową ojca ustąpiła i w sierpniu 1918 r. znaleźli się oboje w Augustówku, rodzinnym majątku de Lacych. Z początku było ciężko. Wychowana w kulturze rosyjskiej nie znała ani języka, ani polskich obyczajów. Niewiele też wiedziała o gospodarstwie domowym. Za to ludzie na wsi przyjęli ją życzliwie, bo ich leczyła, wykorzystując doświadczenie z praktyki frontowej.

Czas był niespokojny i zdarzały się napady, dopóki 30 kwietnia 1919 r. nie wkroczyło wojsko polskie. Po raz pierwszy usłyszała wtedy polski hymn. „Byłam przejęta. A więc wreszcie jest Polska. Polska Maurycego, a więc i moja". W lipcu 1919 r. urodziła córeczkę.

Wkrótce nadeszła nowa burza od wschodu, którą szczęśliwie przetrwali, i gdy nastała upragniona niepodległość, zaczęło się gospodarowanie w tej części majątku, która im przypadła po rodzinnych działach. Pieniędzy stale brakowało,

eprasa.pl 2b95f03724

ziemiaństwo na Kresach toczyło wtedy ciężką walkę o byt w zrujnowanych wojną gospodarstwach. Pracowite życie w Augustówku osładzały rozrywki kulturalne, polowania oraz piękny kort tenisowy, na którym właściciele organizowali turnieje dla przyjaciół.

Księżniczka na Parnasie

Pani Adzia coraz bardziej zadomawiała się w swej nowej ojczyźnie. Z pasją uczyła się polskiego, zajmowała córkami – cztery lata po Irence urodziła się Gaja. Udzielała się społecznie i została wiceprzewodniczącą Koła Ziemianek, Czerwonego Krzyża oraz Towarzystwa Dobroczynności. Była współzałożycielką Towarzystwa Przyjaciół Literatury i Sztuki im. Orzeszkowej, dzięki któremu nawiązała kontakty z Marią Dąbrowską, Juliuszem Kaden-Bandrowskim, Julianem Tuwimem, Witoldem Hulewiczem, Stanisławem Ryszardem Dobrowolskim, Wandą Melcer, Ireną Tuwim, Stanisławem Strumph-Wojtkiewiczem. Bywali oni w Augustówku. Na specjalne zaproszenie przyjechał też Witkacy, do którego dziwactw podchodziła z wielką wyrozumiałością. Zgodziła się nawet, żeby zapłacił za pobyt, skoro tak nalegał (odliczył od rachunku dwie kolacje, które mu nie smakowały). Augustówek odwiedzał też Juliusz Osterwa i cały zespół Teatru Reduta.

Polski opanowała na tyle, że sama zaczęła pisać. W 1925 r. ukazało się „Zwycięstwo". Potem były kolejne książki. Po wydaniu trzeciej, „Niepotrzebne dzieci", wstąpiła do Związku Literatów. Radą i pomocą wspierała ją sama Zofia Nałkowska i to ona wprowadziła ją do PEN Clubu w 1930 r.

Do 1939 r. wydała pięć książek, a oprócz tego publikowała artykuły w „Płomyku", „Bluszczu", „Wiadomościach Literackich", miała słuchowiska w radiach wileńskim i warszawskim. Napisała nawet sztukę zatytułowaną „Zamknięte drzwi", a na premierze siedziała w loży z Hulewiczem i Ordonką.

Wreszcie stabilizacja

Nie była pięknością, ale podobała się mężczyznom. Zdarzyło się nawet, że się o nią pojedynkowali. Nie wychodziła nigdy poza flirt, uważając za najwłaściwszy rodzaj relacji amitie amoureuse, romantyczną przyjaźń. Jak napisze później, były to czasy, kiedy mówiło się o miłości, lecz niekoniecznie ją konsumowało. Wystarczało widywać ukochaną osobę, najwyżej skraść pocałunek.

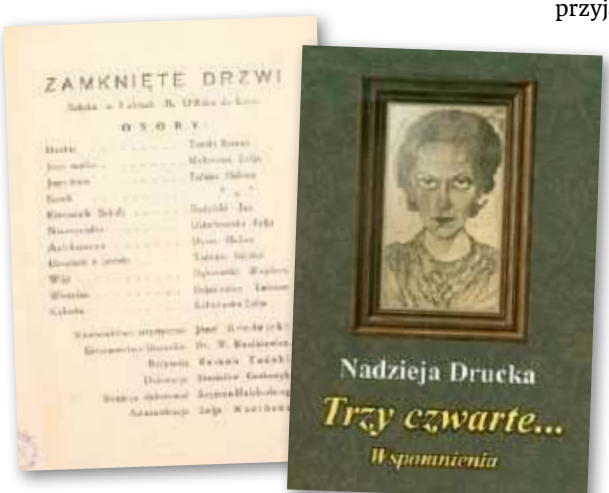
Po ojcu miała demokratyczne podejście do życia. Córkę posłała do państwowego gimnazjum w Grodnie, gdzie uczęszczały dziewczęta ze środowisk robotniczych i Żydówki. Krzywo patrzono na to w jej sferze. Podobnie z początku kręcono nosem, kiedy pierwsza w powiecie prowadziła w Augustówku letni pensjonat, aby finansowo wesprzeć męża. Potem wiele dworów poszło w jej ślady.

Dzieci podrosły, obciążenia majątku zostały spłacone, a w dworze założono elektryczność. I wtedy przyszedł 1 września 1939 r.

O roku ów!

Podczas bombardowania całą rodziną uciekli do ogrodu i matka nakryła własnym ciałem Gaję. Zrozumieli, że świeżo pokryty czerwoną blachą dwór jest dobrym celem, i zapadła decyzja o wyjeździe. Przez Litwę Kowieńską i zieloną granicę przedostali się do Generalnej Guberni. W Warszawie Nadzieja dostała posadę w Urzędzie Ziemskim, Gaja poszła do szkoły handlowej, Irena pracowała jako kelnerka. Po jakimś czasie wszyscy w rodzinie zaczęli konspirować, kryjąc się z tym wzajemnie przed sobą. Pani Adzia wstąpiła do Czerwonego Krzyża AK i prowadziła ćwiczenia z harcerkami, ucząc je robić opatrunki.

Była przeciwna powstaniu, uważała, że nie ma najmniejszych szans na powodzenie, lecz kiedy wybuchło, odpowiedziała na wezwanie przybranej ojczyzny. Zgłosiła się na Czerniakowie do dowództwa V Zgrupowania – kazano jej zorganizować szpital na 20–30 łóżek.



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Gaja pomagała jako siostra gospodarcza, Irena w tym czasie była łączniczką na Pradze. Gdy powstanie upadło, z obozu w Pruszkowie wywieziono ją wraz z Gają w okolice Kielc. Odnaleźli się z Maurycym i wróciły do Warszawy.

Księżniczka Drucka w PRL-u

Nadzieja O'Brien de Lacy zgłosiła się do Biura Odbudowy Stolicy i została przyjęta do pracy w Wydziale Propagandy. Pisała artykuły o zabytkach, opowiadała o nich w radiu i na odczytach w Muzeum Narodowym. Maurycy zarządzał ogrodniczym gospodarstwem na Czerniakowie, Gaja wstąpiła na SGH. Po jakimś czasie z Belgii wróciła – z założoną tam rodziną – wywieziona po powstaniu Irena.

Aby pomóc bliskim w tych trudnych powojennych latach, pani Adzia nieraz po kilkanaście godzin dziennie tłumaczyła książki z rosyjskiego. Chciała wrócić do pisania, ale z takim pochodzeniem z początku nie miała szans na wydanie czegokolwiek. Zgłosiła się więc na lektora języka rosyjskiego, pracowała w SGGW i na Akademii Medycznej, dawała prywatne lekcje, po nocach szyła sukienki dla wnuczki. Aż wreszcie udało się podpisać umowę z Naszą Księgarnią. Pierwsza książka z przeznaczonej dla młodzieży serii „Dzieciństwo i Młodość Wielkich Ludzi" opowiadała o Mozarcie. Potem przyszła kolej na Glinkę, Verne'a, Moniuszkę i Zaruskiego. Miała dobre pióro, książki rozchodziły się szybko. Na jubileuszu 50-lecia pracy literackiej, który odbył się w Związku Literatów, fragmenty jej książek czytał Andrzej Szczepkowski.

Powstały jeszcze monografia o tajnym nauczaniu w okupowanej Polsce, przewodnik po Finlandii, powieści oraz autobiografia zatytułowana „Trzy czwarte... Wspomnienia". Autorka opisała w niej przyjazd do Polski i odnajdywanie się w nowych realiach oraz losy rodziny po wojnie (chwilami, co trochę razi, zbyt entuzjastycznie pisze o PRL-u). Widać, że czuła się Polką, ale choć „zmieniła ojczyznę" – jak sama to ujęła – nigdy nie zapomniała o swoich korzeniach. Utrzymywała kontakty z odnalezioną po wojnie rosyjską rodziną, modliła się zawsze po rosyjsku i spowiadała się w cerkwi. Zmarła w 1986 r., została pochowana na warszawskim cmentarzu prawosławnym na Woli.

eprasa.pl 2b95f03724



Wyścigi konne brytyjskiej szlachty w Apsley House w Londynie, lata 50. XIX w.

ZJEDZ SERCE, WTEDY WYGRASZ

POMYSŁY NA NIELEGALNE SPOSOBY POKONANIA KONKURENTÓW W ZAWODACH SĄ TAK STARE JAK HISTORIA SPORTOWEJ RYWALIZACJI



KRZYSZTOF ŻARYN

W ostatnich tygodniach byliśmy świadkami wielkich sukcesów polskich sportowców na arenach zmagań fizycznych. Siatkarze zdobyli srebro Mistrzostw Świata, Iga Świątek wygrała prestiżowy turniej wielkoszlemowy w tenisie, Bartosz Zmarzlik uzyskał trzecie mistrzostwo świata w żużlu, a koszykarze zrobili wynik ponad miarę w turnieju Eurobasketu, ocierając się o medal. Złośliwcy już zacierają ręce przed Mundialem, który w tym roku nietypowo wypada w listopadzie, by móc ponaigrywać się z futbolowej reprezentacji Polski, która na pociąg zwany „sukcesy polskiego sportu" może jak zwykle się spóźnić. Wiele osób zastanawia się, dlaczego piłkarze są ciągle tacy popularni, a nic nie potrafią wygrać. Odpowiedź jest bardzo prosta: konkurencja. Jest to dziedzina zwyczajnie najbardziej popularna, więc żeby się wybić, wymaga najwyższych umiejętności. Uprawia ją znacznie więcej osób niż inne dyscypliny sportu. Mimo że piłka nożna zdominowała popularnością resztę odmian sportu, to jednak każda z dyscyplin podlega coraz większej profesjonalizacji. Sport wymaga wielu lat wyrzeczeń, treningów i udoskonaleń. Sztaby szkoleniowe prześcigają się w coraz to bardziej nowatorskich oraz wyrafinowanych metodach treningu fizycznego i przygotowania psychologicznego. A im większa konkurencja, tym więcej też kombinatorów i korzystania z rozwiązań nie do końca w duchu uczciwej rywalizacji. Szarą strefą w tej dziedzinie jest oczywiście doping.

Mięso daje siłę

Jedną z bardziej popularnych substancji „dopingujących" naszych czasów jest efedryna. Efektem jej stosowania jest znaczna poprawa osiągnięć sportowych, czego skutkiem jest wpisanie jej na listy substancji zakazanych. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że odnajdujemy ją już w starożytnych Chinach. Istnieją ryciny sprzed 3000 lat, na których widać wysoko postawione w ówczesnej hierarchii społecznej osoby spożywające gałązki rośliny o nazwie efedra. Trudno powiedzieć, czy był to specyfik używany powszechnie, ale na pewno możemy stwierdzić fakt, że jeden z głównych preparatów stosowanych jako doping w czasach dzisiejszych był znany ponad 3000 lat temu.

O zwiększaniu efektywności organizmu w rywalizacji sportowej dużo można przeczytać w kontekście starożytnej Grecji. I, co ciekawe, nie chodzi tu tylko o ludzki organizm. Według mitologii Igrzyska Olimpijskie zostały zapoczątkowane przez rywalizację króla Pisy Ojnomaosa z pretendentami do ręki jego córki. Śmiałkowie mieli ścigać się z nim na rydwanach. Zwycięzcę czekała nagroda w postaci małżeństwa z księżniczką, przegrany ponosił zaś śmierć. W ten sposób zginąć miało 12 śmiałków. W końcu zjawił się syn Tantala – Pelops, który nie dość, że przegonił swego oponenta, to potem zakończył jego żywot. Według legendy zawody te miały dać początek Igrzyskom Olimpijskim. Co ciekawe, jedna z teorii o przyczynach domniemanej klęski Ojnomaosa głosi, że Pelops dużo większy nacisk kładł na dobre karmienie swoich koni. Już w czasie pierwszych historycznie potwierdzonych zmagań olimpijskich był odnotowywany proceder „dopingu" koni. Zwierzęta

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 2b95f03724

miały być raczone miodem pitnym, co miało podnieść ich wydolność w galopie.

Jednak dużo więcej prób wpływu na wyniki sportowe dotyczyło eksperymentów z ludzkim organizmem. Wiedza teoretyczna na temat oddziaływania różnych substancji na organizm była bardzo skąpa. Nie istniała więc oficjalna lista produktów zakazanych do stosowania przed zawodami. Powszechnie piętnowane było jedynie spożywanie alkoholu. Filostratos w „Gymnasticos" opisuje natomiast stosowanie wywaru z grzybów oraz wyciągu z maku. Popularne było również kosztowanie korzeni mandragory. Są to rośliny bogate w alkaloidy oraz atropiny, które wykazują m.in. działanie pobudzające oraz obkurczające naczynia krwionośne. Najlepiej znanymi alkaloidami są kofeina i teina. Wiele osób korzysta z ich dobrodziejstwa zwłaszcza rano przed pracą. Kofeina uznawana jest za doping w sporcie wyczynowym, ale dopiero po przekroczeniu określonej dawki. Stężenie występowania tego alkaloidu określa się poprzez oznaczenie jego stężenia w moczu. W czasach starożytnych, co oczywiste, nikt sobie tym nie zaprzątał głowy, więc możliwość spożywania alkaloidów była nieograniczona.

Oprócz środków pochodzenia roślinnego, takich jak zioła i grzyby, antyczni sportowcy stosowali źródła odzwierzęcego stymulowania wydolności sportowej. W diecie przeciętnego Greka czy Rzymianina mięso występowało stosunkowo rzadko. Nie był to towar tani i dla każdego dostępny. Źródła podają natomiast, że na stołach antycznych sportowców pieczenie, wędliny i podroby były częściej obecne niż w menu zwykłych obywateli. Zwłaszcza przed planowanymi zawodami. W artykule „Winning, heating have ancient roots" („Washington Post", 2007) możemy przeczytać następujące stwierdzenie: „[...] w starożytnej Grecji [...] stosowali halucynogeny oraz jedli serca i jądra zwierząt, co miało zwiększyć ich siłę". Inne źródła podają, że również np. wątroba była powszechnym elementem diety. Wydaje się więc, że antyczni sportowcy obserwowali w praktyce pozytywny wpływ tego typu produktów na wydolność. Rzeczywiście tak mogło być, ponieważ są to produkty bogate w żelazo, cholesterol, białko. Jeżeli zgodzimy się z tezą, jakoby antyczni Grecy i Rzymianie w codzienności spożywali małe porcje potraw odzwierzęcych, to „ładowanie" dużą dawką mięsa znacznie poprawiało wydolność mięśniową oraz dotlenienie organizmu.

Pelops i Hippodamia podczas wyścigu rydwanów, na płaskorzeźbie w Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Jaki jest koń naprawdę, nie każdy widzi

Określenie „doping" po raz pierwszy użyte zostało w XIX w. Jednak możemy odnaleźć dość bliskie jego powiązanie ze starożytnością. Tak jak wspominałem, pierwsze eksperymenty z poprawą wydolności dotyczyły walk rydwanów, a obiektem kombinacji, zamiast woźniców, były konie. Podawano im miód pitny oraz inne środki stymulujące. Praktyka ta została reaktywowana na szerszą skalę w czasach, gdy dużą popularnością zaczęły się cieszyć wyścigi konne. Już w XVIII w. miało się okazać to dużym problemem. Na tyle poważnie zaczęto podchodzić do tego tematu, że wprowadzono dotkliwe kary dla osób bawiących się w sztuczne poprawianie osiągów zwierząt. W Cambridge odbyła się nawet rozprawa sądowa, w czasie której skazano na karę śmierci dżokejów, którzy faszerowali swoje konie arsenem, co miało zwiększać ich wydolność. Jednak mimo radykalnego osądu, praktyka stymulowania koni wyścigowych nabierała coraz większej popularności. Doszło do tego, że problem stał się wszechobecny i doczekał się w XIX w. swojej nazwy: „doping". Nazwa wywodzi się od słowa „dope", określającego napój pobudzający, którym raczono się m.in. podczas obrzędów religijnych. Ciekawostką jest fakt, że jedną z pierwszych metod kontroli antydopingowej opracował nasz rodak Alfons Bukowski, który będąc stałym bywalcem toru służewieckiego, wpadł na pomysł analizy śliny koni na obecność środków pobudzających.



Lance Armstrong

FOT. RANDY MIRAMONTEZ / SHUTTERSTOCK.COM

Czasy współczesne to już skokowy wzrost popularności stosowania dopingu i rozkwit wiedzy na temat środków temu służących. W tym wypadku jednak trudno mówić o pozytywnym działaniu nauki. Oszukiwanie nigdy nie powinno być akceptowalne i nie ma nic wspólnego z duchem sportu. Coraz więcej słyszy się o sportowcach, którzy świadomie stosują środki zakazane, by pokonać oponentów. Prym tutaj wiodą kolarze. Już jakiś czas temu żyliśmy wydarzeniami związanymi ze skandalem z udziałem Lance'a Armstronga. Zwycięzca wielu zawodów, mistrz Tour de France po latach okazał się być oszustem. Dostał dożywotnią dyskwalifikację z zawodowego kolarstwa po tym, jak wykryto, że cały czas używał środków niedozwolonych. Co ciekawe, inwencja naukowców, chcących „podkręcić" ludzki organizm, jest na tyle niespożyta, że wyprzedza listy środków zakazanych. Pojawiające się substancje mają jednak działanie wsteczne, co skutkuje czasem absurdami, takimi jak odbieranie medali i cofanie rekordów. Wszystkie te procedery nie mają nic wspólnego z duchem fair play. Coraz bardziej prawdziwym wydaje się stwierdzenie, że sport zawodowy nie ma też nic wspólnego ze zdrowiem.

eprasa.pl 2b95f03724



M26 PERSHING, CZYLI WYŻSZA LIGA

CZOŁG M26 PERSHING BYŁ DLA AMERYKAŃSKICH WOJSK PANCERNYCH SKOKIEM JAKOŚCIOWYM



KACPER GROCHOCKI

FOT. SHUTTERSTOCK

W chwili wybuchu II wojny światowej wojska pancerne nie były silnym elementem armii amerykańskiej. Jednak po uważnej obserwacji działań zbrojnych w Europie oraz dzięki możliwościom własnego przemysłu od 1940 r. w USA nastąpił dynamiczny rozwój czołgów. W grudniu 1941 r., kiedy po ataku na Pearl Harbour Stany Zjednoczone dołączyły do wojny, ich podstawowym czołgiem był wóz M3 Lee/Grant, a niedługo później, od lutego 1942 r., dołączył do niego M4 Sherman. Obydwie konstrukcje przeszły chrzest bojowy w Afryce Północnej. Doświadczenia te wykazały, iż M3 nie jest czołgiem, z którym należy wiązać przyszłość ze względu na zastosowanie niektórych archaicznych rozwiązań. Z kolei M4 udowodnił swoją wartość i ostatecznie stał się głównym czołgiem aliantów zachodnich. Sherman dorównywał lub przewyższał podstawowe niemieckie wozy bojowe – Panzer III i Panzer IV, nie wspominając o maszynach włoskich czy japońskich. Dlatego też prace projektowe nad cięższymi czołgami nie były dla US Army priorytetem, choć temat podjęty został już w I połowie 1942 r.

Przeciwnik jednak nie próżnował i także wprowadzał do walki nowe pojazdy. W 1942 r., kilka miesięcy po amerykańskim M4, zadebiutował niemiecki Tygrys, a latem 1943 r. – Pantera. I choć obydwa te czołgi miały swoje wady i problemy, to pod względem opancerzenia oraz siły ognia deklasowały większość alianckich konstrukcji.

Zanim raporty z frontu w Europie zaczęły wpływać na przyśpieszenie prac projektowych, za oceanem pracowano nad nowymi konstrukcjami powolnym tempem. W maju 1942 r. armia amerykańska zamówiła w koncernie General Motors pierwsze prototypy nowych czołgów o oznaczeniu T20. Następnie we wrześniu o to samo poproszono firmę Chrysler (T22) oraz General Electric Company (T23). Nowa maszyna miała być cięższej opancerzona, lepiej uzbrojona, a także posiadać bardziej „zwartą" budowę niż M4. Główną różnicą pomiędzy zamówionymi prototypami był sposób przenoszenia napędu – w T20 zastosowano przekładnię hydromechaniczną, w T22 zmodyfikowany układ napędowy z Shermana, a w T23 – elektryczne przeniesienie napędu. Uzbrojenie miała stanowić armata M1 kal. 76 mm.

Prototypy zaczęły trafiać na testy od początków 1943 r. Najlepsze wrażenie na wojskowych zrobił czołg T23 i na jego produkcję seryjną, po modyfikacjach, zdecydowano się w maju 1943 r. Jednak już w trakcie produkcji, uwzględniając wreszcie informacje z frontu, zdecydowano, iż potrzebne jest mocniejsze uzbrojenie nowego czołgu, a elektryczne przeniesienie napędu wymaga skomplikowanej logistyki i wykwalifikowanego personelu technicznego do obsługi. Wobec powyższych ograniczono zamówienie seryjne na czołgi T23, które nie trafiły na front, a konstrukcję zmodernizowano. Tak powstały wozy T25 i T26 – uzbrojone w armatę kal. 90 mm, wyposażone w hydromechaniczną skrzynię biegów produkcji General Motors, a także – w przypadku T26 – pogrubiony do 102 mm pancerz czołowy. Próby tak zmodernizowanych czołgów rozpoczęto wiosną 1944 r., a dalsze raporty z frontu sugerowały wybór „cięższej" wersji, czyli T26. Tak też się ostatecznie stało i w listopadzie 1944 r. ruszyła produkcja seryjna nowego wozu, który w marcu 1945 r. otrzymał swoją popularną nazwę M26 Pershing na cześć gen. Johna Pershinga, dowódcy amerykańskich wojsk ekspedycyjnych w czasie I wojny światowej. Łącznie do końca wojny powstało ok. 2,2 tys. egzemplarzy tego czołgu.

M26 ważył blisko 42 tony, a załoga składała się z pięciu osób. Uzbrojenie główne stanowiła armata kal. 90 mm. Dodatkowo do obrony bezpośredniej czołg posiadał 2 km-y kal. 7,62 mm oraz przeciwlotniczy wkm kal. 12,7 mm. Przedni pancerz osiągał grubość 102 mm, a boczny – do 76 mm. Silnik produkcji firmy Ford o mocy 500 KM pozwalał na osiągnięcie maksymalnej prędkości na drogach ok. 50 km/h, przy zasięgu ok. 160 km.

M26 Pershing został entuzjastycznie przyjęty przez amerykańskich pancerniaków, którzy wreszcie otrzymali wóz mogący podjąć równorzędną walkę z ciężkimi niemieckimi czołgami. Pershing pojawił się zbyt późno, by wpłynąć na losy II wojny światowej, lecz udowodnił swoją wartość w czasie konfliktu koreańskiego.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2b95f03724

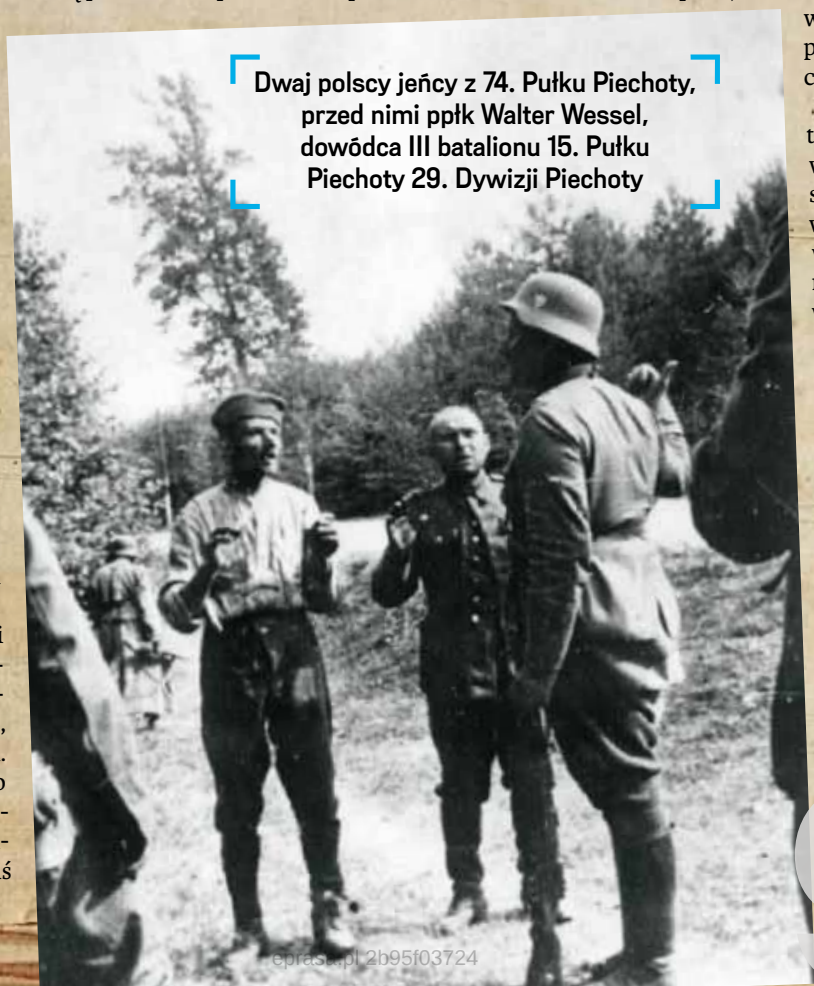
WEHRMACHT W CIEPIELOWIE

ARCHIWUM IPN
SEKCJA OPRACOWYWANIA DOKUMENTACJI AUDIOWIZUALNEJ

W sierpniu 1950 r. do konsulatu polskiego w Monachium wpłynął anonimowy list zawierający opis wydarzeń związanych z obecnością żołnierzy Wehrmachtu w okolicach Ciepielowa na początku września 1939 r. List ten zawierał dwie strony maszynopisu i pięć fotografii. Kilka dni później materiały te przekazane zostały do Polskiej Misji Wojskowej ds. Badania Zbrodni Wojennych w Berlinie. Prezentowane zdjęcie jest reprodukcją jednej ze wspomnianych fotografii.

Według relacji anonimowego świadka opisane w „monachijskiej przesyłce" wydarzenia przebiegały następująco. W pierwszych dniach września 1939 r. w okolicach Ciepielowa nad Iłżanką prowadzili działania żołnierze z 15. Pułku Piechoty 29. Dywizji Piechoty Wehrmachtu. Na szlaku przemarszu dokonali oni kilku zbrodni wobec miejscowej ludności. W dniu 8 września pod wsią Dąbrowa doszło do starcia z żołnierzami 74. Górnośląskiego Pułku Piechoty. Twardy opór Polaków wkrótce przełamano. Zdecydowana postawa przeciwnika wywołała wściekłość u dowódcy III batalionu 15. pp ppłk. Waltera Wessela, którą spotęgowała informacja o śmierci podległego mu oficera, kpt. Lewinskiego. I choć wszyscy pojmani w trakcie konfrontacji żołnierze mieli na sobie mundury WP, Wessel twierdził, że toczył bój z partyzantami. Jeńcy zostali zmuszeni do zdjęcia kurtek mundurowych, a następnie poprowadzono ich wzdłuż drogi. Jakiś czas później anonimowy świadek (autor relacji) usłyszał odgłosy kilkunastu karabinów maszynowych. Podążył w kierunku słyszanych strzałów. Na miejscu dostrzegł 300 rozstrzelanych polskich jeńców. Wykonał tam dwa zdjęcia.

Nieco inny obraz wydarzeń wyłania się z dostępnych źródeł – ze wspomnień żołnierzy obu walczących stron, a także z informacji zebranych w trakcie dwóch polskich śledztw w tej sprawie (z 1954 r. prowadzonego przez MO i śledztwa Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Kielcach z lat 1967–1970). Różnice dotyczą zarówno przebiegu walki, jak i losu schwytanych polskich jeńców. Według Tadeusza Ciesielskiego (żołnierz WP, bijący się pod Ciepielowem) opór Polaków w końcowej fazie boju był już tylko symboliczny w związku z wyczerpaniem amunicji. Niemcy rozpoczęli przeczesywanie terenu starcia w poszukiwaniu ukrywających się żołnierzy WP. Uczestnik walk słyszał ludzkie krzyki i serie strzałów. Uciekających Polaków zabijano pojedynczym ogniem. Schwytanych prowadzono wzdłuż drogi, wielu z nich pozbawiono kurtek mundurowych. Co najmniej raz miała miejsce sytuacja ostrzelania z eskortującego samochodu pancernego jeńców poruszających się w kolumnie. Wielu z nich zginęło. W relacjach miejscowej ludności pojawia się wątek dobijania rannych i rozstrzeliwania schwytanych żołnierzy w kilku-, kilkunastoosobowych grupach. Ciesielski podaje też informacje o transportowaniu części jeńców przy wykorzystaniu ciężarówek.



Dwaj polscy jeńcy z 74. Pułku Piechoty, przed nimi ppłk Walter Wessel, dowódca III batalionu 15. Pułku Piechoty 29. Dywizji Piechoty

FOT. IPN

Autentyczność fotografii zawartych w „monachijskiej przesyłce" nie budzi wątpliwości. Na dwóch z nich widzimy nie więcej niż 10 ciał leżących w przydrożnym rowie, z których większość pozbawiona jest kurtek mundurowych. Jednak żadne ze zdjęć nie dokumentuje zamordowania jeńców w liczbie 300. Pozyskane z relacji informacje nie pozwalają na stwierdzenie, czy w jednorazowej, masowej egzekucji zamordowano kilkuset żołnierzy WP. Faktem jest popełnienie tego dnia przez Wehrmacht zbrodni wojennej na żołnierzach Wojska Polskiego. ■

epras.pl 2b95f03724



Fotograf Andrzej Wiktor na planie



...i jego pierwsze zdjęcie

Dobra wiadomość: Niemcy zamierzają wypłacić odszkodowanie za zbrodnie wojenne! Rzecz w tym, że pieniądze Berlin ma wypłacić rządowi Namibii. Kraju, który 100 lat temu nie istniał, ale na jego obecnym terytorium w latach 1904–1908 rządy kolonialne ówczesnej Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej dokonały rzezi ludności tubylczej. Podczas brutalnego tłumienia protestów i represji zginęło ok. 110 tys. mężczyzn, kobiet i dzieci z plemion Herero i Namaqua. Wydarzenie to zostało uznane przez ONZ za pierwsze ludobójstwo XX w. (I, jak wiemy, niestety nie ostatnie. Wystarczy przypomnieć sobie rzeź Woli w pierwszych dniach powstania warszawskiego, w czasie której niemieckie wojsko dokonało masakry ludności cywilnej – liczbę ofiar szacuje się na 60 tys. Polaków). O odszkodowanie indywidualne przed sądem w USA walczyły organizacje wspólnot tych dwóch plemion, żądając 30 mld euro. Równolegle rząd Namibii, zdominowany przez lud Owambo, negocjował odszkodowanie wartości kilkuset milionów euro. Chociaż pozew plemion został odrzucony, rządy Niemiec i Namibii podpisały porozumienie, na mocy którego Niemcy zapłacą 1,1 mld euro zadośćuczynienia.

Wracając na nasze podwórko... Strona niemiecka z uporem uznała temat reparacji wojennych dla Polski za zamknięty, m.in. nie chce brać odpowiedzialności emerytalno-rentowej za pracę tysięcy Polaków wywiezionych na przymusowe roboty do Niemiec i ofiar akcji germanizacyjnych. W tym samym czasie bez mrugnięcia okiem Berlin wypłaca świadczenia emerytalne nazistowskim kombatantom i kolaborantom z różnych krajów.

Temat wojennych strat i szkód Polski poruszony w tym wydaniu przez naukowców z Instytutu Pamięci Narodowej wołał o pomstę do nieba i zasługiwał na przedstawienie go na okładce aktualnego wydania magazynu.

Do realizacji sesji został zaproszony Michał Kępiński, który wcielił się w niewdzięczną rolę niemieckiego „bohatera" szabrującego polski dom. Z kolei szlachciankę zagrała Dominika Rau, absolwentka Performance Art and Drama & Theatre na Uniwersytecie Aberystwyth w Walii. Ta młoda artystka na co dzień pracuje jako aktorka i tancerka w Wielkiej Brytanii. Kostiumy i rekwizyty wypożyczyła nam Agencja Artystyczna „Retro-Pasje", z którą współpracujemy od ponad pięciu lat. Piękny polski dom został na potrzeby sesji użyczony od Pani Marii Borowczyk – osoby o wielkiej kulturze i cierpliwości, bo tolerowanie mężczyzny w niemieckim mundurze z workiem Reichsbanku pełnego fantów z pewnością wymagało tej cechy. Pani Maria jest mamą znanego malarza Kacpra Borowczyka, którego pracownię mieliśmy przyjemność odwiedzić. Pełne barw prace artysty charakteryzujące się dynamicznym i żywiołowym gestem wiszą w wielu domach polskich i zagranicznych kolekcjonerów.

Z kolei piękne godło pozyskaliśmy ze sklepu z artykułami propagandowymi przy ul. Okopowej 25 w Warszawie.

MICHAŁ KORSUN



Neoklasycystyczna willa, miejsce sesji



Michał Kępiński i „Męczeństwo św. Barbary" – kopia autorstwa Włodzimierza Borowczyka



Koncepcja okładki


Dyrektor artystyczny Michał Korsun odziewa


Dominika Rau, aktorka młodego pokolenia


Malarska pracownia Kacpra Borowczyka


Obraz Kacpra Borowczyka z cyklu „Ul. Próżna”

NAC



Szalet z lat 30. na pl. Narutowicza, 1947 r.

Szalet z XIX w. przed nowo zbudowanym wieżowcem Prudential, 1934 r.

WARSZAWSKIE SZALETY

Stan sanitarny Warszawy w XIX w. był fatalny. Miasto, przekształcone w twierdzę przez rosyjskiego zaborcę, dusiło się w ciasnym pierścieniu fortyfikacji, poza którym nie wolno było stawiać trwałych budynków. Lawinowy wzrost liczby ludności powodował znaczne zagęszczenie zabudowy mieszkalnej i powstanie wielopiętrowych kamienic z ciemnymi podwórkami-studniami. Pomimo przeludnienia miasto nie miało systemu kanalizacyjnego – nieczystości wylewano bezpośrednio do rynsztoków ciągnących się wzdłuż ulic. Większość kamienic nie miała też łazienek, a funkcję toalety pełnił rzadko opróżniany ustęp w podwórzu. Wiele domów nie miało nawet tego, a potrzeby fizjologiczne załatwiano w przygodnych miejscach. Nad alarmującym stanem higieny ubolewali pisarze i publicyści.

Poprawą sytuacji w mieście zajął się p.o. prezydent miasta Sokrates Starynkiewicz (1820–1902), który pełnił urząd w latach 1875–1892. Choć był przedstawicielem carskiej administracji i rosyjskim patriotą, to dał się poznać jako sprawny organizator o nieposzlakowanej uczciwości. Pokonawszy trudności administracyjne i ideologiczne, doprowadził do zbudowania w Warszawie nowoczesnego systemu wodociągowego i kanalizacyjnego. Budowę prowadził brytyjski inżynier William Lindley i jego syn William Heerlein. System został zaprojektowany z dużym zapasem przepustowości, a do budowy użyto krajowych materiałów o najwyższej jakości, dzięki czemu nadal służy stolicy.

Uzupełnieniem systemu kanalizacji była sieć miejskich szaletów. Budowy podjęła się francuska spółka akcyjna Compagnie Nouvelle des Chalets de Commodité pour la France et l'Etranger. Umowa zakładała budowę w pierwszym roku 10 szaletów, a w ciągu następnych pięciu lat kolejnych 20. Eksploatacja miała trwać przez 60 lat z prawem wykupu przez miasto po 15 latach. Roczna opłata za każdą działkę z szaletem wynosiła 20 rubli, zaś koszt wody i ścieków pokrywało miasto. Szalety budowano z drewna w formie kwadratowych domków z płaskim dachem ozdobionym sterczynami. Wnętrza dzielono na kabiny. Obok szaletu stawiano osobną blaszaną wieżyczkę przykrytą kopulastym dachem, mieszczącą pisuary. Opłata za skorzystanie z pisuaru wynosiła 1 kopiejkę, zaś za kabinę z papierem toaletowym 5 kopiejek. Na szybach obu obiektów przewidziano miejsca na reklamy, które można było wykupić w szalecie mieszczącym się przy pl. Teatralnym. Francuska firma nie wywiązała się z umowy i wybudowała zaledwie 14 obiektów. Stanęły głównie na najważniejszych placach miasta. Był to m.in. pl. Bankowy, pl. Warecki (później Napoleona, obecnie Powstańców Warszawy), Muranowski (nie istnieje), Grzybowski, Trzech Krzyży. Sprawa trafiła do sądu w 1911 r. i ciągnęła się do 1934 r., gdy miasto odkupiło koncesję od firmy.

Staromodne szalety wkrótce przestały pasować do nowoczesnej, rozwijającej się Warszawy, było też ich zbyt mało w stosunku do potrzeb. Szczególnym przykładem może być szalet na pl. Napoleona, usunięty na żądanie Towarzystwa Ubezpieczeń Prudential, które zbudowało przy placu 16-piętrowy wieżowiec Prudential House (obecny Hotel Warszawa) – stary szalet obniżał prestiż budynku i psuł estetykę placu, zastąpiono go więc toaletą podziemną. Była to powszechna tendencja w latach 30., gdy w całym mieście zaczęto budować nowoczesne toalety podziemne, często wykorzystując lokalizacje i infrastrukturę dawnych szaletów. Zejścia umieszczano na poziomie gruntu, a obok stawiano wywietrzniki w formie kominów i słupki ze strzałką skierowaną w dół. Większość tych toalet przetrwała II wojnę światową i pełniła swoją funkcję aż do końca PRL-u. Transformacja ustrojowa sprawiła, że wiele z nich zaadaptowano na punkty gastronomiczne, dobudowując część nadziemną. W tej roli przetrwał do dziś szalet na pl. Narutowicza, przy ul. Kruczej róg Mokotowskiej i Piusa XI (obecnie Piękna) oraz przy ul. Wołoskiej (dziś św. Andrzeja Boboli). Inne obiekty zostały zlikwidowane, np. szalet przy ul. Marszałkowskiej podczas przebudowy ulicy (2006) czy przy ul. Targowej – najpierw zaadaptowany na przejście podziemne (1967), a następnie rozebrany podczas budowy II linii metra (2011).

ŁUKASZ KAROLEWSKI

FOT. NAC: ZESPÓŁ KONCERN ILUSTROWANY KURIER CODZIENNY – ARCHIWUM ILUSTRACJI, ARCHIWUM FOTOGRAFICZNE STEFANA RASSALSKIEGO

eprasa.pl 2b95f03724

LEGITYMACJA Z „GAPĄ”



RAFAŁ BRODACKI

W ZBIORACH MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO ZNAJDUJE SIĘ LEGITYMACJA ARMII KRAJOWEJ, NA KTÓREJ OBOK ADNOTACJI NANIESIONYCH PRZEZ POWSTAŃCZE DOWÓDZTWO WIDNIEJE PIECZĘĆ Z NIEMIECKIM GODŁEM, TZW. GAPĄ. TO BARDZO CIEKAWY EKSPONAT, BĘDĄCY PAMIĄTKĄ PO WALKACH POWSTANIA WARSZAWSKIEGO I OKRESIE BEZPOŚREDNIO PO NIM


ARMIA KRAJOWA
Okręg Warszawski
Nr 10.000
Zaświadczam, że
Stsz. Sławek Henry
stopień wojsk. (pseudonim i imię)
Michalak jest
nazwisko
żołnierzem A. K.
Dnia 15.8. 194[illegible] r.
Komendant Obwodu
Mścisław
-/ Rapowicz

Legitymacja st. strz. Henryka Michalaka „Sławka”

2 października 1944 r. w Ożarowie pod Warszawą podpisano układ o zaprzestaniu działań wojennych w stolicy Polski, tym samym powstanie warszawskie dobiegło końca. Na mocy zawartych w nim postanowień oddziały powstańcze wymaszerowały do niewoli w dniach 4 i 5 października. Nie wszyscy jednak powstańcy złożyli wtedy broń. W tym samym układzie kapitulacyjnym zapisano, że w mieście pozostaną oddziały polskie do pełnienia funkcji porządkowych. Miały one złożyć broń w późniejszym terminie.

Tak też się stało. Już 3 października 1944 r. komendant Okręgu Warszawa AK gen. bryg. Antoni Chruściel „Monter” wydał rozkaz specjalny, na mocy którego powstał Batalion Osłonowy, nazywany też Asystencyjnym. W jego skład weszło ok. 300 żołnierzy z Batalionu „Kiliński” i ok. 120 z Batalionu „Miłosz”, którzy póki przebywali w mieście, pozostawali pod bronią. Dowódcą tego oddziału został ppłk Franciszek Pacek „Mścisław”. Jako że oddział ten miał działać pod komendą niemiecką, otrzymał on nazwę Sicherungs Kompanie der AK, a legitymacje służących w nim żołnierzy zostały ostemplowane okrągłą pieczęcią z niemieckim godłem oraz napisem: „Der Kommandeur der Ordnungspolizei für den Distrikt Warschau” (Komendantura Policji Porządkowej Dystryktu Warszawskiego). Niektóre z opasek powstańczych zostały także ostemplowane tą pieczęcią. Zadaniem żołnierzy Batalionu Osłonowego było pełnienie służby porządkowej oraz zapewnienie ładu i bezpieczeństwa w mieście, w którym cały czas trwała ewakuacja.

Jednym z żołnierzy Batalionu Osłonowego był st. strz. Henryk Michalak „Sławek”, którego legitymacja znajduje się w zasobie Muzeum Powstania Warszawskiego. Żołnierz ten, urodzony w 1925 r., w okresie konspiracji służył w Zgrupowaniu „Siekiera” pod dowództwem por. Romana Rożałowskiego „Siekiery”. W szeregach tego oddziału walczył w pierwszych dniach powstania warszawskiego, zanim przeszedł do Batalionu „Miłosz”. W trakcie walk został awansowany do stopnia starszego strzelca i odznaczony Krzyżem Walecznych.

Kiedy podpisano kapitulację powstania warszawskiego, „Sławek” nie wyszedł do niewoli wraz z innymi żołnierzami, lecz został przydzielony do Batalionu Osłonowego. Służba, jaka czekała st. strz. „Sławka” i jego kolegów, nie była łatwa. Przyszło im bowiem patrolować opuszczone miasto wraz z niemieckimi żołnierzami – tymi samymi, z którymi jeszcze kilka dni wcześniej prowadzili walki o kolejne ulice. Widzieli, jak wrogowie rozkradali miasto i burzyli kamienice. Nie obyło się też bez prowokacji. W nocy z 6 na 7 października polscy żołnierze pełniący wartę przy Centralnej Składnicy Sanitarnej przy ul. Brackiej 23 byli zaczepiani przez wrogich żołnierzy. Kiedy nastał dzień, w stronę szpitala Niemcy oddali serię z pistoletu maszynowego, raniąc polskiego sanitariusza i jednego z żołnierzy. Trudy służby wynagradzało jednak to, że udało się bezpiecznie ewakuować wielu ludzi. Tak było w przypadku osób znajdujących się w Instytucie Głuchoniemych przy pl. Trzech Krzyży, skąd wyprowadzono ok. 80 osób ociemniałych i głuchoniemych.

Symbolicznym końcem służby żołnierzy z Batalionu Osłonowego była defilada, która odbyła się 9 października 1944 r. W jej trakcie żołnierze złożyli broń u zbiegu ul. Nowowiejskiej i al. Niepodległości, stając się tym samym jeńcami. Jednym z nich był st. strz. Henryk Michalak „Sławek”, który po wyzwoleniu z niewoli wrócił do Polski. Zmarł w 1981 r. w Warszawie.



Materiał przygotowany przez zespół Muzeum Powstania Warszawskiego

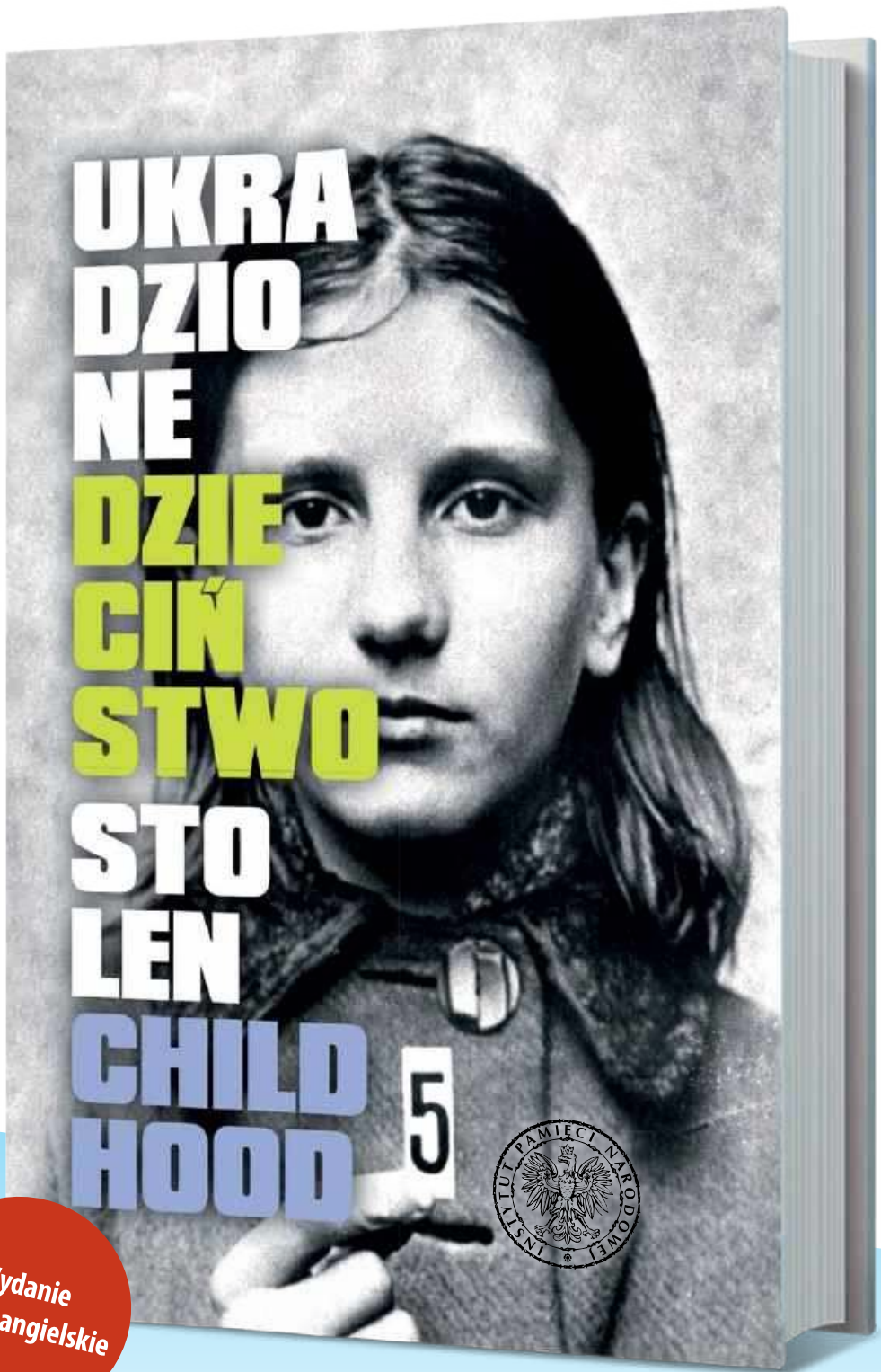
Muzeum Powstania Warszawskiego

REKLAMA IV OKŁADKA | 51/0222/F

FOT. ZE ZBIORÓW MPW

WYDAWNICTWO
INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ IPN

Wzruszający album poświęcony najbardziej bezbronnym polskim ofiarom II wojny światowej – czyli dzieciom.



Wydanie polsko-angielskie

Pełna oferta na www.ksiegarniaipn.pl • Fb.com/ksiegarnia.ipn

ksiegarniaipn.pl

eprasa.pl 2b95f03724